



WŁADIMIR SOROKIN

ZAMIEĆ

proza świata

Władimir Sorokin

Zamieć

Przełożyła Agnieszka Lubomira Piotrowska



Wołowiec 2013

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału rosyjskiego МЕТЕЖЬ

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA

Copyright © 2010 by VLADIMIR SOROKIN

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2013

Copyright © for the Polish translation by AGNIESZKA LUBOMIRA PIOTROWSKA, 2013

Redakcja TOMASZ ZAJĄC

Korekta ALICJA LISTWAN / D2D.PL, ZUZANNA SZATANIK / D2D.PL

Projekt typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-633-4

Skład wersji elektronicznej MICHAŁ NAKONECZNY / [VIRTUALO SP. Z O.O.](http://VIRTUALO.SP.ZO.O)

Spis treści

Motto

Zamieć

Przypisy

Nieboszczyk do snu się szykuje
W bielutkiej pościeli układa
Za oknem zamieć wiruje
Śnieżnymi podmuchami włada...

ALEKSANDER BŁOK

– Ale zrozum, człowieku, ja muszę koniecznie jechać! – Płaton Iljicz machnął rękami w rozdrażnieniu. – Czekają na mnie chorzy! Cho-rzy! Epidemia! Coś ci to mówi?!

Zawiadowca, pochylając się, przycisnął pięści do swojego borsuczego serdaka.

– A co mam nie rozumieć? Jak nie rozumieć? Wama trza jechać, rozumiem bardzo dobrze. Ale ja nie mam koni i do jutra nijak nie będę miał!

– Jak to nie ma koni?! – zawołał gniewnym głosem Płaton Iljicz. – Na co w takim razie ta wasza stacja?

– Ano na to, że wszystkie konie powychodziły i nie ma ani jednego, ani jednego! – powtarzał w kółko i głośno zawiadowca, jakby rozmawiał z głuchym. – Może jakimś cudem wieczorem pocztowe zjadą. Ale kto ich tam wie kiedy?

Płaton Iljicz zdjął binokle i wbił wzrok w zawiadowcę, niby spostrzegł go po raz pierwszy.

– Ale czy ty rozumiesz, kochanieńki, że tam umierają ludzie?

Zawiadowca rozluźnił zaciśnięte pięści, wyciągnął ręce do doktora, jak gdyby prosił o jałmużnę.

– A co tu nie rozumieć? Czego to niby mam nie rozumieć? Ludziska prawosławne mrą, bieda z tym, co tu nie rozumieć?! Ale popatrzcie w okienko, co tam się dzieje!

Płaton Iljicz wsunął binokle i machinalnie przeniósł spojrzenie swoich obrzękniętych oczu na zaszyronione okno, przez które niemożliwym było dostrzec cokolwiek. Za okienkiem nadal trwał pochmurny zimowy dzień.

Doktor spojrzął na głośny zegar ścienny z wagami w postaci domku Baby Jagi: wskazywał kwadrans po drugiej.

– Już po drugiej! – Oburzony kiwnął głową z krótko przystrzyżonymi włosami i lekką siwizną na skroniach. – Po drugiej! A zaraz zaczniesz się zmierzchać, czy ty rozumiesz?

– A co mam nie rozumieć, jak mam nie rozumieć... – zaczął zawiadowca, ale doktor przerwał mu zdecydowanie.

– No właśnie, złociutki! Zdobywaj dla mnie konie, choćby spod ziemi! Jeśli ja tam dziś nie pojedę, ty pójdziesz pod sąd. Za sabotaż.

Znane państwowe słowo podziało na zawiadowcę usypiająco. Przestał mamrotać i się usprawiedliwiać, jakby od razu zasnął. Jego lekko zgięta w krzyżu

postać w krótkim serdaku, w pluszowych spodniach i wysokich, białych, podszytych żółtą skórą walonkach zastygła nieruchomo w półmroku obszernej, nagrzej piecem izby. Natomiast żona zawiadowcy, dotychczas siedząca z robótką na drutach w najdalszym kącie za perkalową zasłonką, powierciła się, wyjrzała, ukazując swoją szeroką, nic niewyrażającą twarz, która już doktorowi obmierzała przez te dwie godziny oczekiwania, picia herbaty z malinową i śliwkową konfiturą i kartkowania ubiegłorocznej „Niwy”.

– Michałycz, to trza będzie Chrzakałę prosić?

Zawiadowca od razu się ocknął.

– Można i Chrzakałę uprosić. – Podrapał się prawą ręką po lewej, lekko obracając się do żony. – Tylko oni tu chcą państwowych koni.

– Mnie jest wszystko jedno jakich! – wrzasnął doktor. – Koni! Koni! Ko-ni!

Zawiadowca zaszurał od kantorka.

– Jak nie jest u wuja w Choprowie, można uprosić...

Podszedłszy do kantorka, podniósł słuchawkę telefonu, przekręcił kilka razy korbką, wyprostował się, opierając lewą rękę na krzyżu i wyciągając do góry wyłysiałą głowę, jakby chciał podrosnąć.

– Mikołaj Łukicz? Tu Michałycz. Powiedz no, nasz chlebowoz tam do was dzisiaj nie podjeżdżał? Nie? No i dobra. A jak! Gdzie się tera ładować, tu nie ma żadnej możliwości, a jak. No, Bóg zapłać.

Ostrożnie odłożył słuchawkę na widełki i z wyraźnym ożywieniem na niechlujnie ogolonej, bezbrodej twarzy mężczyzny bez wieku zaszurał do doktora.

– Wygląda na to, że dzisiaj nasz Chrzakała nie pojechał po chleb do Choprowa. Tutej jest, leży na zapiecku. A bo to jak po chleb pojedzie, to od razu przejazdem do wuja. A tam herbatka i gadu-gadu. Pod wieczór ino nam chleb przywozi.

– Ma konie?

– Samopęd.

– Samopęd? – Doktor zmrużył oczy, wydając papierośnicę.

– Jak go uprosić, to samopędem dostarczy do Dołgiego.

– A co z moimi? – Płaton Iljicz nachmurzył czoło, przypomniawszy sobie swoje sanie, furmana i parę państwowych koni.

– A wasze tutaj na razie postoją. Potem nimi wrócicie.

Doktor zapalił, wypuścił z ust dym.

– I gdzie ten twój chlebowoz?

– A tu niedaleczko. – Zawiadowca machnął ręką za swoje plecy. – Wasiatka was zaprowadzi. Wasiatka!

Nikt na jego wołanie nie odpowiedział.

– Pewnikiem w nowej chałupie siedzi – odezwała się żona zawiadowcy zza zasłonki.

I od razu wstała, zaszeleściła po podłodze spódnicą, wyszła. Doktor tymczasem podszedł do wieszaka, zdjął z niego swoją długopołą, ciężką pelisę na panofiksach, włożył na siebie, wsunął szeroką lisią papachę z kitą, narzucił długi biały szal, nasunął rękawiczki, pochwycił oba sakwojaże i zdecydowanie przekroczył próg otwartych przed nim na oścież przez zawiadowcę drzwi do ciemnej sieni.

Lekarz powiatowy Płaton Iljicz Garin był wysokim, krzepkim czterdziestodwuletnim mężczyzną z dużym nosem, o wąskiej, pociągłej, wygolonej do siności twarzy, z wiecznie malującym się na niej wyrazem skupionego niezadowolenia. „Wszyscy mi przeszkadzacie w wypełnieniu czegoś bardzo ważnego i jedyne go możliwego, do czego zostałem predestynowany przez los, co umiem robić najlepiej z was wszystkich i czemu poświęciłem już większość swojego świadomego życia” – mówiła dosłownie ta konsekwentna twarz z dużym upartym nosem i obrzękniętymi powiekami. W sieni wpadł na żonę zawiadowcy i Wasiatkę, który od razu odebrał mu oba sakwojaże.

– Siódmy dom od nas – zwrócił się z pożegnalnym słowem zawiadowca, wybiegając naprzód i otwierając drzwi na ganek. – Wasiatka, odprowadź pana doctora.

Płaton Iljicz wyszedł na powietrze, mrużąc oczy. Było pochmurnie, trzymał lekki mrozek; niecichnący od trzech godzin wiatr wciąż niósł drobny śnieg.

– On od was wiela nie weźmie – mamrotał zawiadowca, kuląc się na wietrze. – Chłop z niego obojętny na pieniądzu. Żeby tylko pojechał.

Wasiatka postawił sakwojaże na ławce wprawionej na przyzbie, schował się w sieni i po chwili wrócił w krótkim półkożusku, walonkach i czapie, znów pochwycił sakwojaże i zatupał po śniegu.

– Chodźmy, panie.

Doktor ruszył za nim, kopiąc papierosem. Szli zawianą wiejską drogą. Śniegu nawaliło tyle, że podbite od środka futrem buty doktora zapadały się niemal do połowy cholewki.

„Zawiewa... – myślał Płaton Iljicz, pospiesznie dopalając szybko spopielającego się na wietrze papierosa. – Diabeł mnie podkusił, żeby pojechać na przełaj przez tę stację, niech ją licha. Zapadły ką i tyle: nigdy tu zimą nie

znajdę koni. Zarzekałem się, to nie, pojechałem, *dummkopf*¹. Mogłem wybrać trakt, tam w Zaprudnem bym zmienił konie i pojechał dalej, no i niech będzie, że siedem wiorst dłużej, za to już byłbym w Dołgiem. I stacja porządna, i droga szeroka. *Dummkopf!* Teraz czekaj tatka latka...”

Wasiatka, idąc przodem, miesił rzeško śnieg i wymachiwał jednakowymi sakwożażami jak baba wiadrami na koromyśle. Osada wokół stacji, chociaż nazywano ją wieś Dołbieszyno, tak naprawdę była chutorem z niezbyt blisko rozrzuconymi od siebie dziesięcioma zagrodami. Płaton Iljicz lekko się spocił w swojej długiej pelisie, zanim doszli zaproszonym gościńcem do chałupy chlebowoza. Ta stara, mocno już osiadająca chatynka była całkowicie zawiana, bez jakichkolwiek śladów człowieka, jakby w niej nikt nie mieszkał. Tylko wiatr rwał strzępy białego dymu z komina.

Minęli ogrodzony jako tako ogródek, weszli na zasypany, pochylony na bok ganek. Wasiatka naparł ramieniem na drzwi, okazały się niezamknięte. Weszli do ciemnej sieni, Wasiatka potknął się o coś, powiedział:

– Ożeż ty...

Płaton Iljicz z trudem dostrzegł w ciemności dwie duże beczki, taczkę i jakieś rupiecie. W sieni chlebowoza pachniało z jakiegoś powodu pasieką – ulami, pierzgą i woskiem. Ten letni, miły zapach w żaden sposób nie pasował do lutowej zamieci. Z trudem przedarłszy się do obitych zgrzebniną drzwi, Wasiatka pchnął je, przytrzymując jeden z sakwożaży pod pachą, i przekroczył wysoki próg.

– Niech będzie pochwalony!

Doktor wszedł za nim, uchylając się przed nadprożem.

W izbie było trochę cieplej, jaśniej i puściej niż w sieni: w wielkim rosyjskim piecu buzował ogień, na stole samotnie stała drewniana solniczka, pod ściereczką leżał bochen chleba, w kącie ciemniała odosobniona ikona i w osieroceniu wisiał zegar ścienny z wagami, którego wskazówki zatrzymały się na pół do szóstej. Z mebli doktor zauważył jedynie kufer i żelazne łóżko.

– Kumie Koźmo! – zawołał Wasiatka, ostrożnie opuszczając sakwożaże na podłogę.

Nikt nie odpowiedział.

– Musi na podwórek poszedł? – Wasiatka odwrócił do doktora swoją szeroką piegowatą twarz ze śmiesznym, jakby obłupanym, różowym nosem.

– Czegój tam? – zabrzmiało na piecu i pokazała się rozczochrana ruda głowa z kłaczastą bródką i zaspanymi szparkami oczu.

– Witaj, kumie Koźmo! – radośnie krzyknął Wasiatka. – Tutaj dochtora do Dołgiego przypiliło, a państwowych na stacji ni ma.

– I czegoś? – Głowa się podrapała.

– Ano zawiózłbyś go samojezdem.

Płaton Iljicz podszedł do pieca.

– W Dołgiem epidemia, koniecznie muszę tam być jeszcze dziś. Koniecznie!

– Epidemia? – Chlebowoz przetarł oczy wielkimi zgrubiałymi palcami z brudnymi paznokciami. – Słyszałem o epidemii. Zawczora na poczcie w Choprowie ludziska gadali.

– Czekają na mnie chorzy. Wiozę szczepionkę.

Głowa na piecu zniknęła, dało się słyszeć postękiwanie i skrzypienie stopni. Koźma zszedł, zakaszłał, wyszedł zza pieca. Był to niskiego wzrostu, chuderlawy, wąski w ramionach chłop koło trzydziestki z krzywymi nogami i nieproporcjonalnie wielkimi dłońmi, jakie trafiają się często krawcom. Jego spiczastonosą twarz, opuchniętą po spaniu, wyglądała poczciwie i próbowała się uśmiechnąć. Stał przed doktorem bosy, w samej bieliźnie, drapiąc się po rudej, potarganej czuprynie.

– Szczepionkę? – wypowiedział z szacunkiem i ostrożnie, jakby się bał upuścić to słowo na swoją starą, wyświechtaną i splekaną podłogę.

– Szczepionkę – powtórzył doktor i ściągnął z głowy lisią papachę, pod którą już mu się zrobiło gorąco.

– Toć przeciech zamieć, panie. – Chrząkała spojrział przez ciemnawe okienko.

– Wiem, że zamieć! Tam czekają chorzy! – Doktor podniósł głos.

Drapiąc się, Chrząkała podszedł do okienka ogaconego w szczelinach ram konopiami.

– Toć ja przeciech nawet za chlebem nie pojechał. – Potarł palcem przetainę, która wypełzła na okiennym szronie od piecowego ognia. Spojrział. – Przeciech nie samym chlebem ludziska żyją, tak?

– Ile chcesz? – Doktor stracił cierpliwość.

Chrząkała obejrzał się na niego, jakby spodziewał się ciosu, w milczeniu poszedł do kąta na prawo od pieca, gdzie na ławce i półkach stały wiadra, dzbanki i kotły, wziął miedziany kubeczek, zaczerpnął z wiadra wody i zaczął szybko pić, szarpiąc grdyką.

– Pięć rubelków! – zaproponował doktor tak groźnym tonem, że Chrząkała drgnął.

Po chwili jednak się roześmiał, ocierając pot rękawem koszuli.

– A na co mnie...

Odstawił czerpak, obejrzał się, czknął.

– A tego... Ja tu dopierutko co w piecu napaliłem.

– Tam ludzie giną! – krzyknął doktor.

Chrząkała podrapał się po klatce piersiowej, unikając wzroku doktora, i zmrużonymi oczyma spojrzął w okienko. Doktor obserwował chlebowoza z takim wyrazem swojej nosatej, napiętej twarzy, jakby gotów był go pobić albo się rozpłakać.

Chrząkała westchnął, podrapał się po szyi.

– Słuchaj no, Wasiatka, ty to ino...

– A czegoś? – Wasiatka rozdziawił gębę, nie rozumiejąc.

– Posiedź no tu. A jak się wypali, zatkasz komin.

– Zrobi się, kumie Koźmo. – Wasiatka zsunął z siebie półkożuszek, zrzucił na ławkę i usiadł obok.

– Masz samojezd... jakiej mocy? – spytał doktor z ulgą.

– Pięćdziesiąt koników.

– Dobrze! Do Dołgiego uwiniemy się w jakieś półtorej godziny. A z powrotem pojedziesz z pięcioma rubelkami w kieszeni.

– A kiej tam, panie... – Chrząkała machnął z uśmiechem swoją wielką, kloszopodobną dłonią i klepnął się po chudych udach. – Niech ta będzie, chodźmy się zaprzęgać.

Zniknął za piecem i wkrótce wyszedł w szarym wełnianym swetrze o grubym ściegu i w watowanych spodniach, podciągniętych wojskowym pasem wysoko, niemal pod szyję, i z parą szarych walonków pod pachą. Usiadł na ławce obok Wasiatki, rzucił je na podłogę i zaczął szybko okręcać nogi onucami.

Doktor wyjął papierosa i wyszedł na powietrze. Tam było cały czas to samo: szare niebo, zawierucha śnieżna. Chutor dosłownie wymarł – ani ludzkiego głosu, ani psiego szczekania.

Stojąc na ganku i wciągając orzeźwiający dym papierosowy, Płaton Iljicz myślał już o jutrze: „Nocą zaszczepię, a rano pójdziemy na cmentarz, popatrzemy na groby. Żeby tylko kwarantanna nie zawiodła w taką pogodę, bo jeszcze przedrze się jakiś przez odłogi, a potem – szukaj wiatru w polu. W Mitinie dwa pierścienie obleczeń i to nie pomogło – przedostali się, pogryźli... Ciekawe, czy Zilberstein jest już na miejscu. Ech, oby tak! Na cztery ręce szczepić poręczniej, byśmy się z nim przez noc po całej wsi przeszli... Nie, nie dotrze wcześniej ode mnie z Usochów, ma, trzeba liczyć, że czterdzieści wiorst, a przy takiej pogodzie... No, trafiło się z tą zamiecią...”.

Tymczasem Chrząkała się obuł, narzucił na siebie niewielki czarny kożuch, przepasał go, wetknął za pas rękawice, naciągnął czapkę, wziął ze stołu bochen,

odkroił z niego piętękę, wsunął za pazuchę, odkroił jeszcze pajdę, nadgryzł nieco, pozuł, mrugnął do siedzącego na ławce Wasiatki.

– Gębę bym herbatką pogrzał, ino kiejby: widzisz, jak się wywarł. Epi-demia! Skąd się napatoczył, co?

– Widzi mi się, że z Repisznej. – Wasiatka potarł oczy pięścią. – Pocztowymi. Woźnica państwowy od razu legł spać.

– A czegoś se mają nie pospać, państwowe... – Chrząkała pożegnalnie zajrzała do pieca, plasnął Wasiatkę po głowie i żując, poszedł z kawałkiem żytniego chleba w dłoni na tylne podwórze.

Podwórze chlebowoza było tak samo niepokazne i stare jak izba: przybudowany na styk chlew przekrzywił się, niedbale piętrzyły się sterty drew, nieopodal stała szopa na siano z zapadniętym i naprędce przykrytym żerdziami i słomą dachem, dalej czerniała stodoła. Patrząc na nią, trudno było sobie wyobrazić, żeby ktoś w niej młócił przez ostatnie cztery lata. Za to maleńka, przypominająca łaźnię stajnia była z nowych bierwion, kryta szerokimi dranicami, z dobrze ogaconymi ścianami, z dwoma ocieplonymi okienkami. Obok niej pod zaśnieżonym okapem stał samopęd. Chrząkała podszedł do stajni swoim krzywonogim i szybkim krokiem, zagarniając walonkami śnieg, wsunął rękę za pazuchę, wymacał pod koszulą klucz na sznurku, wyciągnął go i zaczął otwierać kłódkę.

Za wierzeją dał się słyszeć urywany gwałtowny dźwięk, jakby zacykał potężny świerszcz. Od razu pojawiły się jeszcze trzy takie same dźwięki, potem następne i następne, i nagle dosłownie rój świerszczy głośno i natarczywie zaterkotał na wszelkie sposoby. W chlewie zachrumkał wieprz. W stajni wzmagął się terkot.

– Idę, a niech was... – Chrząkała otworzył kłódkę, rozwarł na oścież wierzeję i wszedł do stajni.

Buchnęło na niego znajomo i przyjemnie swojskim zapachem. Nie przymknął wierzei, żeby było lepiej widać, poszedł przez kuźnię i rymarnię wprost do kojca z końmi. Stajnię wypełniło radosne cykanie. W odróżnieniu od ubogiej izby i podwórza Chrząkały stajnia była nowa, utrzymana wzorowo, czysto i schludnie, co od razu wskazywało na główną namiętność gospodarza. Dzieliła się na pół. Od razu od wierzei zaczynały się kuźnia i rymarnia, stał tu warsztat, na nim niewielkie kowadło, był tutaj maciupeńki piec, rozmiarem przypominający samowar, z miechami wykonanymi z pasiecznego podkurzacza, ze starannie rozłożonymi na nim narzędziami – nożami, młoteczkami, szczypczykami, świderkami, raszplami i słoikiem z końską maścią z pędzelkiem w środku.

A pośrodku warsztatu porozkładane były: gliniana filiżanka pełna maleńkich jak kopiejki podków, obok – druga filiżanka z kupą maleńkich gwoździków do tych podkówek. Na ścianie całymi rzędami wisały maleńkie chomąta przypominające suszone grzybki. Nad warsztatem dyndała okazała lampa naftowa.

Z dużej kobiałki tuż za kuźnią i rymarnią gospodarz zrobił szopę na siano z drobno porzniętą koniczyną, obok wznosiła się zagródka, a za nią końskie przegrody. Uśmiechnięty Chrzakała przechylił się przez zagródkę i z dołu rozbrzmiało wielogłosowe, zlewające się rzenie pięćdziesięciu m a ł y c h koni. Wszystkie one gnieździły się w swoich boksach, jedne w podwójnych, inne piątkami, jeszcze inne trójkami. W każdym boksie stały po dwa koryta na wodę i na paszę. W korytach na paszę bieleły resztki kaszy owsianej, którą Chrzakała nasypał koniom o piątej rano.

– Ano co, a niech was, przejedziemy się? – spytał konie, a te zarżały jeszcze głośniej.

Młodsze stanęły dęba, bryknęły przednimi kopytami, dyszlowe i stepowe parskwały, potrząsały i kiwały łbami. Chrzakała opuścił swoją wielką grubą rękę, drugą przytrzymując pajdę chleba, i zaczął muskać zwierzęta. Dotykał je palcami, gładził po grzbietach, po grzywach, a one rżały, zadzierając do góry pyszczki, spokojnie poskubywały jego rękę maleńkimi zębami, szturchały w palce ciepłymi nozdrzami. Każdy z koni był nie większy od kuropatwy. Każdego konia znał i mógł opowiedzieć, skąd i jak się znalazł u niego w stajni, jaka jest jego historia, jaki jest w robocie, kim są jego rodzice, jakie ma skłonności i charakter. Trzon stada Chrzakały stanowiły bułane ogiery o szerokiej klatce piersiowej z krótkimi, ciemnokasztanowymi ogonami. Było ich ponad połowę. Za nimi szły cisawe, skarogniade, osiem gniadych, cztery siwki, dwa siwe jabłkowite i dwa dereszowate – jeden karo-dereszowaty, drugi kasztanowato-dereszowaty.

Trzymał tylko ogiery i wałachy. M a ł e kobyły były cenne dosłownie jak złoto, hodowali je tylko właściciele stadnin.

– Macie chlebka – powiedział Chrzakała i zaczął kruszyć chleb i rzucać kawałki do koryt.

Konie pochyliły łby. Chrzakała odczekał, aż zjedzą, klasnął w dłonie i głośno rozkazał:

– Hajda, zaprzęgać się!

I szarpnięciem podniósł jedyną barierkę, otwierającą wszystkie boksy naraz.

Konie poszły po drewnianym, do czysta wymiecionym wyżłobieniu, tworząc od razu tabun, witając się nawzajem, kąsając, rżąc i pobrykując. Wyżłobienie

przechodziło przez ścianę, tuż za którą stał samopęd. Chrząkała patrzył na tabun, a jego twarz rozjaśniała i pomłodziła. Zawsze cieszyły go te konie, nawet kiedy był wyczerpany, pijany albo poniżony przez ludzi. Odsunął na bok ścienną zastawkę, otwierając koniom przejście do uprzęży samopędu. Tabun szedł żwawo pomimo chłodu, którym powiało z wystygłego wnętrza pojazdu.

– Hajda! Hajda! – popędzał koniki Chrząkała. – Tera już tak nie ciągnie ziębem, mrozi można ścierpieć...

Odczekawszy, aż ostatni koń wejdzie do samopędu, wsunął zastawkę, szybko wyszedł ze stajni, zamknął ją, chowając klucz na piersi, krzywono obiegł stajnię i otworzył kapuzę samojezdu. Przyuczone konie same rozpięzły się na miejsca, oczekując na chomąta. W kapuzie było pięć grządek po dziesięć koni w każdej. Chrząkała zaczął szybko zakładać koniom uprzęż, przetykając ich głowy do chomątek. Koniki szły pokornie, tylko dwa gniadosze, jak zawsze, zaczęły się gryźć i naruszać porządek w trzeciej grządce.

– No, no, ja tu zara batem śmignę, a niech was! – obiecał im Chrząkała.

Jako pierwsza zaprzężona była dziesiątka utuczonych rasowych bułanych, które młóciły kopytami zmarznięty zeberkowy przeciąg, cisawe w trzeciej grzędzie posępnie oddawały gospodarzowi swoje grzywiaste łby, żeby je przepchnął w chomąta, gniade trzymały się z godnością wyższej końskiej rasy i strzygły uszami, siwki obojętnie przeżuwały, skarogniade wzdychały i kiwały łbami, siwe jabłkowite niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę, żwawy kasztanowato-dereszowaty nieustannie zaś rżał, szczerząc młode zęby.

– No i tak. – Chrząkała wstawił do kapuzy drewniany sworzeń, zamykając wszystkie konie na swoich miejscach, wziął dziegciarkę, wysmarował oba łożyska przeciągu, naciągnął rękawice, chwycił za bacik i poszedł wołać doktora.

Ten, stojąc na ganku, dopalał drugiego papierosa.

– Możemy jechać, panie – powiadomił go Chrząkała.

– Dzięki Bogu... – Doktor z niezadowoleniem cisnął niedopałek. – Jedźmy, jedźmy...

Chrząkała wziął jeden z jego sakwojaży i obaj przeszli przez sień na podwórze do samopędu. Chlebowoz odrzucił niedźwiedzią derę, doktor wsiadł. Podczas gdy Chrząkała przytraczał z tyłu do kozłów bagaż, Płaton Iljicz uważnie przypatrywał się koniom. Rzadko widywał małe konie, a już wyjątkowo rzadko nimi jeździł i z zaciekawieniem, słabnącym przez długie oczekiwanie, przyglądał się stojącym w pięciu grzędach w kapuzie zwierzątkom przebierającym kopytami po żebrowatym pasie przeciągu.

„Maleńkie stworzenia, a pomagają nam w ciężkich, nieprzewyciężonych okolicznościach... – pomyślał. – I jak ja bym pojechał bez tych kruszynek? Dziwne... tylko w nich nadzieja. I nikt więcej nie dowiedzie mnie do Dołgiego...”

Przypomniał sobie dwa zwykłe konie, którymi to trzy i pół godziny temu przyjechał do przekłętego Dołbieszyna i które całkowicie utrudzone zamieciami stały teraz w stajni i pewnie coś przeżuwały.

„Im większe zwierzę, tym bardziej bezbronny jest na naszych przestworzach. A już człowiek to jest bezbronny do niemożliwości...”

Doktor wyciągnął przed siebie rękę w rękawiczce, rozcapierzył palce i dotknął zadów dwóch skarogniadych w ostatniej grzędzie. Koniki obojętnie spojrzwały na niego spođe łba.

Podszedł w końcu Chrząkała, usiadł obok doktora, zapiął baranicę, złapał za rudel, machnął bacikiem.

– No to, z Bogiem... Wio-o!

Cmoknął. Koniki naprężyły się, poprzebierały kopytami, przeciąg ze skrzypieniem ożył i drgnął pod nimi.

– Wio-o! Wio-o! – Chrząkała kręcił nad końmi bacikiem.

Ich maleńkie zady igrały napiętymi mięśniami, chomąta zgrzytały, kopyta skrobały po przeciągu i ten ruszył, ruszył, ruszył. Samopęd drgnął, śnieg zaskrzypiał pod płozami.

Chrząkała wsunął bat do pokrowca i zawrócił sterem. Zaczął wyjeżdżać z podwórza. Nie było tu wierzei, zostały po niej tylko dwa przekrzywione słupy. Samopęd przejechał między nimi, Chrząkała nakierował go na gościniec i cmokając, mrugnął do doktora.

– Pędzimy!

Ten z zadowoleniem podniósł panofiksowy kołnierz pelisy, wsunął ręce pod baranicę. Szybko przejechali gościniec i Chrząkała skręcił na rozstaje dróg: lewa prowadziła do dalekiego Zaprudnego, a prawa – do Dołgiego. Samopęd pognął prawą drogą. Zasypało ją, ale nie całkiem. To tu, to tam prześwitywały rzadkie słupce i gołe, szargane przez wiatr krzaki. Śnieg prószył nadal – drobny jak kasza. Padał na grzbiety koni.

– A czemu one nie idą pod okapem? – spytał doktor.

– Niech se podyszą, zdążym jeszcze się nakryć – odpowiedział Chrząkała.

Doktor zauważył, że woźnica niemal cały czas się uśmiecha.

„Pocziwy chłopina...” – pomyślał i odezwał się do niego:

– I co, opłaca ci się trzymać małe?

– Kiej wama pedać, panie. – Chrząkała uśmiechnął się szerzej, obnażając nierówne zęby. – Rychtyk na chleb i kwas starcza.

– Wozisz chleb?

– Dyć, tak.

– Sam żyjesz?

– Sam.

– Czemu tak?

– Niemoc się przyplątała.

„Impotencja...” – zrozumiał doktor.

– A wcześniej byłeś żonaty?

– Byłem. – Chrząkała się uśmiechał. – Dwa lata przeżyli my. A potem, jakem skapcaniał, zmiarkowałem, że babskiego ciała nie mogę wziąć. To kto ze mną żyć będzie?

– Odeszła? – Doktor poprawił binokle.

– Ano. I chwała Bogu.

Przejechali wiorstę w milczeniu. Konie biegły po przeciągu niezbyt szybko, ale i nie wolno, czuło się, że są zadbane i dobrze odkarmione.

– A nie ckni się tu samemu na chutorze? – spytał doktor.

– Kiejsić ma się cknić. Latem siano zwożę.

– A zimą?

– A zimą... panie! – zaśmiał się Chrząkała.

Płaton Iljicz też się uśmiechnął. Z Chrząkałą czuł się jakoś dobrze i spokojnie, zdenerwowanie opuszczało doktora, więc przestał popędzać siebie i innych. Było dla niego jasne, że Chrząkała dowiedzie go, cokolwiek się stanie, więc zdąży do ludzi i uratuje ich przed straszną chorobą. W twarzy woźnicy, jak spostrzegł doktor, było coś ptasiego, drwiącego, a jednocześnie bezbronnego, dobrotliwego i łagodnego. Ta ostronosza, uśmiechnięta twarz z rzadziutką rudawą bródką, ze szparkami opuchniętych oczu, w nasuniętej wielkiej i starej czapce uszance kołysała się obok doktora w takt ruchu samopędu i, zdawało się, była całkowicie ze wszystkiego zadowolona: i z samopędu, i z lekkiego mrozu, i ze swoich zgrabnych, równo biegnących koników, i z tego doktora w binoklach oraz lisiej papasze, który zwalił się nie wiadomo skąd ze swoimi ważnymi sakwojazami, i z tej bladobiałej, niekończącej się śnieżnej równiny, rozpostartej przed nimi i tonącej w wirującym i podrywającym śnieg wietrze.

– Na podwoły się nie najmujesz? – spytał doktor.

– A na co mnie... Państwowych pieniędzy starcza. Robiłem w Sołouchach u jednych, a potem zmiarkowałem. Na cudzym chlebie ino gardło obedrzesz.

Chleb wożę i wożę. I chwała Bogu...

– A czemu wołają na ciebie Chrzakała?

– A... – Woźnica się uśmiechnął. – To ja za młodu robiłem w leśniczówce, wyrębywali my tam przesiekę. Żyliśmy w baraku. A do mnie się przypałało choróbsko w piersi jakieś, zacząłem chrzakać po nocach. Wszystkie śpią, a ja chrzacam, spać im nie daję. Rozeźliły się one na mnie i dawaj mnie zaprzęgać: Co tu po nocach chrzakasza, nie dajesz spokoju, ano już leć po drewno, w piecu rozpalaj, wodę taszcz! Obgotowali mnie wtedy na całego za to moje chrzakanie. I tak gadali: Chrzakała, rób to, Chrzakała, rób tamto! Ja przeciech był tam najmłodszy w gromadzie. No i tak mi przyłatali: Chrzakała i Chrzakała.

– Nazywasz się Koźma?

– Koźma.

– A co, Koźma, teraz nie chrzakasza po nocach?

– Nie! Bóg uchronił. W plecach, o, łamie jak na niepogodę. A tak zdrowym.

– I wozisz chleb?

– Wożę.

– Nie strach samemu wozić?

– Nie. Samemu dobrze, panie. Starzy woźnice powiedali: sam jedziesz, na ramionach po aniele, we dwóch jeden anioł, we trzech szatan w wozie.

– Mądrze! – zaśmiał się doktor.

– A dyć to prawda, panie. Jak karawaną obrotniaki jeżdżą, hurmą gdziesik zawrócą i przepiją cosik.

– A ty sam nie pijesz?

– Piję. Ale znam miarę.

– Zdziwiałe! – powiedział doktor ze śmiechem, wierząc się pod derą i wyjmując papierośnicę.

– A czego?

– Hołysze zwykle piją.

– Jak mnie przyniesą skopek gorzałki, wypiję. A sam nawet w domu nie trzymam, na co mnie. Dyć kiedy pięćdziesiąt koni przeciech.

– Widzę. – Doktor spróbował zapalić, ale zdmuchnęło zapałkę.

Zdmuchnęło też drugą. Dało się odczuć, że wiatr się wzmaga, i śnieg zaczął sypać płatami. Płaty spadały na grzbiety koni, przedostawały się do kapuzy, łaskotały twarz doktora, smykały na binoklach.

Doktor zapalił, wpatrując się przed siebie.

– Ile wiorst do Dołgiego?

– Ze siedemnaście.

Doktor przypomniał sobie, że zawiadowca stacji wymieniał inną liczbę – piętnaście.

– Dojedziemy w taką pogodę w jakieś dwie godziny? – spytał Płaton Iljicz.

– A kto to wie? – Chrząkała się uśmiechnął, naciągając czapkę przed śniegiem na same oczy.

– Droga jest równa.

– Tutej droga galanta. – Chrząkała kiwnął.

Droga wiodła przez pole z krzewami, było ją widać nawet bez pojedynczych tyczek sterczących ze śniegu. Pole zastąpił rzadki las, słupce się skończyły, ale za to na prawo wzdłuż drogi wił się ślad sań, co od razu wyznaczyło dalszą trasę i ożywiło doktora: ktoś przejechał tędy całkiem niedawno.

Samopęd ruszył śladem sań, Chrząkała kierował z lekkością, doktor palił.

Wkrótce las podrósł i zgęstniał, droga biegła dołem, samopęd wjechał w brzezinę i Chrząkała pociągnął lejce na siebie.

– Pr-r-r-r!

Konie stanęły.

Chrząkała zlął, zaczął grzebać z tyłu kapuzy.

– Co się dzieje? – spytał doktor.

– Przykryję koniki – wyjaśnił woźnica, wyciągając zwiniętą rogożę.

– Racja – zgodził się doktor, mrużąc oczy na purgę. – Śnieg sypie.

– Śnieg sypie.

Chrząkała nakrył kapuzę brezentową rogożą, poprząpinał po brzegach. Usiadł, cmoknął:

– Wio-o!

Konie ruszyły.

„Lasem jedzie się spokojniej – tu jedna droga, widoczna, nigdzie się nie zboczy...” – myślał doktor, strącając śnieg z kołnierza.

– Dawno się zdecydowałeś na małe koniki? – spytał Chrząkałę.

– Ze cztery roki będzie.

– A dlaczego?

– Brat mój w Choprowie skapiał, zostało po nim dwadzieścia cztery koniki. A żona, kiej żona, uwijać się przy nich nie chciała. Powiedała: A co, przedam. I tu mnie anioł boży dozwolił spytać: A po wiela? Po trzy rubelki za sztukę. A ja wtedy miałech sześćdziesiąt rubli. Powiedał jej: Dawaj no, bierę za sześćdziesiąt. I utargowałem. Wziąłem ich w kobiałkę i poniesłem do siebie do Dołbieszyna. A tu rychtyk i się sfartowało: nasz chlebowoz Porfiry do miasta z synem

wyjechał. To ja u niego i samopęd wziął niedrogo, i jeszcze koniki pomieniał na radio. I zaczął za niego chleb wozić. Trzydzieści rubelków. No i z tego żyjem.

– A czemu nie kupiłeś pospolitego konia?

– Paspali-i-ite-go! – Chrząkała wysunął usta w dziubek, przez co jego profil stał się zupełnie jak u kawki. – Na paspalitego, na niego człowiek się sianem nie obkosi. Ja przeciech, panie, sam jak ta czapła na bagnie, gdzie ja tyła siana obrobie! Na krowę tak kosisz, kosisz i nijak nie nakosisz. Ja teraz nawet krowy nie trzymam, rzuciłem to. A na małe udatniej: koniczyny rządkiem posieję, skoszę, wysuszę, mają na całą zimę. Owsa im namłocę, wody naleję i po robocie.

– Dzisiaj ludzie utrzymują też duże konie – zaoponował doktor. – U nas w Repisznej rodzina trzyma takiego konia.

– Toć to rodzina, panie! – Chrząkała tak zamachał głową, że czapka całkiem zsunęła mu się na oczy. Poprawiwszy ją, spytał: – A jaki to koń?

– Ze dwa razy większy od zwykłego.

– Dwa? To mało. Ja u nas na stacji widziałech i większe. Wyście tam, panie, nowej przegrody nie zdybali?

– Nie.

– Jesienią pobudowali ogromniachne. Ja dyć w radio słyszał, tera w Niżnym, gdzie jarmarek, był koń pociągowy kiej trzypiętrowy dom.

– Są takie konie. – Doktor z powagą kiwnął głową. – Wykorzystuje się je do najcięższych robót.

– Widzieliście?

– Z daleka, w Twerze. Taki koń ciągnął cały skład pociągu z węglem.

– Ło! – Chrząkała mlasnął językiem. – Ile taki koń zeżre owsa na dzień?

– Cóż – doktor zmrużył oczy, marszcząc nos – myślę, że...

Nagle samopędem wstrząsnęło, obróciło, rozległ się trzask i doktor omal nie wyleciał w zaspy. Koniki zarżały pod brezentem.

– Ożeż ty... – Chrząkała zdążył jedynie westchnąć, tracąc zlatującą z głowy czapkę i wpadając piersią na ster.

Z nosa doktora spadły binokle, zaplątały się na łańcuszku. Od razu je pochwycił i wsadził z powrotem. Samopęd stał na poboczu, przekrzywiony na prawy bok.

– A niech cię... – Chrząkała zlazł, pocierając się po klatce piersiowej, obszedł pojazd, przykucnął, zajrzał pod niego.

– Co się dzieje? – spytał doktor, nie wyściubiając nosa spod baranicy.

– Nadzialiśmy się na cosik kaj... – Chrząkała cofnął się z drogi na prawo i od razu zapadł się w śniegu, zakrzętał się, zachrzękał, wpełzł pod podwozie.

Doktor czekał, siedząc w przechylnym na bok samopędzie. W końcu wyłoniła się głowa Chrząkały.

– Zara...

Chlebowoz odrzucił pokrytą już śniegiem rogozę, pociągnął do tyłu lejce, nie siadając na swoim miejscu.

– He-ta, he-ta, he-ta...

Koniki, prychnąwszy, zaczęły się cofać. Ale samopęd tylko podskakiwał w miejscu.

– Czekaj no, wysiądę... – Doktor odpiął niedźwiedzią derę, wyszedł z pojazdu.

– He-ta, he-ta, he-ta! – Chrząkała oparł się o samopęd, pomagając koniom się wycofać.

Samopęd szarpnął się do tyłu, szarpnął jeszcze raz, zjechał z niebezpiecznego miejsca i stanął w poprzek drogi. Chrząkała obiegł go z przodu, przykucnął. Podszedł też doktor w swojej długiej pelisie. Nos prawej płozy był złamany.

– Masz ci los, a niech cię... Tfu! – Chrząkała splunął.

– Trzasnęła? – Doktor przyglądał się, pochylony.

– Rozłamała się. – Chrząkała z niezadowoleniem mlasnęła wargami.

– A na co takiego wpadliśmy? – Doktor wodził oczyma przed samopędem.

Widział tylko spulchniony śnieg, na który padał wielkimi płatkami świeży śnieg. Chrząkała wziął się tymczasem do rozgrzebywania zasy walonkiem, nagle kopnął coś twardego, co wyslizgnęło się ze śnieżnej kaszy. Woźnica i pasażer pochylili się, usiłując przyjrzeć się temu, ale nie zobaczyli nic konkretnego. Doktor potarł binokle, ponownie nasunął je na nos i nagle dostrzegł.

– *Mein Gott...* – Ostrożnie wyciągnął rękę w dół.

Ręka dotknęła czegoś gładkiego i twardego. Chrząkała próbował się przyjrzeć na czworakach. W śniegu ledwo można było dostrzec przezroczystą piramidę wielkości czapki Chrząkały. Pasażer i woźnica obmacali ją. Była z materiału przypominającego szkło. Przejmujący wiatr kręcił śnieżne płatki wokół idealnych szlifów piramidy. Doktor trącił ją – lekko ześlizgnęła się na bok. Wziął ją do rąk, wyprostował się. Była niezwykle lekka, można powiedzieć – zupełnie nic nie ważyła. Doktor obracał ją w dłoniach.

– Diabli wiedzą...

Chrząkała przyglądał się, ocierając z rzes przylepiający się śnieg.

– A to co?

– Piramida. – Doktor zmarszczył nos. – Twarda jak stal.

– Na nią my się nadziali? – Chrząkała mlasnął.

– Wygląda na to, że na nią. – Doktor obracał piramidę. – Skąd się tu, u diabła, wzięła?

– Musi kiejś z fury spadło?

– Ale do czego to?

– A, panie... – Chrząkała w gniewie machnął rękawicą, odchodząc do samopędu. – Tera tyła różności porobili, nie wiadomo po co...

Złapał za złamany nos płozy, poruszał ostrożnie.

– Kieby do cna się nie odłupał.

Doktor z westchnieniem powracającego rozdrażnienia cisnął piramidę, a ta zniknęła w śniegu.

– Panie, potrza płozę czymsić przewiązać. I nazad obrócić. – Chrząkała wysmarkał się w rękawicę.

– Jak nazad? Coś ty?

– A to, żeśwa przejechali raptem cztery wiorsty. A tam, pewnikiem, w parowie śniegu więcej, tam z przepasaną płozą osiǳiem. I tyła.

– Poczekaj, jak nazad? – Doktor rozłożył ręce. – Tam ludzie giną, tam sanitariusze czekają, tam e-pi-de-mia! Jakie nazad?!

– U nas też epidemia. – Chrząkała się roześmiał. – O, sam popatrz, panie, kiej trzasnęło.

Doktor kucnął, oglądając pękniętą płozę.

– Przeciech tak dwanaście wiorst nie przejedziem. Ło, zadymka jaka się zerwała. – Chrząkała się rozejrzał.

Zamieć faktycznie się wzmagala, śnieg wirował zrywany porywami wiatru.

– Zara lasem pojedziem, a tam w parowie kiej siǳiem i naści. Ino raki rzeczne będą o nas bajdurzyć.

– A gdyby ją ścisnąć czymś? – Doktor oglądał płozę, strącając z niej padający śnieg.

– Czym? Chyba że koszuliną. Ścisnąć to ściśniem, ale na długo to nie starczy. Zedrze. Nawrócę, panie, ode grzechu.

– Poczekaj, poczekaj... – Doktor się zamyślił. – Diabelska piramida... Słuchaj, a co jeśli... Mam przeciech bandaż elastyczny. Mocny. Bandażem ściśniemy mocno i pojedziem.

– Kiej bandażem? – Chrząkała nie zrozumiał. – Przeciech on słabszy od koszuli, jego to migiem zerwie.

– Bandaż elastyczny jest mocny – odrzekł dobitnie doktor, prostując plecy.

Powiedział to z takim przekonaniem, że Chrząkała zamilkł, kuląc się. Nagle ziąb przebiegł mu po kościach.

Doktor zdecydowanym krokiem podszedł do swoich przywiązanych z tyłu sakwojaży, odwiązał jeden, otworzył, szybko znalazł opakowanie z bandażem elastycznym, wziął, zobaczył flaszki i fiołki i radośnie mlasnął językiem.

– Mam pomysł! Pomysł... – Wyjął jedną z flaszek, podbiegł do płozy.

Chrząkała uklęknął obok niego, zaczął rozgrzebywać rękawicami śnieg. I wymacał jeszcze jedną piramidę.

– Ale, jeszcze jedna. – Pokazał doktorowi.

– Do diabła! – Doktor kopnął piramidę butem, ta odleciała precz.

I od razu klepnął Chrząkałę po plecach.

– Zaraz, Koźma, wszystko naprawimy! Gdybyś miał klej błyskawiczny, to skleiłbyś tę nartę?

– Dyc, wiadomo.

– No to my ją teraz nasmarujemy tym mazidłem, jest wyjątkowo gęste i lepkie, a potem jeszcze zawiniemy bandażem. Mazidło na mroziku nam zastygnie i sklei twoją płozę. Na takiej płozie to do Dołgiego dojedziesz i do domu pięć razy wrócisz.

Chrząkała z niedowierzaniem patrzył na flaszkę z mazidłem, na której było napisane:

MAZIDŁO WIŚNIEWSKIEGO + PROTOGEN 17W

Doktor odkręcił nakrętkę, podał Chrząkałe.

– Najwyraźniej jeszcze nie zdążyło zakrzepnąć... Maczaj w nim palec i smaruj płozę.

Chrząkała zrzucił rękawice, ostrożnie wziął flaszkę w swoje wielkie dłonie, ale nagle oddał ją doktorowi z powrotem.

– Poczekajcie... ino pod płozę potrza coś podłożyć...

Zręcznie wyciągnął spod siedzenia topór i zboczył z drogi do lasu, wybrał młodą brzoźkę i zaczął rąbać.

Doktor postawił fiołkę na samopędzie, wsunął bandaż do kieszeni, wyjął papierośnicę i zapalił.

„Ale sypie... – pomyślał, mrużąc oczy przed wirującym śniegiem. – Dzięki Bogu mróz niesrogi. Wcale nie jest zimno...”

Na dźwięk walenia siekiery koniki pod rogożą zaczęły parskać, śmigły kasztanowato-dereszowaty cieniutko zarżał. Odpowiedziało mu kilka innych koników.

Doktor nie zdążył dopalić papierosa, jak Chrząkała powalił brzoźkę, wyrąbał odziomek i zaczął go zaostrzać na pniu brzoźki.

– O, tak...

Chrząkała zakończył robotę, ciężko dysząc, wrócił do samopędu i zręcznie wepchnął brzoźowy klin pod środek prawej płozy. Jej nos lekko się unióśł. Chłop rozgarnął pod nią śnieg.

– Tera galanto nasmarujem.

Doktor oddał mu fiolkę, a sam zgrabnie rozpakował bandaż. Chrząkała położył się na boku przy płozie i pękniętą część zaczął smarować mazidłem.

– To ci dopiero – mamrotał. – Parę razy wpadłem na pieniek i nic nie łupnęło, a tu raz i kieby siekierą... Ot, kurewska zaraza...

– To nic, zabandażujemy, dojedziemy – uspokajał doktor, obserwując go.

Ledwo Chrząkała zakończył, doktor niecierpliwie go odepchnął.

– No, przesun się...

Woźnica odsunął się od płozy. Doktor, postępując, usiadł na śniegu, potem ciężko przewalił się na bok, ułożył się i zaczął umiejętnie bandażować.

– Wiesz co, Koźma, ściśnij pęknięcie! – wydusił, mozoląc się.

Chrząkała złapał za nosek, ściskając pęknięcie.

– Pięknie... pięknie... – mamrotał doktor, bandażując.

– Końce to dobrze by na górze zawiązać, na dole to zetnie – poradził Chrząkała.

– Nie ucz ojca... – wysapał doktor.

Ściśle i równo omotał płozę, zawiązał końce na wierzchu, zgrabnie wsunął je pod bandaż.

– To ci dopiero! – Chrząkała się uśmiechnął.

– A jak?! – ryknął zwycięsko doktor, usiadł zdyszany i uderzył pięścią w sklejkowy bok samopędu. – Ruszamy!

Konie w środku zaczęły parskać i chrapać.

Chrząkała wybił klin spod płozy, rzucił topór do podnóżka, zdjął czapkę, otarł pot z czoła i spojrzał na przyprószone śniegiem samopęd tak, jakby go zobaczył po raz pierwszy.

– A może zawrócimy, panie?

– Nie, nie, nie! – Doktor z oburzeniem i groźbą pokręcił głową, podnosząc się i otrzepując. – Nie ma mowy. Życie uczciwych ludzi pracy jest w niebezpieczeństwie! To, bracie, sprawa wagi państwowej. Nie mamy prawa zawrócić z obranej drogi. To nie po rosyjsku. I nie po chrześcijańsku.

– Dyc, wiadomo... – Chrząkała nacisnął czapkę. – Z Chrystusem. A kiej bez niego?

– Nie da się, bracie. Ruszamy! – Doktor klepnął go po ramieniu.

Chrząkała się roześmiała, westchnął, machnął ręką.

– Wasza wola!

Odrzucił zaproszoną baranicę, wspiął się na siedzenie. Doktor samodzielnie przypiął z tyłu swój sakwojazd, usiadł obok Chrząkały i z zadowoleniem na twarzy i poczuciem ważnej, dobrze wykonanej roboty otulił się derą.

– Kiej wama tutaj? – Chrząkała zajrzał pod rogożę.

W odpowiedzi dało się słyszeć przyjazne rzenie koników, które już się nieco zastały.

– No i chwała Chrystusowi. Wio-o!

Koniki zachrobotwały kopytami po przeciągu, samopęd drgnął i ruszył. Chrząkała wyrównał, nakierowując go na trasę. Spojrzawszy na biegnącą przed nimi drogę, obaj podróżnicy od razu zauważyli, że w czasie grzebaniny z płożą śnieg całkowicie zasypał ślad po fornalce, która wcześniej tędy jechała. Droga rozpościerała się przed nimi biała i czysta.

– Ło, kiej śniegu nawaliło, gęś nie udepcze. – Chrząkała cmoknął, poszarpując za lejce. – Poszły, poszły, chyżej!

Ale nudzących się cały ten czas pod rogożą koni nie trzeba było poganiać: żwawo pognały po zamarzniętym przeciągu, dźwięcznie wybijając werbel swoimi maleńkimi, podkutymi kopytkami. Samopęd rączo pędził po świeżym śniegu.

– Ino tylko wawóz przelecieć, a tam, wierzchem, droga galanta do samego młyna! – krzyknął Chrząkała, mrużąc oczy przed zadymką.

– Przelecimy! – Doktor dodawał mu otuchy, chowając jednocześnie twarz w kołnierzu pelisy, zostawiając na zewnątrz tylko swój wielki nos, który zdążył już lekko zsinieć.

Wiatr niósł płatki śniegu, wprowadzał w wir, podrywał z ziemi i ścielił na drodze. Las wokół był rzadkawy, z wyraźnymi śladami wyrębu.

Doktor zobaczył stary, suchy, najwyraźniej wiele lat temu pęknięty od uderzenia pioruna dąb i to przypomniało mu o uciekającym czasie. Wyjął zegarek, spojrzął. „Już szósta. Szybko zleciało... To nic... Oczywiście, po takim śniegu szybko nie dojedziemy, ale za parę godzin się dotoczemy. No też coś, diabli nadali tę dziwną piramidę. Do czego taka rzecz? Pewnie jako ozdoba na stół. Zdecydowanie to nie detal maszyny czy urządzenia. Fura wiozła dużo takich piramid, była przeładowana, jedna się wyslizgnęła i trafiła pod samopęd...”

Przypomniawszy sobie kryształowego nosorożca w domu u Nadine, nosorożca stojącego na etażerze z nutami, które brała swoimi drobnymi paluszkami, stawiała na pulpicie fortepianu i grała, kartkując szybkim, raptownym ruchem, takim ruchem, który od razu odzwierciedlał całą jej porywczą, niepewną jak marcowy lodek naturę. I ten migotliwy nosorożec z ostrym kryształowym rogiem i cienkim, zawiniętym jak u świni ogonkiem zawsze patrzył na Płatona Iljicza nieco szyderczo, jakby drażniąc się: Pamiętaj, nie ty jeden wstępujesz na ten kruchy lodek...

„Nadine jest już w Berlinie – pomyślał. – Tam, jak zawsze, zima bezśnieżna, pewnie mają deszczową, zgniłą pogodę, a ich jezioro Wannsee nigdy nie zamarza, całą zimę pływają kaczki i łabędzie. Piękny mają dom, z tym kamiennym rycerzem, z wiekowymi lipami i platanami... Jak głupio się rozstaliśmy, nawet nie obiecałem, że napiszę... Wrócę – koniecznie muszę do niej napisać, od razu to zrobię, starczy udawać skrzywdzonego i poniżonego... Nie jestem skrzywdzony i poniżony... A ona jest cudowna, bardzo dobra, nawet kiedy zachowuje się jak ostatnia suka...”

– Trzeba było wziąć tę piramidę – powiedział nagle i spojrzał z ukosa na woźnicę.

Chrząkała nie dosłyszał, jechał ze swoim charakterystycznym ptasim wyrazem twarzy. Cieszył się, że samopęd sunie dobrze, jakby nic się nie złamało, że ukochane koniki pędzą żwawo, że zamieć im nie zawadza.

„No masz, nawet na bok go nie ściąga – myślał, prawą ręką poruszając sterem, a lewą przytrzymując lejce. – Dyc wiadomo, galanto dochtor obwiązał płozę. Widać, że człowiek wprawny, obeznany, poważny. Masz, jaki nosaty: wieź go i wieź do Dołgiego! Dochtory to tyż wiela straszego się napatrzyli, wiela różności umieją. Ot, latoś u Komagona chłopaczyna wpadł pod kosę, tak w mieście nóżkę mu przyszyli i przyrosła, i teraz biega chyżej i łacniej... A ja, kiej gębę wykrzywiło, pojechał do dochtora do Nowosielca, zrobił mi zastryk i rozklapał gębę, i całkiem bez bólu trzy zęby wyjął, a juchy pół miski nacedził...”

Droga biegła w dół, las jeszcze bardziej się przerzedził i wkrótce ze śnieżnego całunu i kurzawy wynurzyły się niejasne zarysy przypaścistego wądołu.

– Tutaj, panie, potrza się spieszyć – powiedział Chrząkała. – Na górę po takim śnieżku moje nie pociągną. Przeciech to nie trzypiętrowe konie pociągowe...

– Spieszmy się! – odpowiedział dziarsko doktor, wiercąc się.

Zeskoczyli z samopędu i od razu wpadli po kolana w głębokie zasy. Droga była tu całkowicie zasypana. Chrząkała zaklinował żerdź steru w jednym prostym

ułożeniu, oparł się o plecy samopędu ze śladami starych spłowiących malowideł i zaczął popychać go z tyłu. Ale ledwo pojazd ominął dno jaru i ruszył do góry, od razu zaczął tracić prędkość, a w końcu całkiem stanął. Chrząkała odrzucił rogożę, spytał konie:

– Czegój tam?

Klasnął w rękawice nad ich grzbietami.

– No już, wespół! He-ta, rwaniem!

I głośno, dziarsko gwizdnął.

Koniki zaparły się o przeciąg, Chrząkała – o oparcie. Doktor również złapał za nie, pomagając.

– Chy-żej! Chy-żej! – krzyczał Chrząkała wysokim głosem.

Samopęd drgnął i z trudem popełził w górę. Ale po chwili znowu stanął. Woźnica podparł go z tyłu, żeby nie zjechał w dół do parowu. Konie chrapały. Doktor chciał znowu naprzeć całym ciałem, ale Chrząkała powstrzymał go, splunął, ciężko dysząc.

– Poczekajcie, panie, sił zbierzem...

Doktor też się zasapał.

– No i tyła. – Chrząkała się uśmiechnął, zsuwając czapkę na tył głowy. – Nic, nic, zara podniesiem.

Postali chwilę, odzipnęli.

Śnieg sypał gęsto miękkimi dużymi płatkami, ale wiatr jakby nieco przycichł i nie smagał ich w twarz.

– Nie spodziewałem się, że tu taka stromizna... – Doktor rozejrzał się, podtrzymując oparcie i obracając swoją szeroką, białą od śniegu papachą.

– A toć tutaj strumień – wysapał Chrząkała. – Latem jedzie się w bród. Wodusia dobra. Nieraz bywało, jadę, zlezę i się napiję.

– Żeby nie runąć w dół.

– Nie runiem.

Koźma postął chwilę, nie mogąc złapać tchu, gwizdnął i krzyknął na konie:

– Hee-ta, a niech was! Hee-ta, rwaniem! Rwa-niem! Rwa-niem!

Koniki skrobały po przeciągu. Pasażer i woźnica popychali samopęd. A ten powoli pełził do góry.

– He-ta! He-ta! – krzyczał i pogwizdywał Chrząkała.

Ale po dwudziestu krokach pojazd znów stanął.

– Żeby cię... – Doktor bezsilnie zawisł na tyle samopędu.

– Zara, zara, panie... – dławiąco mamrotał Chrząkała, jakby się tłumaczył. – Za to potem w dół lekko zjedziem, do samej grobli...

– Po co tu drogę wyznaczyli... na takiej stromiźnie... durnie... – oburzał się doktor, potrząsając lisią czapą.

– A dzie ją jeszcze znaczyć, panie?

– Objechać.

– A kiej tu objechać?

Doktor, zmęczony, machnął ręką, pokazując, że nie chce dyskutować. Złapali oddech i ponownie poszli na górę pod gwizdy i okrzyki Chrzakały. Jeszcze cztery razy musieli stawać i odpoczywać. W końcu wyczerpani ludzie i konie wydostali się z parowu.

– Chwała ci... – westchnął Chrzakała, plując w stronę przeklętego jaru i podchodząc do koni. Zajrzał do kapuzy.

Koniki były spienione, buchała z nich para, ale słabo widoczna: kiedy wydostawali się z wąwozu, zaczął zapadać zmrok. Umęczony doktor zrzucił papachę, przeciągnął ręką po całkowicie mokrej głowie, wytarł pot z czoła, wyjął chustkę do nosa i wysmarkał się tubalnie. Jego wąski biały szal wysunął się spod pelisy i plątał. Doktor zaczerpnął garść śniegu i łapczywie złapał ustami. Chrzakała nakrył konie, zzuł walonki i zaczął wytrząsać z nich śnieg. Kołysząc się, doktor wlaźł na siedzenie i odchylił się do tyłu. Siedział, wystawiwszy twarz na padający śnieg.

– No, tośmy się wdrapali. – Chrzakała włożył walonki, klapnął obok doktora i z trudem uśmiechnął się do niego. – Jedziem?

– Jedziemy! – niemal krzyknął doktor, kotłując w głębokiej, jedwabnej, przyjemnej w dotyku kieszeni w poszukiwaniu papierośnicy i zapalek. Ten znajomy dotyk gładkiego, delikatnego jedwabiu od razu go uspokoił i dał poczucie, że najtrudniejsze już za nim, że ten niespokojny, niebezpieczny jar na zawsze pozostał za plecami.

Płaton Iljicz zaciągnął się papierosem ze szczególną rozkoszą człowieka odpoczywającego po ciężkiej robocie. Wąska, rozogniona twarz dyszała ciepłem.

– Chcesz papierosa? – zapytał Chrzakałę.

– Bóg zapłać, panie, nie palim. – Woźnica podciągnął lejce, koniki słabo pociągnęły.

– A co się stało?

– Ano tak wyszło. – Chrzakała uśmiechnął się z wysiłkiem swoim ptasim uśmiechem. – Wódkę piję, a tytoniu nie palę.

– I tak trzymać! – Doktor również roześmiał się z wysiłkiem, wypuszczając dym z mięsistych ust.

Koniki ciągnęły spokojniutko, samopęd, torując sobie drogę, jechał po całkowicie zasypanym trakcie. Las skończył się razem z parowem; poprzez wirujący śnieg słabo widniało spadziste pole z rzadkimi wysepkami krzewów i wikliny.

– Zmordowały się moje koniki. – Chrząkała trzepnął rękawicą w rogozę. – Nic, nic, zara wama pofolguję.

Droga zaczęła płynnie skręcać na lewo, na szczęście znów pojawiły się na niej rzadkie słupce.

– Zara groblę przejedziem, a tam prosta droga przez Nowy Las, zboczyć trudno – wyjaśnił woźnica.

– Dawaj, bracie, dawaj – poganiał go doktor.

– Lekuchno odzipną i pojedziem.

Koniki powoli dochodziły do siebie po męczącym podejściu i niespiesznie ciągnęły samopęd. Tak się wlekli ze dwie wiorsty. Niemal całkiem ściemniało. Śnieg sypał, ale wiatr przycichł.

– No i jest grobla. – Chrząkała wskazał biczem przed siebie, a doktor miał wrażenie, że stoi tam wielki, zasypany śniegiem stóg siana.

Podjechali bliżej i stóg siana okazał się mostem przez rzeczkę. Samopęd już go przemierzał, kiedy coś zaskrzypiało na spodzie, Chrząkała złapał mocno za ster, ale nagle zaczęło ich znosić na prawo, zjechali z mostu, wpadli w zaspę i stanęli.

– Ożeż, a niech cię... – Woźnica westchnął głęboko.

– Znowu płoza? – wymamrotał doktor.

Ale tamten zeskoczył i tylko rozbrzmiał jego głos:

– No, nazad! Na-zad! Na-zad!

Konie zaczęły się posłusznie cofać, a Chrząkała pomagał im, napierając na przód samopędu, który z trudem wyjechał z zasy. Woźnica znikł w śnieżnym całunie, ale szybko powrócił.

– Płoza, panie. Wasz bandażyk zlazł.

Doktor, rozdrażniony i zmęczony, wygramolił się spod baranicy, podszedł, nachylił się, z trudem rozróżniając pęknięty nosek płozy.

– Do diabła! – zaklął.

– O-o... – Chrząkała pociągnął nosem.

– Trzeba znowu zabandażować.

– A dyć po co? Parę wiorst przejedziem i to samo.

– Trzeba jechać! Koniecznie trzeba! – Doktor trząśł swoją lisią czapą.

„Ot, uparciuch...” – Chrząkała spojrział na niego, podrapał się pod czapkę, popatrzył w dal.

– Wiecie co, panie. Tu niedaleko młynarz żyje. Potrzeba by do niego. Tam poręczniej będzie narychtować płożę.

– Młynarz? Gdzie? – Doktor kręcił głową, nic nie widząc.

– Ło-o-o, okienko się pali. – Chrząkała machnął rękawicą.

Płaton Iljicz wpatrywał się w śnieżną ciemność i faktycznie dostrzegł ledwo zauważalne światełko.

– Ja by do niego i za dziesięć rubli nie pojechał. Ale co począć, nic innego nie wymyślím. Przecie tu w polu nie będziem szukać wiatru.

– A co z nim? – spytał doktor z roztargnieniem.

– Niewyparzona gęba. Ale żonę ma dobrą.

– To jedźmy szybciej.

– Ino łacniej piechotą, bo koniki ledwo zipią.

– Chodźmy! – Doktor zdecydowanym krokiem ruszył w stronę światełka i od razu zapadł się w śniegu po kolana.

– Ło, tam droga! – wskazał Chrząkała.

Płaton Iljicz, potykając się w długopołej pelisie i klnąc na czym świat stoi, wydostał się na całkowicie niewidoczną drogę. Chrząkała z trudem wypchnął tam też samopęd i popędzał koniki, a sam szedł obok, trzymając za ster.

Droga pełzła wzdłuż zamarznętej rzeki, po niej krańcowo wolno, z wysiłkiem sunął samopęd. Chrząkała, sterując nim, zmęczył się i zasapał. Doktor szedł z tyłu, z rzadka popychając pojazd w oparcie siedzenia. Śnieg walił i walił. Chwilami padał tak gęsto, że doktor miał wrażenie, iż kręcą się w kółko brzegiem jeziora: ogienek to znikał, to migotał w oddali.

„Pech chciał, że wpadliśmy na tę piramidę – myślał, trzymając za tył samopędu. – Już dawno byśmy byli w Dołgiem. Rację ma ten Koźma: ile niepotrzebnych rzeczy jest na świecie... Wytwarzają je, rozwożą taborami po miastach i wsiach, namawiają ludzi na zakup, żerując na bezguściu. A ludzie kupują i cieszą się, nieświadomi bezużyteczności, głupoty tej rzeczy... Właśnie taka paskudna rzecz przyniosła nam dzisiaj kłopoty...”

Chrząkała, nieprzerwanie nakierowując spełzający na prawo z drogi samopęd, rozmyślał o zniechęconym młynarzu; o tym, że już dwukrotnie przysięgał nie jeździć do niego, a teraz znów przyjdzie mieć z nim do czynienia.

„Widać, słabe dałem przyrzeczenie – dumiał. – Poprzysięgłem na Pana naszego: noga moja tam nie postanie, a tera leżę do niego szukać pomocy. Kiebym się zaprzysięgł mocno, nic by się nie stało, ponieśliby nas anieli na

skrzydłach swoich podle tego młyna. A tera leż, stukaj, proś... Albo całkiem nie potraza się zaklinać? Jak powiedział dziadek: Nie czynź zła i nie zarzekaj się...”

W końcu ze śniegu wyłoniły się ledwo zauważalne dwie półleżące w zaspach wikliny, a za nimi też dom młynarza z migoczącymi dwoma okienkami, stojący wprost na brzegu i niemal nawisający nad rzeką. Patrząc poprzez zawieję na zastygłe w rzece koło wodne, doktorowi zdawało się, że to okrągłe schody wiodące z domu do rzeki. Wyglądało to tak przekonująco, że nawet nie miał co do tego wątpliwości i tłumaczył sobie, że schody te są niezbędne w gospodarstwie do czegoś ważnego, związanego zapewne z rybołówstwem.

Samopęd dopełzył do domu młynarza.

Za bramą zaszczekał pies. Chrząkała wysiadł, podszedł do chałupy i zastukał w świecące okno. Po dłuższej chwili furka przy wierzei lekko się uchyliła i ukazał się niewidoczny w ciemności człowiek.

– Czego?

– Witaj. – Chrząkała skierował się do niego.

– A, witajcie. – Człowiek za furką poznał Chrząkałę.

Woźnica z kolei poznał robotnika, chociaż ten był u młynarza raptem pierwszy rok.

– Ja tego, dochtora do Dołgiego wieżę, a tu nam płożę połamalo, ino na wietrze nieporęcznie narychtować.

– A-a-a... No, poczekaj...

Furka się zamknęła.

Minęło kilka długich minut i za wierzeją zaczęła się krzątanina, zaskrzypiał zamek, głośno rozwarły się wrota.

– Wjeżdżajta do obejścia! – krzyknął rozkazującym tonem ten sam robotnik.

Chrząkała głośno cmoknął, kierując samopęd w skrzydła bramy. Pojazd wpełził do obejścia. Doktor wszedł ich śladem, a robotnik od razu zamknął i zastawił wrota. Chociaż było ciemno i śnieżnie, dało się zauważyć dość obszerne podwórze z zabudowaniami.

– Panie dochtorze, prosimy – rozbrzmiał kobiecy głos na ganku.

Doktor ruszył w jego stronę.

– Ino się nie potknijcie – uprzedził głos.

Płaton Iljicz ledwo dostrzegł drzwi, ale w tym momencie zahaczył nogą o schodek i złapał się rękoma za babę.

– Ino się nie potknijcie – powtórzyła, przytrzymując go.

Od baby zaleciało kwaśnym wiejskim ciepłem. W ręku trzymała świecę, którą od razu zdmuchnął wiatr. Była żoną robotnika. Poprowadziła doktora przez sień,

otworzyła drzwi. Ten wszedł do przestronnej, solidnie i wedle miary wiejskiej bogato urządzonej izby. Dwie duże lampy naftowe oświetlały pomieszczenie: dwa piece, rosyjski i holenderski, dwa stoły, kuchenny i obiadowy, ławy, skrzynie, półki z naczyniami, łóżko w rogu, odbiornik pod narzutką, portret Monarchy w niegasnącej tęczowej ramie, portrety córek monarszych Anny i Kseni w takich samych przelewających się ramkach, dwururkę i automat Kałasznikowa na rogach łosia, gobelin przedstawiający jelenie na rykowisku i aparaturę bimbrowniczą na drewnianej podstawce.

Przy stole obiadowym siedziała młynarzowa Taisia Markowna, korpulentna, potężna kobieta koło trzydziestki. Stół był nakryty, na nim pobłyskiwał maleńki, pękaty samowar i stał dwulitrowy balon samogonu.

– Wejdźcie, prosimy – rzekła młynarzowa, wstając i narzucając ześlizgującą się wielką kwiecistą tradycyjną chustę na swoje pulchne ramiona. – Boże, przecie wy cali we śniegu!

Doktor faktycznie był cały w śniegu, niczym bałwan ulepiony przez dzieciarnię na zapusty – tylko siny nos sterczał spod utyłanej w śniegu papachy.

– Awdotia, no co stoisz, pomóż – nakazała młynarzowa.

Awdotia jęła otrząsać i rozbierać doktora.

– A coście to z wieczora i to w taką zawieruchę wyruszyli? – Młynarzowa wyszła z za stołu, szeleszcząc spódnicą.

– Myśmy wyjechali za dnia – odpowiedział doktor, oddając kawałek po kawałku ciężące, mokre ubranie, zostając w ciemnogramatowym trzyczęściowym garniturze i w białym szalu. – Ale w drodze się połamaliśmy.

– Masz ci los. – Młynarzowa uśmiechnęła się, podchodząc do niego i trzymając się pulchnymi białymi rękoma za rogi swojej chusty. – Taisia Markowna. – Pokłoniła się doktorowi.

– Doktor Garin. – Płaton Iljicz kiwnął do niej głową, rozcierając ręce.

Kiedy wszedł do izby, od razu poczuł, że zziębł, zmęczył się i zgłodniał.

– Napijcie się z nami herbatki, ogrzejcie.

– Z przyjemnością. – Doktor zdjął binokle i zaczął niespiesznie przecierać je szalem, zezując na samowar.

– A skąd jedzicie? – spytała młynarzowa.

Miała piersiowy, przyjemny głos, mówiła lekko śpiewnie i z nietutejszym akcentem.

– Rano wyjechałem z Repisznej, ale w Dołbieszynie nie znaleźli dla mnie koni. Trzeba było tamtejszego woźnicę najać, z samopędem.

– Kogo?

– Koźmę.

– Chrzakałę? – zapiszczał głosik za stołem.

Doktor wcisnął binokle, spojrzął: na stole obok samowara siedział, zwiesiwszy nóżki, maleńki człowiek. Rozmiarem nie był większy od tego błyszczącego, nowiutkiego samowarka. Człowiek ubrany był we wszystko maleńkie, ale zgodnie z modą obowiązującą z a m o ż n e g o młynarza: miał na sobie czerwony, robiony na drutach kaftanik, wełniane spodnie mysiego koloru i czerwone szykowne buciki, którymi machał. W rękach trzymał malusieńkiego skręta, którego przed chwilą zwinął i skleił swoim maleńkim języczkiem. Twarz człowieczek miał niepozorną, bezbrową; na głowie sterczały mu jasne, rzadkie włosy, które po policzkach przechodziły w rzadką jasną bródkę.

Płaton Iljicz wielokrotnie spotykał i leczył maleńkich ludzi, dlatego absolutnie nie był zaskoczony, wyciągnął papierośnicę, otworzył, wyjął papierosa i nawykowym ruchem wkręcił go w kącik swoich mięsistych ust, odpowiadając maleństwu:

– Tak, jego właśnie.

– Nie mieliście kogo nająć! – Człowieczek złośliwie się roześmiał, biorąc skręta do swoich nieprzyjemnych wielkich ust i wyjmując z kieszonki maciupenką zapalniczkę, wielkości trzykopieskowej monety. – Ten to was zawiezie, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Pstryknął zapalniczką, zaświecił się strumień niebieskiego gazu, człowieczek skierował zapalniczkę do doktora.

– Chrzakała? A gdzie on? – Młynarzowa przeniosła spojrzenie swoich piwnych, spokojnych, lekko błyszczących od wypitego samogonu oczu na robotnicę.

– Na podwórku gospodarczym – odpowiedziała ta. – Zawołać?

– Oczywiście, wołaj, niech się ogrzeje.

Doktor nachylił się nad człowieczkiem, a ten ze swej strony z szacunkiem nieco się uniósł, wyciągnął zapalniczkę jeszcze bardziej do góry, jakby trzymał pochodnię. Jego ręka kołysała się i było widać, że jest pijany. Płaton Iljicz przypalił, wyprostował plecy, zaciągnął się i wypuścił szeroki strumień dymu nad stołem. Człowieczek również przypalił, schował zapalniczkę do kieszonki i pokłonił się doktorowi.

– Siemion, syn Marka. Młynarz.

– Doktor Garin. Macie z żoną tak samo po ojcu?

– Tak! – zaśmiał się człowieczek i zachwiał, oparł o samowar, ale natychmiast oderwał rękę. – Markowna i Markycz. Tak lichy nadało, twoja mać...

– Nie klnij. – Młynarzowa podeszła. – Siadajcie, doktorze, popróbujcie herbaty. A i nie grzech wódeczki tak z mrozu wypić.

– Nie grzech – zgodził się doktor, bo już nabrał szczerzej ochoty na kieliszek.

– A jakże! Wódka czy herbata w mróz dla kamrata! – zapiszczał młynarz, chwając się, podszedł do butelki, objął i dźwięcznie klepnął ją dłonią.

Butelka była równa z nim.

Płaton Iljicz opadł na krzesło. Awdotia postawiła przed nim talerz, szklaneczkę, położyła trzyzębny widelec. Młynarzowa wzięła do ręki butelkę, lekko nią odpychając młynarza, który od razu klapnął na stół, wpadając plecami na piętę pszennego chleba. Nalała doktorowi samogonu.

– Pijcie na zdrowie.

– A mnie? – spytał młynarz, dymiąc cygaretką.

– A tobie już starczy. Siedź, pal.

Młynarz nie chciał się spierać z żoną, siedział więc oparty o piętę chleba i kocił skręta.

Doktor ujął szklaneczkę dłonią, szybko wychylił w milczeniu, nie wypuszczając papierosa z lewej ręki, złapał na widelec trochę kiszzonej kapusty, zakąsił. Młynarzowa położyła mu na talerzu kawałek domowej szynki i trochę smażonych na patelni ziemniaków.

– Markowna, potraza co jeszcze? – spytała Awdotia.

– Nie trzeba. Idź do siebie. Ino Chrzakałę do nas wołaj.

Awdotia wyszła.

Płaton Iljicz zaciągnął się kilka razy, szybko zgasił papierosa w maleńkiej granitowej popielniczce pełnej maleńkich niedopałków i zaczął jeść łapczywie.

– Chrzaka-a-łę! – pogardliwie przeciągnął młynarz, krzywiąc przy tym i bez tego nieładne żabie usta. – Znalazła gościa drogiego. Chrzakałę! Oberwaniec! I zasraniec!

– Cieszy nas każdy gość – spokojnie odrzekła młynarzowa, nalała sobie samogonu i z lekkim uśmiechem spozierała na doktora, nie zwracając uwagi na męża. – Na zdrowie, doktorze.

Płaton Iljicz w milczeniu skinął głową, sznurując piękne pełne wargi.

– I mnie nalej! – płaczkliwie wykrzyknął młynarz.

Taisia Markowna odstawiała swoją już podniesioną do ust szklaneczkę, westchnęła, wzięła butelkę i plusnęła samogonu do stalowego naporstka stojącego na maleńkim plastikowym stoliku. Doktor wcześniej nie przyuważył tego standardowego stolika dla maleńkich ludzi. Stał on między talerzem z szynką a miseczką z kiszonymi ogórkami. Pobłyskiwał na nim naporstek, stały

kubeczki, talerzyki z tą samą zakąską co na dużym stole dla zwykłych ludzi, tylko odkrojoną po kawałeczku z dużych dań: kawałek szynki, odrobinka słoniny, plasterczek kiszzonego ogórka, miąższ chleba, marynowany grzybek, kiszona kapusta.

Młynarz szybko się zaciągnął i z nieprzyjemnym, zmijowym sykiem wypuścił dym z ust, rzucił peta na blat, wstał i z rozmachu przypieczętował niedopałek butem. Doktor zauważył, że jego czerwone buciki są podkute miedzią. Młynarz złapał napałek, stojąc i chwiejąc się, wyciągnął rękę do doktora.

– Piję za was, panie doktorze! Za drogiego gościa. I przeciwko wszelkiej hołocie.

Płaton Iljicz przeżuwał zakąskę, w milczeniu spoglądając na młynarza. Młynarzowa znowu naląła mu samogonu. Wziął do ręki i stuknął się z napałkiem i ze szklaneczką gospodyni. Wypili: doktor tak samo szybko i bezdźwięcznie, Taisia Markowna powoli, wzdychając, kołysząc swoimi wielkimi piersiami, młynarz jakoś tak boleśnie, odchylając się mocno do tyłu.

– Och – westchnęła młynarzowa, złożyła swoje niewielkie usteczka w trąbkę, wypuściła powietrze, poprawiła chustkę na ramionach, skrzyżowała pulchne ręce na wysokiej piersi, zaczęła patrzeć na doktora.

– U-ach! – chrząknął młynarz, z impetem stuknął pustym napałkiem o stolik, pochwycił miąższ chleba, wetknął w niego nos i głośno powąchał.

– Jak wyście się połamali? – spytała młynarzowa. – W pieniekście wjechali?

– Wjechali – przytaknął doktor, wsuwając do ust kęs szynki i nie mając najmniejszej ochoty opowiadać niedorzecznej historii z piramidą.

– A jak ten Chrzakała nie wjedzie?! Przecie to złamas! – zapiszczał młynarz.

– Dla ciebie wszystkie złamasy. Daj porozmawiać z człowiekiem. A gdzie to się stało?

– Jakieś trzy wiorsty stąd.

– Pewnikiem w jarze? – Młynarz chwycił maleńki nożyk, chwiejąc się, podszedł do miski z ogórkami kiszonymi, wetknął nóż w ogórka, wykroił kawałek, jak wykraja się klin z arbuza, wsunął do ust i zachrząścił.

– Nie, jeszcze przed jarem.

– Przed? – Taisia Markowna zaczerpnęła łyk powietrza. – Droga tam chociaż leśna, to przecie szeroka.

– A skręcił z drogi... ten półgłówek... mmm... i wpadł na brzózkę... – Młynarz pokiwał głową, żując ogórka.

– Wjechaliśmy na coś twardego. Pech. A woźnica dobry.

– Dobry – zgodziła się młynarzowa. – Markycz go po prostu nie lubi. On nikogo nie lubi.

– Lubię... niehołotę... – Młynarz przeżuwał. I nagle hałaśliwie wypluł wymamlany kawałek ogórka, tupnął nogą. – Ciebie, głupia, Kocham! Ty mi na przekór nie rób!

– A kto ci robi na przekór? – zaśmiała się Taisia Markowna, dalej patrząc na doktora. – A z Repisznej to gdzie jedziecie?

– Do Dołgiego.

– Do Dołgiego? – zadziwiła się i od razu przestała się uśmiechać.

– Do Dołgiego?! – pisnął młynarz i przestał się chwiać.

– Do Dołgiego – powtórzył doktor.

Młynarz i młynarzowa spojrzeli po sobie.

– Tam przecie czarnucha, w radiośmy baczyli. – Taisia Markowna wygięła czarne brwi ze zdziwienia.

– Ja w radio rano widział! – Młynarz pokiwał głową. – Czarnucha tam!

– Tak. Panuje tam czarnucha. – Doktor kiwnął głową, dozuwając kęs i odchylając się na oparcie fotela.

Jego duży nos spotniał i zaróżowił się od wódki i jedzenia. Płaton Iljicz wyjął chusteczkę, głośno się wysmarkał.

– Tam przecie... tego... wojsko na odłogach. Gdzie wy się wybieracie? – Młynarz potknął się i zakołysał.

– Wiozę wakcyne.

– Wakcyne? Zaszczepić? – spytała młynarzowa.

– Tak. Zaszczepić tych, którzy zostali.

– Kogo jeszcze n-nie pogryzły? – Młynarz, tracąc równowagę, oparł się o ogórka.

Widać było, że ostatni naparstek powalił go z nóg.

– Tak. Kogo nie pogryzły.

Doktor wyjął papierośnicę, wyciągnął papierosa i z westchnieniem człowieka, który zaspokoił głód, zapalił.

– Jak wy się nie boicie tam jechać? – Młynarzowa zakołysała piersiami.

– Taką mam pracę. Zresztą, czego się bać, tam są wojska.

– Ale one też, te... Silnie zwawe. – Z troską poobracała pustą szklaneczkę w pulchnej dłoni.

– One! O-n-ne! One takie zwa-a-we! – Młynarz zatrzęsął głową z urazą, trzymając się guzków ogórka kiszzonego.

– One przecie ryją pod ziemią. – Młynarzowa oblizała usta.

– Ryją! R-ryją pod ziemią!

– I mogą gdzie chcesz wyleźć.

– I m-mogą... m-mogą! Hołota jedna...

– Mogą, oczywiście – zgodził się doktor. – Nawet zimą spokojnie rozsuwają zmarzłą ziemię.

– Boże, Twoja wola... – Młynarzowa przeżegnała się. – Macie broń przy sobie?

– Oczywiście. – Doktor kopcił papierosa.

Spodobała mu się ta kobieta. Było w niej coś matczynego, dobrego, troskliwie przytulnego, co wywoływało w nim dziecięce wspomnienia z czasów, kiedy żyła jeszcze matka. Młynarzowa nie była piękna, ale jej kobiecość zniewalała. Przyjemnie się z nią rozmawiało.

„Poszcześnieło się temu pijakowi” – pomyślał doktor, patrząc na jej pulchne ręce, na jej gładkie grubiotkie palce z maleńkimi paznokciami, obracające szklaneczkę.

Drzwi się otworzyły i wszedł Chrzakała.

– Niech będzie pochwalony! – Zsunął czapkę, pokłonił się, przeżegnał w kierunku ikon i zaczął rozbierać.

– A, Iw-wan Susanin zawsze w pole wywiedzie! – Młynarz zachichotał, przytrzymując się ogórka. – Czegoś w brzozę wjechał, srocza głowo?

„A faktycznie – srocza głowa...” – zgodził się w duchu doktor, spojrzawszy na Chrzakałę.

– I któren ci na to po-zwolił?! Zła-mas!

– Nie klnij mi tu, Sienia! – Młynarzowa trzasnęła ciężką dłonią w stół.

– Jesteś w-róg p-państwowy, jasne? Nie? W szkodeś wlażł! – Młynarz, chwiejąc się i omijając zakąskę, ruszył przez stół w stronę Chrzakały. – Za to należałoby cię wsadzić!

Potknął się i klapnął na słońcę.

– Siedź już! – Młynarzowa uśmiechnęła się. – Wejdz, Koźma, spocznij.

Ten, gładząc swoje rude, mokre od potu włosy, podszedł do stołu.

– Całą tę hołotę, oberwańców i zasrańców należy wsadzić! Ty flaku, połamany mięk-ko-je-bie! – piszczał młynarz, ze złością wbijając wzrok w Chrzakałę.

– No, no, no... – Taisia Markowna, tracąc cierpliwość, zagarnęła męża rękoma, posadziła na swojej piersi i przycisnęła go. – Siedź!

Przytrzymując jedną ręką męża, drugą nalała Chrzakale samogonu do szklanki po herbacie.

– Wypij, rozgrzej się.

– Bóg zapłać, Taisiu Markowna. – Woźnica usiadł przy stole, przyjął szklanę swoimi kleszczami, pochylił się nad nią, wydał sroczy dziób i zaczął powoli wciągać samogon, prostując się z każdym haustem.

Wypił, wypuścił powietrze z płuc, skrzywił się, wziął kawałek chleba, powąchał, odłożył na stół.

– Zakaszaj, Koźma, nie krępuj się.

– Żryj, gębę se wysmaruj! – zaśmiał się młynarz. I od razu zaśpiewał drżącym głosem:

Dziadowi robi baba tyradę:

– Do Ameryki ja jeszcze pojadę!

– Ty pizdo, pierdoły takie pleciesz,

Pociągiem tam przecie nie dojedziesz!

– A weź no przestań! – Młynarzowa potrząsnęła mężem.

Ten zaśmiał się pijany.

Chrząkała wziął kęs słoniny, wsunął do ust, odgryzł kawałek chleba i zaczął szybko przeżuwać. Ledwo przełknął, doktor spytał go:

– Co tam z samopędem?

– Załatałem listwą, gwoździkami z góry przybiłem.

– Można jechać?

– Można.

– No to jedźmy.

– Zbieracie się jechać? Do Dołgiego? – Młynarzowa uśmiechnęła się lekko.

– Tam na mnie ludzie czekają.

– Niechaj ten... ten oberwaniec jedzie, a doktor zostaje! – Młynarz pogroził pięścią Chrząkale.

– Poczekaj! – Taisia Markowna przycisnęła go do piersi. – Gdzie wy się nocą w burzę śnieżną wybieracie? Zarutko drogę zgubicie.

– Zarutko! Zar-r-rutko! – Młynarz trząsał głową.

– Ja koniecznie dzisiaj muszę być w Dołgiem – uparcie powtarzał doktor.

Kobieta głęboko westchnęła, kołysząc męża jak niemowlę.

– Przez zagajnik, przez Stary Posad jako tako przejedziecie, a dalej zaczną się pola i słupców tam nie ma. Ugrzęźnicie w śniegu, tam przyjdzie wam nocować.

– A nikt nas nie może naprowadzić? Wasz robotnik, dla przykładu?

– Ano co robotnik? – Młynarzowa uśmiechnęła się. – Co, on ma kocie oczy? Nocą nic nie widzi. I on nie jest tutejszy.

– Chłopisko z niego co się z-zowie... – Młynarz wsparł się bucikami na piersi żony, wlaźł po niej na górę, złapał ją za szyję, patrząc na Chrzakałę. – A o ty... masz ty!

Pokazał mu figę. Ten spokojnie jadł kiszoną kapustę, nie zwracając uwagi na człowieczka.

– Zostańcie do rana. – Młynarzowa wolną ręką podstawiła szklanę pod kranik samowara, odkręciła go. Do szklanki ciurkał wrzątek.

– Oni dziś na mnie czekają. – Doktor zgasił niedopałek.

– Nawet jak pojedziecie galanto, to i tak nie dotrzecie przed świtem. Teraz jechać, tylko piechotą.

– A może zostaniem, panie? – nieśmiało spytał Chrzakała.

– Posz-szedł won! Konia żeś prześlepił na jarmarku! Wałkoń jesteś! – krzyczał młynarz, wierzgając bucikami po piersiach żony.

– Zostańcie, nie wydziwiajcie. – Młynarzowa nalała do szklanki esencję z chińskiego czajniczka. – O brzasku zawierucha śnieżna ścichnie, szybko pognacie.

– A jak nie ścichnie? – Doktor popatrzył na Chrzakałę tak, jakby od niego zależała pogoda.

– A jeżeli nawet nie ścichnie, to i tak poręczniej za widna – odpowiedział woźnica i zachłystnął się, zakaszłał.

– On przeputał konia i prze-tu-pał! – Młynarz nie mógł się pohamować. – Ciebie należałoby pos-sa-dzić za koniokradztwo!

– Zostańcie. – Młynarzowa postawiła szklanę z herbatą przed doktorem i zaczęła nalewać też Chrzakale. – I koniki odzipną.

– Od-zi-pną twoje koniki, a nie odzipną! – krzyknął młynarz.

Taisia Markowna zaśmiała się, jej pierś zaczęła falować i mąż zakołysał się na niej jak na morskiem bałwanie.

„Może faktycznie zostać?” – pomyślał doktor.

Poszukał oczyma zegara po solidnie ogaconych ścianach, ale go nie znalazł i już sięgał po swój, kiedy nagle dostrzegł maleńkie, świecące w powietrzu żółtawe cyfry nad metalicznym kółkiem leżącym na maszynie do szycia – 19:42.

„Można spróbować dostać się tam przed północą... Ale jeśli zabłądzimy, jak ona mówi?”

Upił łyk herbaty.

„Zostać i wstać do dnia. Jeśli zamieć ustanie, dojedziemy w jakieś półtorej godziny. No cóż, zaaplikuję im szczepionkę-2 o osiem godzin później. To do przyjęcia. Nic straszego się nie stanie. Napiszę wyjaśnienie...”

– Nic strasznego się nie stanie, jak przyjedziecie tam jutro – powiedziała młynarzowa, jakby odgadując jego myśli. – Wypijcie jeszcze wódeczki.

Przygryzając dolną wargę, doktor jeszcze raz spojrział na świecące w powietrzu cyfry, zastanawiał się.

– To zostajemy? – Chrząkała przestał przeżuwać.

– Dobra – westchnął Płaton Iljicz z niezadowoleniem – zostajemy.

– Dzięki Bogu. – Chrząkała kiwnął głową.

– I dzięki Bogu. – Młynarzowa niemal to odśpiewała, nalewając samogon.

– A mnie? A mnie? – Młynarz kręcił się na piersi.

Kobieta kapnęła z butelki do naparstka, podała mężowi.

– Bądźcie zdrowi! – Podniosła swoją szklaneczkę.

Doktor, Chrząkała i młynarz wypili.

Zakąszając szynką, doktor obrzucił wzrokiem izdebkę już nie jako miejsce przystanku, tylko noclegu: „Gdzie ona nas położy? W drugiej izbie. Trafiło się z noclegiem, też coś. Diabli nadali tę zamieć...”.

Chrząkała uspokoił się już i oklapnął. Od razu zrobiło mu się ciepło, był zadowolony, że nie trzeba będzie teraz jechać po zmroku, błąkać się, szukając drogi, męczyć koników i siebie samego, że zwierzątka spędzą noc w ciepłe w stajni młynarza, że podrzuci im kaszy owsianej, której worek ma zawsze przyszykowany pod siedzeniem, i że sam się tutaj wyśpi, najpewniej na zapiecku, w ciepłe, że przebrzydły młynarz go nie ruszy, że wyjadą skoro świt, że dowiózłszy doktora do Dołgiego, dostanie od niego pięć rubli i wróci do domu.

– Dobra, może to i lepiej – rzekł Płaton Iljicz, uspokajając samego siebie.

– Lepiej. – Młynarzowa uśmiechnęła się do niego. – Was położę na górze, a Koźmę na zapiecku. Na górze mamy spokojnie, ciepło.

– Och, cosik mnie nogę przeflancowało... – zapiszczał młynarz, zmarszczył swoją pijaną buźkę i złapał się za prawą nogę.

– Położyłbyś się spać. – Młynarzowa chciała już zdjąć go z piersi, ale w tym momencie on upuścił swój naparstek i sturlawszy się po wielkim cieple żony, spadł na stół. – No masz ci los, Siemion Markycz, nawet szklanek straciłeś. – Czule, jakby był dzieckiem, posadziła go przed sobą na skraju stołu.

– Czego? Jakże takie? – mamrotał kompletnie pijany młynarz.

– Takie. – Westchnęła, wstała, podchwyciła męża obiema rękami, odniosła do łóżka, położyła i zaciągnęła zasłonkę. – Kładź się, kładź... – Zaszleściła poduszkami i kołdrą, układając męża.

– Obudź mnie jutro jak najwcześniej – powiedział doktor do woźnicy.

– Kiej tylko się rozwidni, to ja od razu. – Chrząkała pokiwał swoją rudą sroczą głową.

Widać było, że się upił wódką, ciepłem, jedzeniem i też chciał już spać.

– Żeby wszystkich... wszystkich... wszystkich... – donosił się z za zasłonki pijany pisk młynarza.

„Kieby świerszcz cykał...” – skojarzył Chrząkała i uśmiechnął się swoim ptasim uśmiechem.

– Ta-isia... Taiś... chodź, lubie-ż-żności się oddamy... – piszczał młynarz.

– Oddamy. Śpij.

Taisia Markowna wyszła z za zasłonki, podeszła do gości, przykucnęła i zajrzała pod stół.

– Kajś tu...

„Nieźła baba” – pomyślał nagle Płaton Iljicz.

Kucając i zaglądając pod stół swoimi błyszczącymi, lekko znieruchomiałymi oczyma, wzbudziła w nim pożądanie. Nie była piękna, to dało się zauważyć szczególnie teraz, kiedy doktor widział jej twarz z góry: czoło miała niskie, podbródek ciężkawy i skrzywiony w dół, w zasadzie posiadała gburowate, wiejskie rysy. Ale jej figura, jej biała skóra, jej pełne, kołyszące się piersi podniecały doktora.

– O... – Wyciągnęła rękę pod stół, pochyliła głowę.

Włosy miała zaplecione w czarny warkocz, a warkocz zawinięty wokół głowy.

„Słodką babę ma młynarz...” – przebiegło doktorowi przez głowę i natychmiast, zawstydzony własnymi myślami, westchnął ze zmęczeniem i roześmiał się.

Młynarzowa wyprostowała się i z uśmiechem pokazała mały palec z naciśniętym nań naparstkiem.

– No masz!

Usiadła na stole.

– Lubi pić z mojego naparstka. Chociaż mamy szklaneczki.

I faktycznie – na stoliku młynarza pośród maleńkich talerzyków stała też maleńka szklaneczka.

– Mnie to już śpik zmorzył – powiedział ze skargą w głosie Chrząkała, odwracając dnem do góry swoją szklanę po herbacie.

– Kładź się, kochanieńki. – Młynarzowa zdjęła naparstek z palca i postawiła go również dnem do góry na odwróconej szklance. – Tam na piecu jest poduszka i pierzyna.

– Bóg zapłać, Taiś Markowna. – Chrząkała pokłonił się jej i wlaź na piec.

Doktor i młynarzowa zostali przy stole.

– Znaczy się, wy w Repisznej lekujecie? – spytała.

– W Repisznej. – Doktor upił herbaty.

– A to trudno?

– Zależy kiedy. Kiedy często chorują, trudno.

– A kiedy rychlej chorzają? Pewnikiem zimą?

– Latem zdarzają się epidemie.

– Epidemie... – powtórzyła, kiwając głową. – U nas też było dwa roki temu.

– Dyżenteria?

– Tak, tak... Do rzeczki cosik tam wpadło. Dzieciaczki zachorzały, te, co się kąpały.

Doktor skinął głową. W siedzącej naprzeciwko niego kobiecie było coś, co wyraźnie go pobudzało. Spoglądał na nią z wolna. Ona zaś siedziała spokojnie z lekkim uśmiechem i patrzyła na niego tak, jakby był jej dalekim krewnym, który wstąpił na chwilę. Nie wykazywała szczególnego zainteresowania, rozmawiała z nim dokładnie tak samo jak z Chrzakałą, jak z Awdotią.

– Nudno wam tu zimą? – spytał Płaton Iljicz.

– Nudnawo.

– Latem pewnikiem weselej?

– U-u-u-u, latem... – Machnęła ręką. – Latem wszystko kipi, tylko się uwijaj.

– Jeżdżą do was mielić?

– A jakże!

– Inne młyny daleko stąd?

– Dwanaście wiorst, w Diergaczach.

– Roboty starcza.

– Roboty starcza – powtórzyła.

Zamilkli. Doktor pił herbatę, młynarzowa mięła w palcach róg chusteczki.

– Może radio obejrzymy? – zaproponowała.

– Czemu nie? – Uśmiechnął się.

Wyraźnie nie miał ochoty rozstawać się z tą kobietą i iść spać na górę. Młynarzowa podeszła do odbiornika, zdjęła z niego szydełkową narzutkę, wzięła czarne pudełeczko sterownicze, wróciła do stołu, przykręciła knot w lampie, usiadła na swoim miejscu i nacisnęła czerwony guziczek w pudełeczku. W urządzeniu coś pstryknęło i zawisł nad nim okrągły hologram z grubą cyfrą „1” w prawym górnym rogu. Na pierwszym kanale leciały wiadomości, mówili o rekonstrukcji fabryki samochodów w Żyguliach, o nowych jednomiejscowych samojezdach na kartoflanym paliwie. Przełączyła na drugi kanał. Tam trwała

transmisja z nabożeństwa cerkiewnego. Taisia Markowna przeżegnała się, spojrzała spode łba na doktora. Ten siedział, obojętnie patrząc na starego popa w riasie i młodych diakonów. Przełączyła więc na ostatni, trzeci kanał – rozrywkowy. Tutaj, jak zawsze, nadawano nieustający koncert. Najpierw duet pięknotek w świecących się kokosznikach zaśpiewał o złotych łańach, potem szerokolicy wesołek, puszczając oko i pomlaskując językiem, opowiedział o intrygach swojej nieposkromionej a t o m o w e j teściowej, zmuszając młynarzową parę razy do śmiechu, a doktora do chrząknięcia z wysiłkiem. Następnie zaczął się długi ludowy taniec z popisami chłopaków i dziewczyn na pokładzie pływającego po Jeniseju parostatku Jermak.

Doktor zaczął drzemać.

Młynarzowa wyłączyła odbiornik.

– Widzę, zmordowaliście się – powiedziała, poprawiając spadającą z ramion chustę.

– Ja... zupełnie się nie zmordowałem... – wymamrotał, otrząsając się z odrętwienia.

– Zmordowali, zmordowali. – Podniosła się. – Oczy już całkiem wam się kleją. A i mnie śpik bierze.

Płaton Iljicz wstał. Pomimo osowiałości zupełnie nie chciał się rozstawać z młynarzową.

– Wyjdę zapalić. – Ściągnął binokle, potarł nasadę nosa i pomrugał opuchniętymi oczyma.

– Idźcie. A ja tam wszystko naszykuję.

Młynarzowa wyszła, szeleszcząc spódnicą.

„Ona będzie na górze...” – pomyślał doktor i serce zabiło mu mocniej.

Usłyszał dwa chrapania – jedno niezbyt silne Chrząkały, z zapiecka, i drugie, zza zasłonki, przypominające cykanie pasikonika.

„Jej mąż śpi... pijanica błotna... nie, wodnista... wodna! Głębinowa!”

Roześmiał się, wyjął papierosa, zapalił i wyszedł z izdebki. Minął chłodną, nieoświetloną sień, potknął się o coś w ciemności, z trudem znalazł drzwi na podwórze, odsunął zasuwkę, wyszedł.

Śnieżyca ustała, wiatr pędził, niebo się przejaśniło i księżyc świecił poprzez strzępiaste ciemne chmury.

– No i ucichło – rzekł doktor, zaciągając się papierosem.

„Można było nawet teraz jechać”.

Wyszedł na środek podwórza, pryzmy śniegu skrzypiały mu pod nogami.

Ale serce waliło, posyłając impulsy gorącej, pożądliwej krwi.

„Nie, nigdzie stąd nie jadę...”

– Jutro! – rzekł zdecydowanym głosem i z papierosem w zębach podszedł do drewnutni, oddał mocz.

W chlewie zawarczał pies.

Doktor szybko dopalił, cisnął niedopałek w śnieg.

„Zwykle śpi z mężem w łóżku za zasłonką. Gdzie miałyby jeszcze spać? Śpi taka wielka, biała, a on obok, jak lalka dla dzieci...”

Stał, wdychając mroźny, orzeźwiający i świeży wiatr, i spoglądał do góry na gwiazdy, pobłyskujące między pełznącymi obłokami. Wyjrzał księżyc i oświetlił obejście: drewnutnię, chlew, szopę na siano z czapami śniegu na daszku, zaiskrzył na świeżym, dopiero co padającym śniegu, w miriadach śnieżynek. I to zaproszone podwórko swoim spokojem zastygłego, niegdyś ogładzonego przez ludzi i zbitego w budowie drzewa nasiliło tylko pożądanie Płatona Iljicza. Ta nieruchoma drewnutnia z setkami zmarzłych polan brzoźowych, skazanych na jednoznaczny zgubę w piecu, jakby całym swoim widokiem mówiła mu: W domu czeka na ciebie coś ciepłego, żywego, trwożliwego, na czym trzyma się i od czego zależy ten ludzki świat, ze wszystkimi jego drewnutniami, wsiami, samopędami, miastami, epidemiami, samolotami i pociągami, i to coś ciepłe, kobiece czeka na twoje pożądanie, na twoją bliskość.

Dreszcze przebiegły doktorowi po plecach, wstrząsnęły nim. Wzruszył ramionami, westchnął i wrócił do domu. Przeszedł przez sieni, namacał drzwi do izdebki, otworzył je i od razu ponownie znalazł się w półmroku: lampa już zgasła, ale na stole kuchennym tliła się jeszcze świeczka.

– Pościeliłam wam na górze – rozbrzmiał głos młynarzowej. – Dobranoc.

I sądząc po głosie, leżała już na łóżku za zasłonką. Chrząkała i młynarz nadal chrapali. Do tego chrapania wmieszało się teraz jeszcze cykanie prawdziwego świerszcza, które zabawnie komponowało się ze skrzekiem człowieczka.

Doktor westchnął, nie wiedział, co robić. Chciał o coś spytać młynarzową, znaleźć powód, żeby zostać, ale nagle zrozumiał, że głupio to będzie wyglądało i w ogóle jak głupie i trywialne jest to wszystko, o czym pomyślał. Zrobiło mu się wstyd.

„Idiota!” – sklął się w duchu i powiedział:

– Dobranoc.

– Nie zabijcie się na schodach, poświećcie sobie – z ciemności izby dobiegł ledwo słyszalny głos.

Płaton Iljicz w milczeniu wziął ze stołu świeczkę i poszedł na górę. Schody do świetlicy prowadziły z sieni, były wąskie i zaskrzypiały mu pod nogami.

„Idiota... normalny idiota...” – wymyślał sam sobie.

Na górze znalazł dwa pomieszczenia: w pierwszym stały plecione koszyki, skrzynie, pudła, wisały warkocze cebuli, czosnku i suszone, nanizane na nitce gruszki. Unoszący się tutaj zapach ogrodu uspokajał. Doktor minął tę izdebkę, poszedł dalej, do uchylonych drzwi i znalazł się w niewielkim pokoiku z ciemnym okienkiem, łóżkiem, stolikiem, krzesłem i komódką. Łóżko było już posłane.

Doktor postawił świeczkę na stoliku, przymknął drzwi i zaczął się rozbierać.

„Pora spać, usnął byczek... – przypomniał sobie, zauważywszy na parapecie glinianą krowę. – Dziwna rodzina... a może nie dziwna, a całkiem normalna w obecnych czasach. I żyją bogato, w dostatku... Od dawna? Ciekawe, ile ona ma lat... trzydzieści?”

Wspomniał jej spokojne ręce, napałek na małym palcu. Spojrzenie piwnych oczu.

– *Guten Abend, schöne Müllerin*²... – rzekł, przywołując w pamięci ulubionego przez Nadię Schuberta i zdejmując koszulę.

„Nigdy nie należy się kierować zasadami. I nie należy schodzić poniżej pewnego poziomu, dokonywać wymuszonych ruchów, jak w szachach. Nie należy żyć pod przymusem, starczy służbowych paliatywów. Życie daje ci możliwość wyboru. Wyboru tego, co jest dla ciebie organiczne, co nie każe ci później męczyć się ze wstydu za własną bezwolę. Tylko epidemia nie pozostawia wyboru”.

Zostając w bieliźnie, zdjął binokle, odłożył na stolik, zdmuchnął świeczkę i wszedł pod zimną pościel. Tutaj, na górze, było oczywiście chłodnawo.

„Wyspać się... – Naciągnął kołdrę do samego nosa. – A jutro wyjechać wcześniej. Jak można najwcześniej”.

Ktoś cicho zastukał do drzwi.

– Tak? – Doktor uniósł głowę.

Drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich płonąca świeczka. Płaton Iljicz wziął ze stolika binokle, przyłożył do oczu. Do pokoju, bezszelestnie stąpając bosymi nogami, weszła młynarzowa w długiej białej koszuli nocnej i w swojej kwiecistej chuście na ramionach. W rękach trzymała palącą się świecę i kubek.

– Przepraszam, zapomniałam postawić wam wodę na noc. Nasza szynka strasznie słona, nocą pić się zachce.

Pochyliła się, postawiła kubek na stoliku. Jej rozpuszczone włosy zsunęły się z ramion na piersi. Jej oczy spotkały się z oczyma doktora. Twarz jej była wciąż

tak samo spokojna. Zdmuchnęła świeczkę, wyprostowała się. I została na miejscu.

Doktor cisnął binokle na stolik, jednym gestem zrzucił kołdrę, wstał i objął jej ciepłe, miękkie i duże ciało.

– No tak... – westchnęła, kładąc ręce na jego ramionach.

Pociągnął ją do łóżka.

– Drzwi przyknęę... – szepnęła mu do ucha tak, że serce zaczęło mu walić jak młot.

Ale za nic nie chciał jej wypuszczać. Przytulając się do jej ciała, przylgnął ustami do szyi. Kobieta pachniała potem, wódką i olejkiem lawendowym. Szarpnięciem zadarł jej koszulę nocną i chwycił za pośladki. Były gładkie, wielkie i chłodne.

– Och... – wyszeptała.

Powalił ją na łóżko i drząc, zaczął zrywać z siebie bieliznę. Ale ani bielizna, ani ręce się nie słuchały.

– Do diabła... – Szarpnął, guzik odleciał i potoczył się po podłodze.

Zdarł jedną nogawkę znienawidzonych kalessonów, runął na kobietę, zaczął nogami ordynarnie rozsuwać jej pulchne gładkie nogi. Te posłusznie się rozeszły i zgięły w kolanach. I po chwili, drząc i tracąc oddech, wszedł w to wielkie, oddające mu się ciało.

– Och... – westchnęła z jękiem i objęła go.

On chwycił ją za pulchne spadziste ramiona, którymi zachwycał się przy stole, wykonał kilka konwulsyjnych ruchów i nie mógł się powstrzymać: jego nasienie trysnęło w to potężne ciało.

– Mój słodki... – Uspokajająco przycisnęła jego głowę do siebie.

Ale on nie mógł i nie chciał się uspokoić, ścisnął ją, zaczął się ruszać, jakby doganiając to upragnione i wyślizgujące się ciało. Jej uda rozwarły się jeszcze mocniej, ciepła ręka prześlizgnęła się po jego plecach i spoczęła na jego pośladkach. On poruszał się gwałtownie, obejmując kobietę rękoma, wpijając się w nią palcami. Jego pośladki podrygiwały i napinały się rytmicznie. Kobięca ręka zaczęła miękko i niezbyt mocno je naciskać, jakby tak kojąco. Doktor głośno dyszał jej w szyję, głowa mu podskakiwała.

– Mój słodki...

Jej ręka napierała na jego pośladki, czując gwałtowność napinających się mięśni.

– Mój słodki...

Ręka uspokajała, jakby mówiła każdym swoim gestem: Nie spiesz się, ja teraz nigdzie nie odejdę, jestem twoja tej nocy.

I w końcu wysłuchał tego języka dłoni, konwulsje opuściły jego ciało, zaczął poruszać się wolniej, bardziej miarowo. Kobieta lewą ręką uniosła jego gorącą głowę i przylgnęła wargami do jego spierzchniętych, otwartych ust. Ale nie miała siły odpowiedzieć na jej pocałunek. Jego usta dyszały łapczywie i urywanie.

– Mój słodki – westchnęła do tych ust.

Doktor posiadał ją i starając się rozciągnąć rozkosz w czasie, ulegał delikatnej kobiecej dłoni. Jej ciało reagowało na niego, szerokie biodra ścisnęły jego nogi w takt ruchów i rozchodziły się, ścisnęły i rozchodziły się. Jej duże piersi kołysały go.

– Mój słodki – znowu westchnęła mu do ust.

I ten jej wydech jakby go otrzeźwił. Odpowiedział jej na pocałunek, ich języki spotkały się w gorącej cielesnej ciemności.

Całowali się.

Jej ręka głaskała i uspokajała. Rozumiejąc, że mężczyzna jest gotowy jeszcze długo się nią rozkoszować, kobieta oddała mu się całkowicie. Jęk ożył w jej wielkiej, kołyszącej się piersi. I pozwoliła sobie, by poczuć się bezbronną. Jej piersi i biodra zadrżały.

– Wymłóc mnie, mój słodki... – wyszeptała w jego policzek i objęła go rękoma.

On płynął po jej ciele, ta fala niosła go i niosła, i zdawało się, że nie będzie temu końca.

Ale fala nagle zaczęła nabierać rozpędu, podnosić się. Był już świadom swojej bezradności, jego ciało zadrżało, czując przedsmak finału. Jej ręka znów spoczęła na jego pośladku, ale już nie delikatnie, tylko władczo i mocno ścisnęła, napierała, wpijała się palcami. A jemu zdawało się, że na tych palcach jest pięć naparstków.

Z rykiem plusnął w tę falę.

Kobieta zajęczała i krzyknęła pod nim. On leżał na niej, bezsilnie dysząc jej w szyję.

– Gorący... – wyszeptała i pogłaskała go po włosach.

Złapawszy oddech, doktor poruszył się, podniósł głowę.

– Silny... – powiedziała ona.

On usiadł na brzegu łóżka, popatrzył w ciemności na młynarzową. Jej ciało zajmowało całe łóżko. Doktor położył rękę na jej piersi. Ona od razu nakryła jego rękę swoimi dłońmi.

– Napijcie się wody.

Płaton Iljicz przypomniał sobie o kubku, wziął go, łapczywie wypił całą wodę. Księżyc wyrzał zza chmur i wlał przez okno swoje światło. Było widniej i doktor wsunął binokle. Młynarzowa leżała, zarzuciwszy pulchne ręce za głowę. On wstał, wymacał w spodniach papierośnicę z zapałkami, zapalił, znowu usiadł na brzegu łóżka.

– Nie spodziewałem się, że przyjdiesz – powiedział zachrypłym głosem.

– A przecie chciałeś... – Uśmiechnęła się.

– Chciałem. – Kiwnął głową jakoś tak beznadziejnie.

– I ja chciałam.

Popatrzyli na siebie w milczeniu. On palił, a żar odbijał się w jego binoklach.

– Dajcie i mnie zapalić – poprosiła.

Podał jej papierosa. Ona zaciągnęła się, zatrzymała dym i zaczęła go ostrożnie wypuszczać z ust. Doktor przyglądał się jej. I nagle zrozumiał, że zupełnie nie ma ochoty z nią rozmawiać.

– Jesteście nieżonaci? – spytała, oddając mu papierosa.

– Widać?

– Tak.

Podrapał się po piersi.

– Rozstaliśmy się z żoną trzy lata temu.

– Rzuciliście ją?

– Ona mnie.

– O – powiedziała z szacunkiem w głosie i westchnęła.

Zamilkli.

– A dzieciaczki były?

– Nie.

– Czego tak?

– Ona nie mogła rodzić.

– O. A ja urodziła, tylko pomarli.

Znowu zamilkli.

I tym razem milczenie mocno się przeciągnęło.

Młynarzowa westchnęła, podniosła się, usiadła na łóżku. Położyła mu rękę na ramieniu.

– Pójdę.

Nie zareagował.

Zaczęła się wiercić. Odsunął się. Ona spuściła na podłogę swoje pulchne nogi, wstała, obciągnęła na sobie koszulę nocną.

On siedział ze zgaszonym papierosem w ustach.

Ruszyła do drzwi. Wziął ją za rękę.

– Poczekaj.

Postała koło niego, potem usiadła na łóżku.

– Pobądź jeszcze.

Odsunęła kosmyk włosów z twarzy. Księżyc skrył się za chmurami, pokój zapadł się w ciemności. Doktor objął młynarzową. Zaczęła głaskać go po policzku.

– Ciężko bez żony?

– Przywykłem.

– Daj Boże spotkać wam dobrą kobietę.

Kiwnął głową. Ona głaskała go po policzku. Wziął jej rękę i pocałował spoczoną dłoń.

– Zajeżdżajcie do nas w drodze powrotnej – wyszeptała.

– Nie ma szansy.

– Inaczej pojedziecie?

Kiwnął głową. Lekko trącając go piersiami, zbliżyła się i pocałowała w policzek.

– Pójdę. Mąż się rozgniewa.

– Przecież śpi.

– Beze mnie zimno mu spać. Zmarznie, przecknie się, zapłacze.

Wstała.

Więcej jej nie zatrzymywał. Zaszleściła w ciemności koszula, skrzypnęły, zamknęły się drzwi. Doktor wyjął papierosa, zapalił, wstał, podszedł do okienka.

– *Guten Abend, schöne Müllerin...* – powiedział, patrząc w ciemne niebo zwisające nad ciemnym polem.

Dopalił papierosa, zgasił go na parapecie, położył się do łóżka i zapadł w głęboki sen bez snów.

Chrząkała w tym czasie również mocno spał. Usnął szybko, ledwo wdrapał się na ciepły piec, podłożył pod głowę polano i nakrył się kołdrą ze skrawków. Zасыpiając, słyszał silny głos nosatego doktora dyskutującego z młynarzową i to przypomniało mu słonika zabawkę, którego świętej pamięci ociec przyniósł sześćioletniemu Koźmie z jarmarku. Ten słonik mógł chodzić, machać trąbą, klaskać uszami i śpiewać angielską piosenkę:

Low mi tender low mi slit

Newer let mi goł

Ju hew mejd maj lajw kompliit

End aj low ju soł.

A po słoniku przypomniał sobie tego konia, o którym gderał pijany młynarz. Konia powierzył mu Wawiła, zmarły koniuch kupca Riumina. Działo się to na ich jarmarku w Pokrowskim, Koźma jeszcze nie był żonaty, ale za to znany już jako Chrząkała. Wawiła sprzedawał rocznego źrebaka, sprzedawał z samego rana, chodził z nim po jarmarku, chodził, ale w końcu nie sprzedał, łatwiej byłoby z kamienia wodę odcisnąć, chociaż targowali się z nim Chińczycy i Cyganie. I poprosił Koźmę o przypilnowanie źrebaka, mówiąc, że sam pójdzie „nażreć się i wysrać”. Dał mu za to piątaka. Koźma umościł się ze źrebakiem koło wikliny, gdzie zaczynały się namioty rymarzy, stał i łuskał słonecznik. Aż tu koniuchy z Chłupina wystawiły dwa odbiorniki, a między nimi rozciągnęły żywy obrazek: delfiny. Ale okazało się, że ten obrazek jest żywy i p o r u s z a j ą c y s i ę: delfiny przepływały z jednego odbiornika do drugiego i można było ich dotykać. Najpierw dzieciarnia, a potem chłopcy i baby poszli głaskać to чудо. Chrząkała przywiązał źrebaka do wierzby, polazł w tłum, dopchał się, pomacał delfina. Bardzo mu się spodobało. Delfin był gładki, chłodny i przyjaźnie popiskiwał. Natomiast morze było rozkoszne i ciepłe. Przepchawszy się do przodu, Koźma wlaźł po szyję do morza i zaczął dotykać i dotykać. A delfiny, wynurzając się z jednego odbiornika, płynęły do drugiego. Chrząkała łapał za grzbiety i podbrzusza, chwycił rękami, starając się je zatrzymać. Ale one były zwinne i wysmykiwały się z jego rąk. Było mu bardzo przyjemnie, od razu polubił te stworzenia. I kiedy filmowiec wyłączył obrazek i ruszył przez tłum z czapką, Koźma bez zastanowienia wrzucił mu do niej piątaka. Potem przypomniał sobie o źrebaku, wrócił do wierzb, ale po koniu ślad zaginął. Wawiła ganiał wtedy za Chrząkałą po całym jarmarku i parę razy zdrowo go zdzielił. Kupiec Riumin przegnał Wawiłę. A źrebaka w końcu nie znaleźli.

Doktor obudził się na głos woźnicy.

- Panie, czas już.
- Czego chcesz? – wymamrotał, nie otwierając oczu.
- Rozwidniło się.
- Daj pospać.
- Prosiliście budzić.
- Odczep się.

Chrząkała odszedł.

A po dwóch godzinach do pokoiku weszła młynarzowa.

- Pora na was, doktorze. – Dotknęła jego ramienia.

- Co? – wymamrotał, nie otwierając oczu.
- Jedenasta już.
- Jedenasta? – Otworzył oczy, odwrócił się.
- Pora wstawać. – Patrzyła na niego z uśmiechem.

Doktor wymacał na stoliku binokle, przyłożył do swojej wymiętej twarzy, spojrział. Młynarzowa zwisała nad nim – duża, porządnie ubrana, w futrzanej kacabajce, ze sznurem żyworodnych pereł na szyi, z zaplecionymi, ułożonymi wokół głowy włosami i z zadowoloną, uśmiechniętą twarzą.

– Jak jedenasta? – spytał spokojniej, przypominając sobie już wszystko, co się stało nocą.

– Chodźcie popić herbatki. – Ścisnęła jego nadgarstek, odwróciła się i zniknęła za drzwiami, szeleszcząc tą samą co poprzedniego dnia długą niebieską spódnicą.

– Do diabła... – Płaton Iljicz wstał, znalazł swój zegarek, spojrział. – Faktycznie...

Popatrzył w okno. Przedzierało się przez nie dzienne światło.

– Dureń nie obudził mnie. – Doktor przypomniał sobie woźnicę ze sroczą głową.

Szybko się ubrał i zszedł na dół. W izbie panowało ożywienie: Awdotia pogrzebaczem wsuwała wielki kocioł do przed chwilą rozpalonego rosyjskiego pieca, jej mąż majsterkował w kącie na ławce, za oddalonym stołem samotnie zasiadła Taisia Markowna. Doktor podszedł do umywalki stojącej w kącie po prawej stronie pieca, opłukał twarz zimną wodą, wytarł się świeżym ręcznikiem powieszonym specjalnie dla niego przez gospodynię. Przetarł binokle, rzucił okiem na swoje odbicie w niewielkim okrągłym lustrze, dotknął wyrosłej na policzkach szczeciny.

– T-tak...

– Doktorze, napijcie się herbaty. – W izbie rozbrzmiał silny głos młynarzowej. Płaton Iljicz podszedł do niej.

– Dzień dobry.

– Dobry dzionek. – Uśmiechnęła się.

Przeżegnał się przed ikonostasem, usiadł przy stole. Na stole stał już ten sam samowarek i leżała na talerzu ta sama szynka.

Młynarzowa naląła mu herbaty do dużej filiżanki z wizerunkiem Piotra I, włożyła, nie pytając o zdanie, dwie kostki cukru.

– Gdzie mój woźnica? – spytał doktor, patrząc na jej ręce.

– W tamtej połowie. Już dawno wstał.

– A czemu mnie nie obudził?

– Nie wiem. – Uśmiechała się z zadowoleniem. – Skosztujecie świeżutkich blinów?

Doktor zauważył na półmisku stosik świeżo usmażonych blinów.

– Z przyjemnością.

– Z konfiturami, miodem czy śmietaną?

– Z... miodem.

Nachmurzył się. Było mu teraz niezręcznie z tą kobietą.

„Teatr jakiś...” – pomyślał, upijając herbaty.

– A co z pogodą? – Spojrzał na okna.

– Ładniej niż wczoraj – odpowiedziała, patrząc mu w oczy.

„Silna baba...” – pomyślał i przypomniał sobie jej maleńkiego męża, rozejrzał się po izbie.

Młynarza nigdzie nie było.

– Śpi jeszcze – odpowiedziała, jakby odczytała jego myśli. – Kac. Posilcie się.

Nałożyła mu blinów, podsunęła miseczkę z miodem. Doktor zaczął jeść ciepłe, smaczne bliny. Do izby wszedł Chrząkała i zatrzymał się przy drzwiach. Był ubrany na drogę, w garści trzymał swoją czapkę uszanke.

– Jest nasz bohater... – wymamrotał doktor z niezadowoleniem, przełykając kęs blina, i niemal wykrzyczał: – Czegoś ty mnie nie obudził?!

Chrząkała uśmiechnął się swoim ptasim uśmiechem.

– Kiej nie budziłem? Kiej się ino rozwidniało, to ja od razu do was poszedł.

– No?

– Mówię: Dochtor, pora jechać. A wy mnie: Daj pospać.

Młynarzowa nalewała sobie herbaty do spodeczka, roześmiała się.

– To niemożliwe! – Doktor uderzył pięścią w stół.

– Bóg mi świadkiem. – Woźnica machnął czapką na ikony.

– Widać, słodko się wam spało. – Taisia Markowna podmuchała na talerzyk.

Płaton Iljicz spotkał się z jej zadowolonymi oczyma i spojrzał na pozostałych w izbie, jakby szukając w nich wsparcia. Ale Awdotia krzątała się przy piecu z takim wyrazem twarzy, jakby wiedziała o wszystkim, co się działo nocą, a jej mąż też siedział w kącie z jakimś dwuznacznym uśmieszkiem, przynajmniej tak się zdawało doktorowi.

„Co? Oni wiedzą? – pomyślał. – No i do diabła z nimi...”

– Trzeba było budzić szturchańcami, czy coś! – powiedział do Chrząkały już łagodniej, rozumiejąc, że z tym człowiekiem czeka go jeszcze podróż do Dołgiego.

– Nie mogę śpiących trwożyć. Strasznie ich szkoda. – Woźnica stał, obiema rękami przyciskając swoją czapkę do brzucha.

– Pewnie, szkoda. – Młynarzowa posiorbywała herbatę, śmiejąc się oczyma.

– Co z samopędem? – Doktor zmienił temat rozmowy.

– Naprawiony. Dojedziem.

– Macie telefon? – spytał gospodynię.

– Tak. Ale zimą nie działa. – Namoczyła kostkę cukru w spodeczku i włożyła do ust.

– Dobra, skończę herbatę i przyjdę – powiedział w końcu Płaton Iljicz do Chrząkały, jakby wyganiał go z izby.

Ten wyszedł w milczeniu.

Doktor zaczął dojadać bliny, popijając herbatą.

– Powiedźcie z łaski swojej, a ta cała czarnucha, to skąd się wzięła? – przemówiła młynarzowa, obracając w ustach kawałeczek cukru i głośno siorbiąc herbatę.

– Z Boliwii – wymamrotał z niechęcią doktor.

– Taki szmat drogi? Czego? Przywiózł kto?

– Przywieźli.

Ona pokręciła głową.

– Też coś. A jakże one zimą z mogiły powstają? Ziemia to przecie cała przemarzła?

– Wirus przeobraża ludzkie ciało, czyniąc mięśnie znacząco silniejsze – mamlął, odwracając wzrok.

– U nich, Markowna, pazury odrastają, kiejby u niedźwiedzi! – nagle głośno odezwał się robotnik. – W radio widziałech: leżą choć bez ziemię, choć bez podłogę, jak krety. Leżą i rozrywają ludzi!

Awdotia się przeżegnała.

Młynarzowa postawiła spodeczek na stole, westchnęła i też się przeżegnała. Twarz jej spoważniała i od razu zrobiła się ciężka, tracąc cały wdzięk.

– Wy tam, doktorze, bądźcie ostrożni – powiedziała.

Płaton Iljicz kiwnął głową. Nos mu poczerwieniał od wypitej herbaty. Wyjął chusteczkę, otarł usta.

– Silnie złe one. – Robotnik kiwał głową.

– Bóg jest miłościwy. – Taisia Markowna zakołysała piersiami.

– Czas na mnie – rzekł doktor, ściskając pięści i wstając. – Dziękuję wam za gościnę.

Lekko skłonił głowę.

– Zawsześmy radzi. – Gospodyni również wstała i pokłoniła się.

Podszedł do wieszaka, Awdotia niezbyt zgrabnie zaczęła pomagać mu z ubraniem. Młynarzowa zbliżyła się do niego i stanęła obok, ręce skrzyżowała na piersi.

– Żegnam. – Doktor kiwnął jej, wkładając swoją papachę.

– Do widzenia. – Pochyliła głowę.

Wyszedł na podwórze. Tam już czekał samopęd, woźnica siedział, trzymając lejce. Ktoś krzątał się w niedomkniętym chlewie, wrota były rozwarte na oścież.

Doktor spojrział w niebo: pochmurnie, wietrznie, ale śnieg nie pada.

– Dzięki Bogu... – Wyjął papierośnicę, zapalił papierosa i zaczął się sadowić.

Chrząkała poczekał, aż ten się otuli baranicą i przypnie ją, następnie cmoknął, szarpnął lejce. W zamkniętej kapuzie dał się słyszeć dobrze już znany doktorowi tętent maleńkich kopyt, parskanie. Samopęd ruszył z miejsca, a woźnica złapał za rudel.

– Znasz drogę? – spytał doktor, z przyjemnością wciągając orzeźwiający dym papierosowy.

– A ona tu jedna.

Samopęd wypełził z podwórza, piszcząc płozami.

– Ile nam zostało? – Doktor zaczął sobie przypominać.

– Z dziewięć wiorst drogi. Nowy las przejeździem, a tam zaś Stary Posad, no i pole. Bez pole to i dziecko dojedzie.

– Szczęśliwej podróży! – dobiegł znajomy głos kobiety.

Na ganku stała młynarzowa.

Płaton Iljicz w milczeniu kiwnął swoją lisią czapą z ogonem, co wyszło jakoś niedorzecznie, a Chrząkała uśmiechnął się, zamachał rękawicą.

– Żegnajcie, Markowna!

Młynarzowa patrzyła za nimi spode łba.

„Ciekawa mimo wszystko... – myślał doktor. – Jak to się szybko zdarzyło... Ale przecież chciałem tego? Tak, chciałem. I niczego nie żałuję...”

– Dobrą ma żonę młynarz. – Woźnica uśmiechał się.

Płaton Iljicz kiwnął głową.

– Sfartowało się – rozważał dalej tamten, jak zwykle zsuwając czapkę z czoła. – Kiej powiedają, komu się szczęści, to mu i wilk owce pasie. Tak to panie bywa: jeden człowiek dobry, serdeczny, a z babą się nie wiezie. A drugi pijanica i skłęty, a żona u niego złota.

– A jak on, pijanica, dorobił się młyna?

– Też się sfartowało.

– Co, z nieba mu spadł młyn?

– Z nieba nie z nieba, a jego tatulo, też maleństwo, na dzierzawie uciukał sobie. I wykupił młyn. A potem syna w nim posadził. Ot, i cała historia.

Doktor nie wiedział, jak na to zareagować, a zresztą od rana coś nie miał ochoty na rozmowy z Chrzakałą.

– Wszystkie sprawy Markowna prowadzi, a ten ino na każdego pohukuje.

– No i do diabła z nim... – Rozmowa została zakończona.

Przejechali wikliny, stogi, posuwali się brzegiem rzeki, tam, gdzie wieczorem szli w ślad za połamanym samopędem. Jechało się dobrze i lekko, nieudeptany świeży śnieg słabo chrzęścił pod płozami. Wkrótce pojawił się ten sam most. Chrzakała wziął bardziej w lewo, skręcając z drogi. Chociaż była zasypana, to całkiem widoczna.

– Ot, nikt po nas nie przejechał! – Chrzakała kiwnął na drogę. – Pochowali się przed zamiecią!

– Może przejechali, ale zawiąło.

– Nie wygląda na to.

Samopęd chyżo sunął traktem. Mijali wciąż krzewy, krzewy, krzewy. Wiatr dął w plecy pojazdu, pomagał.

„Zilberstein pewnie mnie przeklina. A co ja poradzę? Tutaj nawet telefonu nie ma. Zimą nie działa! Brednia! Dziewięć, nie, osiem wiorst. Prawie tuż-tuż... Od razu zaszczepię, nic strasznego, że opóźnienie...”

Przed nimi wyłonił się brzozowy zagajnik.

– He-ta, chyżej! – Chrzakała zacmokał i gwizdnął. – Chy-żej! Chy-żej!

Koniki posłusznie przyspieszyły.

Do zagajnika wjechali w pełnym biegu. Brzozowe pnie otaczały drogę.

– Porządny las – wymamrotał doktor.

– Co? – Chrzakała odwrócił się do niego.

– Lasek, mówię, porządny.

– Niezgorszy. Ino rąbać.

Doktor uśmiechnął się pod wąsem.

– Po co rąbać? I tak ładnie.

– No – zgodził się woźnica. – Ino długo nie ustoi. I tak wyrąbią.

Zaczął padać śnieg. Najpierw rzadki, ale kiedy przejechali zagajnik – sywał już gęsty, potężny.

– No i doczekali my się! – zaśmiał się Chrzakała.

Droga wiodła przez pole, ale żadnych słupców nie było. I śladów po płozach też. Pole to rozpościerało się przed nimi, to znikało w zamieci, spod śniegu

sterczały tylko przerośnięte trawy i rzadkie krzaki.

Przejechali pół wiorsty i zboczyli, samopęd brnął w głębokich zaspach.

– Pr-r-r-r! – Chrząkała zaciągnął lejce.

Konie stanęły.

– Pójdę, rzucę okiem na drogę... – Zlazł, wziął bat i wrócił się.

Doktor został sam. Śnieg walił płatami, jakby nie zapadała niedawno żadna cisza. Konie w kapuzie parskwały, kłaskając kopytami.

Minęło z dziesięć minut i zjawił się woźnica.

– Znalazłem!

Zawrócił samopęd, prowadząc go po własnych śladach, sam zaś ruszył obok, krocząc zamasyście przez głęboki śnieg.

Wypęzli na drogę. Ale doktor nigdy by nie powiedział, że to jest właśnie droga, tylko Chrząkała umiał odróżnić ją w śnieżnym polu.

– Panie, rychlej nie pojedziem, bo to w trymiga się zbijemy! – krzyknął woźnica, wycierając twarz ze śniegu.

– Jak można, tak jedź – odparł pasażer. – A co z płożą?

– Na razie się trzyma. Przybił przeciech gwoździami.

Doktor z aprobatą kiwnął głową.

Powoli pojechali szlakiem. Chrząkała prowadził, wpatrując się przed siebie. Śnieg wciąż walił i wiatr się nasilił, zawiewał w twarz, zmusił pasażera i woźnicę do zasłaniania się przed nim.

Doktor siedział z podniesionym kołnierzem, zakrył się całkowicie po same oczy. Ale śnieg pchał się też w same oczy, pod binokle, wciskał się do nosa.

„Istne przekleństwo... – myślał Płaton Iljicz. – Słupce nie stoją na drogach... To sprawa dla sądu, jakby chcieć z tym zrobić porządek... Nikomu nic nie trzeba... ani zarządowi dróg, ani leśnikom, ani objeżdźaczom... Nic prostszego narąbać jesienią furę tyczek, wbić przynajmniej co pół wiorsty, a oczywiście lepiej nieco gęściej, żeby zimą ludzie jeździli spokojnie... Kurestwo takie... Formalne kurestwo...”

Z przodu napływało i napływało nieskończone, bezkresne pole, jakby nic innego nie pozostało na ziemi prócz niego, prócz tych ubogich krzaków i pośladu burzy śnieżnej.

– Do Starego Posadu dopełniem, a tam lżej pójdzie! – krzyknął Chrząkała.

„Jakim cudem on dostrzega tę drogę? – zdziwił się doktor, chowając się przed zamiecią. – Pewnie zawodowa intuicja...”

Jednak wkrótce znów zboczyli.

– Ach, a niech cię... – Woźnica się spieszył.

I po raz kolejny poszedł do tyłu, wtykając bicz w zaspy. Pasażer siedział jak bałwanek, zasypany przez zamieć, strząsał śnieg jedynie z binokli i nosa.

Chrząkała długo był nieobecny, doktor już trzy razy pomyślał, czy nie palnąć w powietrze z rewolweru schowanego w jednym z sakwojaży.

Wreszcie wrócił, był całkowicie zamęczony, miał rozpięty na piersi półkożuszek i pokraśniałą twarz.

– No jak, znalazłeś? – spytał doktor, wierząc się i strząsając z siebie czapy śniegu.

– Znalazł ja. – Chrząkała ciężko dyszał. – Sam mało nie zabłądził: nic a nic nie da się przepatrzeć...

Nabrał garść śniegu z samopędu, złapał zębami, pozuł.

– To jak my pojedziemy? – spytał Płaton Iljicz.

– Spokojniutko, panie. Bóg da, dopełniem do Posadu. A tam już droga szerokutka, najeżdżona.

I cmoknął. Konie niechętnie zaskrobały kopytami po przeciągu. Samopęd jednak nie drgnął.

– Ano co? Napasły się u młynarza po samą grzywę? – wymawiał im.

Samopęd ledwo drgnął.

Doktor zszedł, gniewnie uderzył pięścią w kapuzę.

– Ruszać!

Konie parsknęły, dereszowaty zarżał swoim przenikliwym głosikiem. Zarżały i pozostałe.

– Nie wolno strachować – powiedział Chrząkała z niezadowoleniem. – One u mnie niezastrachane, dzięki Bogu.

Pociągnął lekko lejcamy, pocmokał:

– No, no, no...

Pojazd z trudem ruszył, a woźnica, trzymając za ster, oparł się prawą ręką o kapuzę i pchał. Doktor napierał na oparcie.

Samopęd pojechał. Woźnica wyprowadził go na drogę, ale wkrótce zatrzymał, otarł twarz.

– Nic nie widać... Panie, poszlibyście przodem po moich śladach, a to sterować niełatwo.

Doktor ruszył naprzód po pozostawionych przez Chrząkałę śladach. Śnieg szybko je zamiatał, a wiatr smagał go po twarzy. Ślady ciągnęły się prosto, potem zaczęły zbaczać w prawo i szły, jak się doktorowi zdawało, po kręgu.

– Koźma! Ślad zawraca! – krzyknął, osłaniając się przed wiatrem.

– A, to ja tutaj się błąkał! – odkrzyknął Chrząkała. – Bierz w lewo i idź prosto!

Doktor zszedł na lewo i nagle zapadł się po pas. Zaczął się obracać w dole pełnym śniegu, klnąc szpetnie i stękając. Samopęd omal w niego nie wjechał. Woźnica zatrzymał konie, pomógł pasażerowi wydostać się z wyrwy.

– Jaki pech... Przeklęty... – mamrotał doktor.

Wiatr, jakby szydząc z nich, zaczął dąć jeszcze mocniej, ciskając śniegiem.

– No też... – Doktor wstał, wspierając się na Chrząkale.

– Zły nas zepchnął do wąwozu! – krzyknął Koźma do ucha Płatona Iljicza. – Idź szybciej, panie, póki ślady nie zamiotło! Tam są, z przodu!

Płaton Iljicz zdecydowanie kroczył naprzód, wysoko podnosząc nogi i wyciągając je ze śniegu. Samopęd ruszył za nim.

Szedł, wytrzeszczając oczy przez zalepione śnieżycą binokle. W końcu, kiedy zaczął naprawdę tracić siły i jego długopola pelisa zdawała mu się cięższa niż pudowy odważnik, ledwo dostrzegł niemal zasypane ślady.

– Jest ślad! – krzyknął, ale śnieg wpadł mu do ust i doktor zakaszlał, kłaniając się zamieci.

Chrząkała zrozumiał i nakierował pojazd na ślady. I wkrótce wyjechali na szlak.

– Chwała Bogu! – Woźnica przeżegnał się, kiedy udało się wjechać na utwardzony śnieg. – Siadajcie, panie!

Ciężko dysząc, doktor opadł na siedzenie, oparł się, ale nie miał sił otulić się baranicą. Do butów napchał mu się śnieg, czuł, że ma mokre nogi, ale brakło mu sił nachylić się, zzuć i wytrześć obuwie. Chrząkała nakrył go baranicą.

– Postoimy kapkę, koniki odzipną.

Stanęli.

Zamieć wyła dokoła. Zadymka nabrała takiej siły, że popychała samopęd i ten kołysał się, szarpał, jakby był żywy. Ale za to wiatr rozmiatał śnieg na drodze i ta zrobiła się teraz widoczna – wyjeżdżona, z udeptaną szrenią.

Doktor chciał zapalić, ale nie miał sił wyjąć z kieszeni ukochanej, drogiej sercu papierośnicy. Siedział zdrętwiały, wsuwając swój zsiniały nos między papachę a kołnierz, całą swoją istotą pragnąc, aby jak szybciej pokonać tę dziką, wrogą, wyjąca wokół białą przestrzeń, która żądała jednego – żeby stał się zaspą i na zawsze przestał czegokolwiek chcieć. Wspominał swoje zimowe doktorskie wyjazdy do chorych, ale nie mógł odnaleźć w pamięci równie silnej zamieci, żeby żywioł aż tak mu się przeciwstawiał. Ze trzy lata temu zabłądził pocztowymi i razem z furmanem palili nocą ognisko, ale potem zauważył ich tabor i pomógł; jeszcze kiedyś zajechał zimą do całkiem innej wsi, nadrabiając

niemal sześć wiorst drogi. Jednak na taką gwałtowną zamieć trafił po raz pierwszy.

Chrząkała, który był już znużony nie mniej niż doktor, lekko się zdrzemnął. Przypomniało mu się, że przed odjazdem poprosił chłopaka ze stacji, żeby mu zatkał komin w piecu, dzięki czemu dom nagrzej się na jego powrót. Dom to się nagrzał, tylko gospodarz przenocował u obcych ludzi. Wyobraził sobie swoją chałupę, kiedy raniutko napalone w piecu, oraz przegłodzonego knura Chrumkę i pomyślał, że jeśli knur z rana mocno wył z głodu, to sąsiad Fiodor Kurpaty dorozumiał się, żeby zajrzeć i wsypać mu suchara³, jak bywało już nieraz. Z Chrumką wszystko się obejdzie jak zawsze. Ale jego najbardziej bolało, że dom stoi nieogrzany. I teraz w tym nieogrzanym ciemnym domu samotnie tyka zegar ścienny z wagami. Albo może już stanął... Tak, stanął, jak ma nie stać, przecież ostatnio go nie nakręcił... Chrząkała zziębnał i zrobiło mu się nieprzyjemnie.

– Ej! – Doktor go szturchnął. – Co, zasnąłeś? Nie wolno spać, zamarzniesz.

Chrząkała ocknął się i poruszył. Skostniał.

– Nie, to tak... odzipnąłem lekuchno... – Złapał za ster, szarpnął lejce.

Koniki ruszyły bez popędzania, widocznie poczuły gładką drogę. Samopęd pognał.

Droga wiodła prosto, a silny wiatr w cudowny sposób ją obnażał, namiatając zasy tylko na poboczach. Dzięki temu dosyć szybko i lekko przejechali pole, a dalej szlak biegł w dół i ginął w śniegu. Chrząkała spieszył się, ruszył obok. Nie było jednak już żadnych śladów drogi: dokoła na całej przestrzeni leżał równą warstwą śnieg, nad którym wiła się i wyła zamieć.

– A żeby cię... – Przykucnął od wiatru, trzymając się za rudel.

W nizinie wiało tak, że pojazd się zachwiał. Od razu zboczyli z drogi i samopęd stanął w głębokim śniegu. Doktor szedł i nic nie mówiąc ani o nic nie pytając, skierował się naprzód przez zasy. Od razu znalazł drogę i ruszył nią, uprzednio sprawdzając nogą. Chrząkała zaczął kierować się za nim.

Tak powoli, krok za krokiem, zaczęli przemieszczać się do przodu. Doktor szedł, potykając się, zapadając w śniegu, chwiejąc od wiatru, ale nie gubiąc drogi. Nizina ciągnęła się i ciągnęła. Nagle zobaczył przed sobą nadciągający kopiec, po chwili zrozumiał jednak, że to nie kopiec, tylko jakaś śnieżna chmura, kłębiąca się i napierająca na nich. Kucnął. Nad jego głową przemknął całkowicie nieprzenikniony śnieżny wicher, zdarł binokle, które zatańczyły na łańcuszku.

– Boże, zmiłuj się nad nami grzesznymi... – wymamrotał doktor, padając na czworaki.

Wicher przemknął, a jemu zdało się, że to przeleciał ogromny, niepojętego rozmiaru helikopter. Konie w kapuzie zarżały przestraszone. Chrząkała również przykucnęła, ale steru nie wypuściła.

To coś złowrogo przemknęło nad nimi i się skryło.

Doktor wsunął binokle, dostrzegł przed sobą wzniesienie, wyjazd z niziny. A na wzniesieniu – obnażoną drogę.

– Tam jest droga! – krzyknął do Chrząkały.

Ale ten już sam ją dostrzegł i z zadowoleniem machnął do niego rękawicą.

– Aha!

Dobrnęli do traktu, wsiedli i pojechali. Kiedy samopęd wyjechał z niziny na niewielki łagodny pagórek, Chrząkała gwałtownie go zatrzymał: przed nimi było rozwidlenie. Nie pamiętał tego rozwidlenia. W dobrą pogodę nawet by go nie zauważył, tylko pojechał tam, gdzie wszyscy. Ale teraz trzeba było zdecydować, którądy dalej – na prawo czy na lewo.

„Stary Posad jest dwie wiorsty drogi od zagajnika – myślał, zsuwając czapkę z mokrego od potu i śniegu czoła. – Znaczy się, Posad jest już całkiem blisko, pewnikiem po lewo, a ta prawa droga, widać, okrężna, na łąki. U nich tutaj łąki cudo, oczu nie można oderwać, równieńkie... Znaczy się, potraza jechać na lewo”.

Doktor w milczeniu czekał na decyzję woźnicy.

– Na lewo! – wrzasnął Koźma, przekręcając odpowiednio ster i szarpiąc lejce.

Samopęd popęzł na lewo.

– Gdzie jesteście?! – krzyknął Płaton Iljicz.

– W Starym Posadzie! Tu odzipniem, a potem już prosta droga!

Doktor radośnie kiwnął głową.

W Starym Posadzie Chrząkała był w sumie dwa razy: na weselu u Matriony Chapiłówek i z bratem, który kupił tu dwoje prosiąt u pewnego staruszka Awdieja Siemionycza o przydomku Kutwa. To było jednak jesienią i wiosną, a nie w zimową zamieć. Spodobał mu się Stary Posad: raptem dziewięć obejść, ale wszystkie dostatnie, bogate. Staroposadowcy trudnili się rzeźbą w drewnie, udeptywaniem i przeciwważeniem. I łąki mieli wspaniałe, Chrząkała z krewniakiem i prosiętami z powrotem jechali łąkami, bo gościniec wiosną roztajał. Staroposadowskie łąki zachwyciły go wówczas swoją gładkością i rozległością.

Ale teraz wszystkie były pod śniegiem.

Samopęd pęzł równiną. Chrząkała przypomniał sobie, że przed Posadem najpierw był ni to lipowy, ni to dębowy zagajnik.

„Jak tylko się pokaże, to i Posad zrazu obaczym. Tam stukniem do kogoś, żeby się ogrzać. Z godzinkę posiedzim i ruszmy. Tu już niedaleczko...” – myślał.

Konie, czując osadę, poszły żwawiej, mimo że drogę znowu zaczęło zawiewać i wkrótce skryła się pod śniegiem.

„Od razu trzeba będzie zmienić buty...” Doktor przebierał mokrymi palcami stóp, które już zaczynały mu zamarzać.

– Zara tu zagajnik, a tam i Posad – Woźnica dodawał pasażerowi otuchy, spoglądając na niego.

Płaton Iljicz wyglądał na całkowicie zmęczonego: z jego zaśnieżonej, zgarbionej na siedzeniu postaci zabawnie sterczał nos w binoklach.

„Kiej bałwan śnieżny... – Chrząkała z trudem uśmiechnął się w duchu. – Znużył się słoń. Masz ci los, jak mu się z pogodą nie sfartowało...”

Pełzli i pełzli przez białą, kłębiącą się pustynię, ale zagajnika jak nie było, tak nie było.

„Ja bych się tak omylił?” – pomyślał woźnica, wytrzeszczając klejące się ze zmęczenia oczy i wpatrując się w zamieć.

Wreszcie wyrósł przed nimi bór.

– Chwała Bogu... – Roześmiał się.

Podjechali. Drzewa w borze były wielkie, stare. On natomiast pamiętał całkiem młodziutki zagajniczek z pierwszymi majowymi listeczkami.

„Nie mogły one tak rychło podrosnąć...” Przetarł powieki.

I nagle dostrzegł pod drzewami krzyż. Potem drugi, trzeci. Podjechali bliżej. Krzyży było coraz więcej. Wystawały ze śniegu.

– Boże, przeciech to cmentarz... – westchnął, naciągając lejce.

– Cmentarz? – Doktor zaczął zaciekle przecierać binokle.

– Cmentarz – powtórzył Koźma.

– A gdzie jest wioska? – wymamrotał Płaton Iljicz, wbijając wzrok w pokrzywione krzyże, wokół których jak dla śmiechu tańczyła i wywijiała zamieć.

– Czego? – Chrząkała przygiął się od wiatru.

– Gdzie wieś?! – krzyknął z nienawiścią doktor do zamieci, cmentarza, durnia i gamonia woźnicy, który nie wiadomo gdzie zajechał, do swoich mokrych, marznących w butach palców u nóg, do ciężkiej, oblepionej śniegiem pelisy, do durnego samopędu z durnym ozdobionym oparciem i durnymi karłowatymi konikami w durnej kapuzie ze sklejki, do przeklętej epidemii, przywleczonej do Rosji przez jakichś bydłaków z dalekiej, zapomnianej przez Boga i ani jednemu Rosjaninowi ni cholery niepotrzebnej Boliwii, do uczonej szui i moralizatora

Zilbersteina, który wyjechał wcześniej pocztowymi i nie pomyślał o koledze, doktorze Garinie, bo troszczy się tylko o swoją karierę, do tej niekończącej się drogi, otoczonej sennymi zaspami, ze złowieszczą przesmykującą się na powierzchni żmiją zawieją, do tego nieprzeniknionego szarego nieba, dziurawego jak przetak głupiej, gapiącej się maślanogębie, łuskającej pestki na przyzbie baby, nieba nieustannie i nieprzerwanie siejącego, siejącego i siejącego te przekłete śnieżne płatki.

- A tamój kajś niekajś... – Oszalały Chrzakała obracał głową na boki.
- Coś ty, na cmentarz zajechał?! – huknął ze złością doktor.
- Ano tak, panie, zajechał... – Woźnica się krzywił.
- Bywałeś tu kiedyś wcześniej, durniu?! – krzyknął Płaton Iljicz i zakaszłał.
- Bywał! – odkrzyknął Chrzakała, ale się nie obraził. – Ino latem.
- To po diabła... – zaczął doktor, ale zamieć wpadła mu do ust.
- Bywał, bywał... – Woźnica kręcił głową jak sroka. – Ino gdzie cmentarz u nich, to w głowę zachodzę... Nijak nie przypomnę...
- Jedź! Coś stanął?! – krzyknął pasażer, kaszląc.
- Ano pojęcia ni mam, kajś jechać...
- Cmentarz nigdy nie bywa daleko ode wsi! – wrzasnął nagle doktor, tak że sam się wystraszył.

Chrzakała nie zwrócił na ten wrzask najmniejszej uwagi. Porozmyślał jeszcze chwilę, kręcąc łepetyną, potem zdecydowanie nakierował samopęd na lewo od cmentarza, w pole.

„Jeżeli to rozwidlenie było do Posadu i na łąki, a cmentarz obok Posadu, znaczy się, dobrzem jechał. Widać i tutaj było rozwidlenie – do wsi i na cmentarz, a myśmy go nie przyuważyli. Tera w lewo potrza jechać, tam Posad, a za nim łąki”.

Doktora uspokoił i otrzeźwił jego własny krzyk, więc nawet nie spytał, czemu woźnica nie pojechał z powrotem tą drogą, tylko skręcił i prowadzi pojazd wprost po polu.

„Nic, nic... – ze złością dodawał sobie otuchy. – Durni dużo. A złamasów jeszcze więcej...”

Chrzakała z wysiłkiem kroczył przez głęboki śnieg, kierując samopęd polem. Był tak przekonany, że Posad znajduje się wprost przed nimi, że nawet szczególnie się nie wpatrywał w kłębiącą się śnieżną kurzawę, niechętnie rozstępującą się przed nimi. Pojazd pełzył z trudem, konie ciężko ciągnęły, ale on szedł i szedł obok, puściwszy ster i tylko lekko popychając samopęd, szedł z takim przekonaniem, że stopniowo zaraził tym też doktora.

– Zara przyjeździem... – mamrotał sobie pod nosem, nie przestając się uśmiechać.

I faktycznie – wkrótce ze śnieżnego wiru wynurzyły się zarysy domu.

– Dojechaliliśmy, panie! – Mrugnął do pasażera.

Widząc przybliżający się dom, doktor poczuł, że śmiertelnie chce zapalić. Zaprażył też jak najszybciej zrzucić coraz cięższą pelisę i ołowianą papachę, zzuć przemoknięte buty i usiąść przy ogniu.

Chrząkała natomiast nabrał ogromnej ochoty na kwas chlebowy. Wysmarkał się w rękawicę i poszedł spokojniej, puszczając samopęd do przodu.

„Kto tam u nich mieszka na skraju? – próbował sobie przypomnieć bezsensownie, chociaż ze staroposadowców znał tylko Matryonę, jej męża Mikołaja i starego Kutwę. – Dom Matryony trzeci od prawej, a Kutwy po sąsiedzku z Matryoninym...”

Spojrzał spod nawisającej uszanki na coraz bardziej widoczny dom i zdrętwiał: to nie była chałupa. I nawet nie stodoła, i nie szopa na siano. I łaźni też to nie przypominało.

Zbliżyli się do ciemnoszarej spiczastej szatry. Na namiocie widniał wizerunek ż y w e g o, wolno mrugającego oka, znajomy i woźnicy, i pasażerowi.

– Mitamindery! – Chrząkała westchnął.

– Witaminderzy – powiedział doktor.

Samopęd podjechał do szatry i zatrzymał się.

Chrząkała podszedł za nim. Pasażer powiercił się, wysiadł, otrząsając pelisę. Wiatr przywiał słabą woń spalin. I dźwięk sugerujący, że w namiocie pracuje kosztowny generator benzynowy.

– I gdzie twój Posad? – spytał doktor, już bez złości, ponieważ był rad, że martwa biała przestrzeń w końcu podarowała mu spotkanie z cywilizacją.

– Kajs tu niedaleko... – mamrotał woźnica, oglądając równy, dobrze naciągnięty żyworodny wojłok szatry.

Zauważył wojłokowe drzwi i stuknął w nie rękawicą. Wewnątrz od razu popłynął wielodźwiękowy sygnał. W drzwiach otwarło się wojłokowe okienko, pojawiła się żująca wąskooka twarz.

– Czego trzeba?

– Poblądziliśmy, Posadu szukamy.

– Kto?

– Dochtor i ja. Do Dołgiego jedziem.

Twarz się skryła, okienko się zamknęło.

– Witaminderzy. – Doktor kiwnął lisią czapą i roześmiał się z trudem. – Ale się przytrafiło spotkanie!

Był mimo wszystko zadowolony: od równej, solidnej, niekołyszącej się na wietrze szatry biło zwycięstwem człowieka nad ślepym żywiołem.

Minęły długie minuty, w końcu drzwi się otworzyły.

– Zapraszamy serdecznie.

Krępy Kazach wykonał zapraszający gest ręką. Widać było, że został oderwany od jedzenia i nie jest z tego zbyt zadowolony.

Doktor i Chrząkała weszli do słabo oświetlonego elektrycznością, ale dobrze ogrzanego pomieszczenia. Od razu rzuciły się do nich z leżanki, warcząc, dwa fioletowe dogi ze świecącymi dzwoneczkami na obrożach. Fioletowe oczy psów wpatrywały się w przybyszów, ryczące różowe paszcze pobłyskiwały białymi zębami.

– Koleba! – krzyknął Kazach, zamykając drzwi.

Psy, warcząc, wróciły na leżankę. Stały tutaj dwa duże benzynowe samopędy, wisiała odzież, równymi rzędami ustawiono liczne obuwie. Był to namiot – przedpokój. Zapach drogiej, drogocennej benzyny, dwa samopędy i dwa zadbane dogi podziały na doktora uspokajająco, a na Chrząkałę przytłaczająco.

– Rozbierajcie się i czujcie jak w domu. – Kazach lekko pokłonił się doktorowi.

Ten zaczął się rozbierać, Kazach mu pomagał.

– Potrzeba by koniki ździebko ogrzać. – Chrząkała nieśmiało zdjęła uszankę, przygładził swoje całkowicie mokre włosy.

– Zaraz spytam gospodarzy – powiedział z opanowaniem Kazach, rozbierając doktora.

Pomógł mu zzuć buty, podał wołokowe kapcie. Do przedpokoju weszła Kazaszka w długiej jaskrawej sukni i w tiubietiejce, odsunęła na bok solidną zasłonę, wykonała w kierunku doktora zapraszający gest wąską dłonią.

– Prosimy.

Płaton Iljicz wszedł przez otwór. Chrząkała dalej stał koło drzwi z czapką w ręku.

Wewnątrz szatry było jaśniej i jeszcze cieplej. Przestronne okrągłe pomieszczenie z takimi samymi szarymi ścianami z żyworodnego wołoku dyszało koczowniczą przytulnością i ostrym aromatem wschodnich wonności. Pośrodku szatry, pod wyciągiem, przy tradycyjnym niskim, kwadratowym, czarnym stole zasiadało trzech witaminderów. Czwarta strona stołu pozostała pusta. Nieco dalej, wzdłuż ścian, siedziało siedem posługaczek. Ósma, która zaprosiła doktora do szatry, bezszelestnie zajęła swoje miejsce pod ścianą.

Cała trójka patrzyła na doktora.

– Powiatowy lekarz Garin. – Kiwnął im głową.

– Zahacz, Bajju Baj, Powiedzmy – przedstawili się witaminderzy, po kolei pochylając swoje ogolone głowy.

Zahacz i Powiedzmy mieli europejskie twarze, Bajju Baj był jaskrawo wyrażonym Azjata.

– Doktorze, spadliście nam jak anioł z nieba. – Szczupły, wąskolicy Zahacz się uśmiechnął.

– W jakim sensie? – Płaton Iljicz uśmiechnął się, przecierając zapotniałe binokle.

– W takim, że niezmiernie potrzebujemy waszej pomocy – kontynuował Zahacz.

– Ktoś jest chory? – Doktor obrzucił wszystkich spojrzeniem.

– Chory. – Krępy Powiedzmy z prostacką, niemal chłopską twarzą kiwnął głową.

– Kto więc?

– O, tam – wskazał Zahacz – nasz przyjaciel Drzemka.

Doktor się odwrócił. Między dwiema siedzącymi dziewczynami leżało coś zawiniętego w dywan. Dziewczyny rozwinęły dywan i wówczas zobaczył czwartego witamindera: złota obroża ze świecącymi się wstawkami

z nadprzewodników i ogolona głowa. Głowa miała mocne zadrapania i krwiaki, twarz była lekko opuchnięta.

Podszedł ostrożnie, spojrzął, nie nachylając się.

– Co z nim?

– Pobili – odpowiedział Zahacz.

– Kto?

– My.

Doktor przeniósł wzrok na mądrą twarz Zahacza.

– Za co?

– Zgubił kosztowne rzeczy.

Płaton Iljicz westchnął nieprzychylnie, kucnął, ujął rękę pobitego witamindera. Wyczuł puls.

– Oj, żyje on. – Baju Baj wygładził swoją rzadką bródkę.

– Żyje – doktor dotknął twarzy witamindera – ale gorączkuje.

– Gorączkuje – przytaknął Powiedzmy.

– No i w tym wszystkim bąki-bąki. – Zahacz oblizał wąskie wargi. – A u nas żadnych lekarstw.

– Ale to sprawa dla sądu, panowie. – Doktor wydał dolną wargę, patrząc na pobitego.

– To sprawa dla sądu. – Zahacz kiwnął głową i dwóch pozostałych witaminderów również kiwnęło swoimi ogolonymi głowami na znak zgody. – Ale liczymy na pańskie zrozumienie.

– Będę musiał to zgłosić – odpowiedział już niezbyt zdecydowanym głosem, rozumiejąc, że za takie słowa może za chwilę znaleźć się ponownie w nieprzytulnej, wyjącej zamieci.

– Odwdzięczymy się – rzekł Baju Baj, starannie wypowiadając rosyjskie słowa.

– Nie biorę munsztułuku.

– Odwdzięczymy się nie pieniędzmi – wyjaśnił Zahacz. – Damy wam doświadczyć.

Doktor w milczeniu patrzył na Zahacza.

– Doświadczyć nowego produktu.

Brwi Płatona Iljicza uniosły się, zdjął binokle, przetarł je. Od ciepła poróżowił mu nos.

– No... – Wcisnął binokle na nasadę nosa, westchnął, wolno pokiwał głową.

Witaminderzy siedzieli nieruchomo, czekali.

– Tego, oczywiście... trudno odmówić – westchnął bezradnie doktor.

I z poczuciem beznadziei sięgnął po chustkę.

– A myśmy się już wystraszyli, że odmówicie. – Zahacz się uśmiechnął.

Witaminderzy się zaśmiali. Zaśmiały się też niegłośno dziewczynki posługaczki.

Doktor wysmarkał się tubalnie. I również się roześmiał.

Zza zasłony wysunęła się syta twarz Kazacha.

– Gospodarze, tutaj furman prosi ogrzać koniki.

– Ile ich? – spytał Powiedzmy.

– Nie wiem. Maleńkie.

– A, maleńkie... – Powiedzmy i Zahacz spojrzeli po sobie.

– Postaw im szopę – nakazał Zahacz. – A jemu daj co zjeść.

Kazach zniknął.

– To mi... w takim razie... potrzebne są moje sakwojaże... – wymamrotał doktor, znów pochylając się nad pobitym Drzemką. – I ręce muszę wymyć mydłem.

Poczuł wstyd za swoją słabość, ale nic nie mógł na to poradzić: zdarzało mu się doświadczać produktów witaminderów, kiedy nie przeszkadzały temu finanse. Dzięki temu życie prowincjonalnego lekarza stawało się znośniejsze. Pozwalał sobie na to przynajmniej raz na dwa miesiące. Ale ostatnio z pieniędzmi było krucho, zdecydowanie krucho: i tak już niezbyt wysoką pensję obniżono o osiemnaście procent. Trzeba było się ograniczyć i właśnie mijał rok, jak doktor Garin nie p r o m i e n i a ł.

Zawstydzony własną słabością, zawstydził się też własnego wstydu, a potem, zawstydzony się tą podwójną wstydlivością, poczuł wręcz oburzenie i rzucił się na samego siebie zaciekle i gwałtownie.

„Idiota... bydlę... paniczyk przeklęty...”

Ręce mu zadrżały, musiał je czymś zająć. Zaczął rozwijać dywan, całkowicie odkrywać leżącego. Witaminder zajączał.

Tymczasem dwie dziewczyny przyniosły sakwojaże, wytarły je ze śniegu, postawiły obok doktora. Dwie inne dziewczyny przyniosły dzbanek, miskę i ręcznik.

– A mydło? – spytał Płaton Iljicz, zdejmując marynarkę i podwijając rękawy koszuli.

– Mydła nie mamy – odpowiedział Zahacz.

– Nie? A wódka jest?

– Tego paskudztwa nie trzymamy. – Powiedzmy uśmiechnął się.

– A, przecież mam spirytus... – przypomniał sobie doktor.

Otworzył sakwojaż, wyjął z niego pękata buteleczkę, opłukał ręce wodą, wytarł ręcznikiem, następnie przemył je spirytusem.

– O, tak... – Rozpiął sweter na piersi Drzemki, przyłożył do niej stetoskop, zaczął słuchać, unosząc brwi.

– Po sercu go nie biliśmy – rzekł Bajus Baj.

– Serce w porządku – wywnioskował doktor.

I zaczął dotykać kończyn witamindera. Ten znów zajęczał.

– Ręce i nogi całe.

– Myśmy go bili po brzuchu i po głowie – powiedział Powiedzmy.

Doktor zadarł witaminderowi sweter, obnażając jego brzuch. Obmacywał go, w skupieniu zawisając zaróżowionym nosem nad leżącym. Ten cały czas pojękiwał.

– Wzdęć i urazów wewnętrznych nie znajduję. – Opuścił mu sweter i pochylił się nad głową. – A tutaj, najwyraźniej, wstrząśnienie mózgu. Dawno leży w zamroczeniu?

– Od wczorajszego wieczoru.

– Wymioty były?

– Nie.

Przysunął do nosa leżącego amoniak.

– No, gołębiczku.

Leżący słabo się skrzywił.

– Słyszysz mnie?

Ten w odpowiedzi słabo zajęczał.

– Zaraz. Poczekaj cierpliwie – poprosił doktor.

Wyjął strzykawkę, ampułkę, potarł spirytusem wytatuowane ramię witamindera i zrobił mu zastrzyk.

– Zaraz ulży. – Schował strzykawkę. – A po co go zawinęliście w dywan?

Witaminderzy spojrzeli po sobie.

– Tak mu spokojniej – odparł Powiedzmy.

– Jak w kołysce. – Zahacz ziewnął.

– Myśmy mu jeszcze stopy natarli baranim tłuszczem – powiedział Bajus Baj.

Płaton Iljicz pozostawił jego słowa bez komentarza.

Po zastrzyku policzki pobitego zaróżowiły się.

– Rękami i nogami ruszać możecie? – spytał doktor głośno.

Drzemka poruszył rękami i nogą.

– Pięknie. Zatem kręgosłup cały... Na co się skarżycie?

Zapiekle krwią wargi rozlepiły się.

– O...wa...

– Co?

– Ho...ło...wa...

– Głowa boli?

– Ohu.

– Mocno?

– Ohu.

– Kręci się?

– Ohu.

– Mdzi?

– Ohu.

– Łże jak pies! – krzyknął Powiedzmy. – Ani razu przez ten czas nie rzygał.

Doktor obejrzał głowę pobitego.

– Złamań nie ma. Tylko krwiaki. Kręgi szyjne w porządku.

Wydostał jodynę, zaczął smarować zadrapania na twarzy pobitego. Następnie wysmarował je maścią nagietkową.

– Metalginum-plus i spokój. – Płaton Iljicz wyprostował się. – I ciepłe płynne pożywienie.

Zahacz kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Baliśmy się, że zemrze – rzekł Bajju Baj.

– Nie ma niebezpieczeństwa dla życia.

Witaminderzy odetchnęli z ulgą.

– No, przecież mówiłem! – Zahacz się uśmiechnął. – A macie metalgin?

– Zostawię wam pięć pigułek.

– Dziękujemy wam, doktorze. – Powiedzmy pochylił głowę.

Płaton Iljicz wy dostał metalgin-plus, wycisnął tabletkę, przywołał skinieniem dłoni dziewczynę.

– Szklanekę wody.

Dziewczyna nalała, on wsunął do ust chorego tabletkę, dał mu popić. Ten zakasłał.

– Spokojniej... najgorsze mamy za sobą... – uspokoił go doktor.

I wyciągnął ręce nad miską. Dziewczyna oblała je wodą, on wytarł dłonie i zaczął opuszczać podwinięte rękawy koszuli.

– I to na tyle.

Serce zabiło mu, czując przedsmak doświadczenia. Ale ze wszystkich sił starał się wyglądać spokojnie.

– Siadajcie. – Zahacz kiwnął głową na wolne miejsce przy kwadratowym stole.

Doktor usiadł, podkulając nogi.

– Produkt! – zakomenderował Zahacz.

Dwie siedzące przy wołokowej ścianie dziewczyny otworzyły płaski kufer i wyjęły z niego przezroczystą piramidę. Dokładnie taką, jaką trafili wczoraj w śniegu i która złamała płożę samopędu Chrzakały.

„No proszę!” – zdumiał się doktor.

Zrozumiał, c o zgubił zawinięty w dywan witaminder i za co go pobili.

„I zgubił nie jedną... a może nawet opakowanie... Przecież to cały majątek...”

Patrzył na piramidę, którą dziewczyna ostrożnie postawiła pośrodku stołu. Doświadczał dwóch poprzednich produktów witaminderów: kuli i kubiku. Nie były przezroczyste i były dwa razy mniejsze od piramidy.

„Czemu ja się wtedy nie domyśliłem, że to produkt? Dureń... Ale była zbyt solidna. To mnie zmyliło... tak, to zmyliło. A tam, na drodze walało się najwyraźniej całe opakowanie. Moja roczna wypłata. Absurd!”

Doktor uśmiechnął się.

– Doświadczaście już? – Powiedzmy nie zrozumiał jego uśmiechu.

– Nie, co też. Ja tylko tak... Doświadczałem jedynie kuli i kubiku.

– No, kto ich nie doświadczał... – Baju Baj wzruszył nalanymi ramionami.

– To całkiem nowy, świeży produkt. – Zahacz mrugnął do piramidy. – Doświadczamy go na razie sami. Szukamy g r a n i c. Szykujemy się do wiosny.

Doktor nerwowo i ze zrozumieniem kiwnął głową.

„Trzeba będzie wracać z Dołgiego tą samą drogą...” – pomyślał ostrożnie.

Zahacz nacisnął przycisk na blacie stołu. Pod piramidą wysunęła się gazowa grzałka.

– Nie od razu się uaktywnia – wyjaśnił Powiedzmy.

– Nie tak jak kula i kubik? – Doktor, czując pobudzenie, pociągnął nosem i oblizał wargi.

– Nie. Powinna się cała równomiernie nagrzać. Ze cztery minuty.

– Poczekamy! – Doktor nerwowo się roześmiał, upuszczając binokle.

– Poczekamy. – Zahacz uśmiechnął się.

– Poszczekamy... – Baju Baj rozplłynął się w uśmiechu.

Chrzakała tymczasem jadł już gorący chiński makaron z kurczakiem, siedząc w osobnej, dopiero co postawionej dla niego szopie. Nigdy wcześniej nie widział, jak się buduje z żyworodnego wołoku. Posługacz witaminderów Kazach

Bachtijar z poczuciem wyższości zademonstrował Chrząkałę cały proces budowania szopy. Najpierw nakazał mu podprowadzić samopęd jak można bliżej ściany szatry, następnie wbił w śnieg trzy g r z e b i e n i e, wytyczając obwód szopy, po czym włożył rękawice ochronne, wycisnął z tubki na grzebienie żyworodną wojłokową pastę, spryskał ją sprayem „Żywa woda” i zwycięsko spojrział na Chrząkałę. Ten stał ze swoim ptasim uśmiechem, położywszy ręce na pojeździe, jakby się bał go stracić. Szara pasta poruszyła się, zaczął z niej wyrastać wojłok, włoski po włosku. Trzy wojłokowe ściany, nie zwracając uwagi na rozszalałą zamieć, rosły, odgradzając samopęd i jego właściciela. Bachtijar stał na zewnątrz.

– No? – spytał z dumą.

– Sprytnie! – Oczarowany Chrząkała szerzej otworzył usta.

– Technologia.

– Technologia – rzekł woźnica ostrożnie i z szacunkiem.

Ledwo wojłokowe ściany dorosły do głowy Bachtijara, ten złapał spray „Martwa woda” i pobryzgał je po szczytach. Wzrost wojłoku ustał. Kazach wepchał grzebień w skraj największej ściany, spryskał go „Żywą wodą” i zaczął hodować dach komórki. Znajdujący się wewnątrz rodzącego się pomieszczenia Chrząkała schylił się, usiadł na siedzeniu samopędu i obserwując pełznący nad głową dach, nie wiadomo po co złapał za ster i lejce. Dach się wypiętrzył, na głucho zamykając szopę, oddzielając woźnicę i konie od zamieci, mrozu i białego śniegu. Zrobiło się ciemno i nieswojo cicho.

Koźma ledwo dosłyszał jeszcze, jak Kazach pryskał „Martwą wodą”, zatrzymując w ten sposób rozrost dachu. Potem już wszystko ucichło. Koniki, czując, że wokół dzieje się coś szczególnego, zamarły i się nie poruszały.

– Kiej tam? – Chrząkała stuknęła w kapuzę.

Dereszowaty ostrożnie zarżał. Za nim zarżały trzy nierozłączne skarogniade, potem bułane, gniade, a na końcu – powolne cisawe.

Minęło jeszcze z pięć minut i ciemność przeciął gwałtowny dźwięk noża elektrycznego. Kazach zręcznie wyciął w szopie niewysokie drzwiczki, odciągnął je, wpuszczając do komórki światło i ciepło.

– Przestraszyłeś się?

– A nie. – Chrząkała pokręcił się na siedzeniu.

– Siedź. Zara żryć przyniosę.

Woźnica został na miejscu.

Bachtijar wrócił z czarką makaronu i łyżką.

– Kazali cię nakarmić.

– Bóg zapłać. – Chrzakała pokłonił się, przyjmując posiłek.

Chociaż w szopie było niezbyt jasno, to zauważył w makaronie skrzydełko kurczaka. I z przyjemnością wziął się do jedzenia. Koniki w kapuzie, czując, że gospodarz je, zaparskały i zarżały.

– No, no! – zaczął na nie pohukiwać, postukując łyżką w kapuzę. – Jeszcze czeka was jazda, zapomnijcie o jedzeniu...

Koniki ucichły. I tylko zadziora deresz zarżał niezadowolony.

– No ja cię, zbóju... – czule mamrotał Chrzakała, przeżuwając smaczne mięso. Z przyjemnością objadł, a potem zgryzł kurze skrzydełko.

„Dobre ludzie – myślał, szybko pocąc się od gorącego jedzenia. – Chociaż witamindery...”

Piramida wydała cienki, świszczący dźwięk i wyparowała. Grzałka zgasła. I w tejże sekundzie nad stołem, oddzielając czterech siedzących od pozostałej przestrzeni i świata, momentalnie zespoliła się przezroczyta półsfera z najcieńszego żyworodnego plastiku, tak cienka, że jedynie ów dźwięk zespolenia, przypominający pękającą, niepomiarne wielką bańkę mydlaną albo półsennie odmykanie wilgotnych warg wielkoluda, zdradził jej powstawanie.

– Madagaskar – wypowiedział słabnącymi już wargami Zahacz tradycyjne powitanie używających witaminderów.

Doktor chciał odpowiedzieć „Raksagadam”, ale w tejże chwili zapadł się w inną przestrzeń.

Szare pochmurne niebo. Rzadkie śnieżne płatki. Spadają z tych szarych chmur. Padają i padają. Pachnie wilgotną zimą. Odwilż? Albo wczesna zima. Słaby wiatr przynosi zapach dymu. Nie. Tak pachnie łaźnią, którą rozpalają, aż żarem bucha. Przyjemny zapach. Zapach palącej się kory brzozy. On porusza głowę. Rozbrzmiewa głuche pluśnięcie. Przy potylicy. Opuszcza wzrok. Koło twarzy – ciecz. Nie woda. Jest gęsta i pachnie znajomo. Znajomy, znajomy zapach. Ale zbyt gęsty. Olej słonecznikowy! Jest po szyję w oleju. Siedzi w jakimś zbiorniku wypełnionym olejem słonecznikowym. To czarny kocioł, wielki kocioł z grubym brzegiem. Wokół kotła wielki plac. Plac wypełniony ludźmi. Jak ich dużo! Są setki, setki. Stoją ciasno. Jaki wielki, ogromny plac. Otaczają go domy. To europejskie domy. I ogromna katedra. Już gdzieś widział tę katedrę. To chyba Praga. Bardzo możliwe. Tak, na pewno Praga. A może nie Praga? Warszawa? Albo Bukareszt. Kraków? Pewnie jednak Warszawa. Główny plac. I na tym placu setki, setki ludzi. Stoją i patrzą na niego. Chce się poruszyć. Ale nie może. Jest związany. Związany grubym sznurem. Związany tak, jakby był w matczynym

brzuchu. Nogi zgięte w kolanach, przyciśnięte do piersi, przyciągnięte sznurem. A ręce przywiązane do kostek u nóg. Porusza palcami. Są swobodne. Dotyka własnych stóp. Nadgarstki mocno przywiązane do kostek. Siedzi na dnie kotła. Dotyka dna kotła. Jest jak spławik. Tak uczył się pływać. Jako chłopak udawał spławik. To było dawno. Nad wielką rzeką. Było słonecznie i ciepło. Ojciec stał na brzegu w szerokim słomianym kapeluszu. Ojciec się śmiał. Jego źrenice błyszczały w słońcu. A on udawał spławik i patrzył na ojca. Na brzegu stały dwa konie i piły wodę z rzeki. Na jednym z koni siedział goły chłopak i pogardliwie patrzył na niego. A on udawał spławik. Ale to było dawno. Bardzo dawno. A teraz jest związany. I tkwi w tym kotle. Kocioł stoi na podwyższeniu. To pomost. Jego brzegi są zbite kłami z grubych kłoców. Dostrzega je. Czarny gruby brzeg kotła zagradza niemal cały pomost. Kocioł na czymś stoi. I dwa grube łańcuchy ciągną się naprężone od uszu kotła do dwóch świeżo obciosanych słupów. Łańcuchy namotane są wokół tych słupów. Omotane równo po cztery razy. I przybite dużymi kutymi gwoździami. Te słupy również wyrastają z pomostu. A za pomostem zaczyna się tłum. Tłum patrzy na niego. Wielu się uśmiecha. W oddali, koło katedry, czytają coś uroczyście, z zaśpiewem. Łacina? Nie. Polski. Nie, to nie polski. To jakiś inny język. Serbski? Albo bułgarski? Rumuński! Raczej rumuński. Czytają coś. Czytają uroczyście. Nawet z lekka śpiewają. Śpiewnie czytają o nim! I wszyscy słuchają. I patrzą na niego. To, co czytają, dotyczy tylko jego. Oni czytają coś o nim. Czytają długo. Próbuje przysunąć się do brzegu kotła, żeby chociaż oprzeć się o niego podbródkiem i się podciągnąć. Ale nagle odkrywa, że ten sznur, który ściska jego kostki i nadgarstki, przywiązany jest do dna kotła i przytrzymuje jego ciało. Sznur przeciągnięty jest przez jeszcze jedno ucho, które znajduje się równo pod nim na dnie kotła. Dotyka palcami tego ucha. Jest gładkie, półokrągłe. Przez nie przewleczony jest gruby sznur. Rozumie, że w żaden sposób nie może wydostać się z tego kotła. Nawet ze związanymi rękami i nogami. Ucho go nie puści. On krzyczy z przerażenia. Tłum głośno się śmieje, złorzeczy. Ludzie stroją do niego miny, wytykają palcami. Kobiety trzymają na rękach dzieci. Dzieci się śmieją i przedrzeźniają go. On szarpie się ze wszystkich sił. I na sekundę traci świadomość z przerażenia. Ale zaraz dochodzi do siebie, zaczynając się krztusić ohydny, śmierdzącym olejem. Olej trafia mu do ust i nosa, on kaszle, boleśnie kaszle. Paskudny postny olej! Jak śmierdzi. Jak go dużo. Łatwo się nim zakrztusić. Ciężko kołysze się wokół jego ciała. Tym olejem babcia polewała kiszoną kapustę. Teraz tak go dużo! Dyszy swoim zapachem. Jedynie słaby wiaterek pomaga mu się nie udusić. Od tego zapachu kręci się w głowie. Rzadkie

i duże śnieżynki wpadają do oleju i znikają. Jak im dobrze. Do niczego nie są przywiązane. I wobec nikogo do niczego nie są zobowiązane. Ale oto lektor uroczyście i głośno wykrzykuje ostatnie słowo. I tłum ryczy. Ryczy, podrywa ręce do góry. Ryczy tak, że ryk rezonuje w kotle i koło ołowianych brzegów tworzą się ledwo zauważalne drobne fale. I nagle ktoś wchodzi na pomost. To nastolatek z pochodnią. Jest w zamszowej kurtce z miedzianymi guziczkami, czerwonych pantalonach i czerwonych pantofelkach z zagiętymi do góry noskami. Jego twarz poczerwieniała. Anielska twarz. Długie kasztanowe włosy płynnie opadają na ramiona. Nastolatek ma na głowie czerwony beret z sokolim piórem. I wznosi ku górze pochodnię. Tłum ryczy. A chłopak opuszcza pochodnię pod kocioł, pochyla się. Widać jedynie beret wyrostka. Drży sokole piórko. Rozlega się słaby trzask, potem silniejszy. Nasmolony chrust zajmuje się ogniem. Trzask staje się głośniejszy. Ciemny dym wydobywa się spod kotła. Wyrostek schodzi z pomostu. Jego beret z piórkiem przemyka już w tłumie. Tłum ryczy, złorzeczy. On dokonuje jeszcze jednej rozpaczliwej próby uwolnienia się, napinając się tak, że wypuszcza gazy. Wypływają wolnymi pęcherzami wokół niego. Ale sznur się nie poddaje. On się szarpie, połykając olej, kaszłąc i chwytając ustami powietrze. Olej pluska wokoło. Śmierzący, gęsty olej. Ale kocioł jest nieruchomy. Nie można go nawet rozkołysać. On krzyczy tak, że echo jego głosu, odbijając się od katedry, powraca do niego trzykrotnie. Tłum słucha jego krzyku. Potem ryczy i chichocze. On zaczyna płakać i mamrotać o swojej niewinności. Opowiada tłumowi o sobie. Wymawia swoje imię. Imię swojej matki. Swojego ojca. Mówi o przepotwornej pomyłce. On nie uczynił ludziom nic złego. Opowiada o swoim szlachetnym zawodzie lekarza. Wylicza imiona chorych, których uratował. Przyzywa Boga na świadka. Tłum słucha i chichocze. On mówi o Chrystusie, o miłości, o przykazaniach. I nagle czuje piętami, że dno kotła stało się gorące. Wyje z przerażenia. I znów na sekundy traci przytomność. I znów olej, śmierzący olej przywraca mu świadomość. Przytomnieje, bo połyka olej. Dławi się olejem. Wymiotuje olejem do oleju. Tłum chichocze. On chce im powiedzieć o swojej niewinności, ale nie może. Łapie oddech. Kaszle. Kaszle boleśnie. Niemal z krzykiem. Dno kotła się nagrzewa. Tylko środkowe ucho, ucho na dnie, jest jeszcze chłodnawe. Grube ucho wystaje z dna. Palcami trzyma się ucha. Odkasłuje. Zbiera myśli. Uspokaja się. I zwraca się do tłumy z mową. Mówi o wierze. O tym, że nie boi się umierać. Bo jest człowiekiem wierzącym. Opowiada swoje życie. Nie wstydy się swojego życia. Starał się żyć godnie. Starał się czynić dobro i przynosić ludziom pożytek. Oczywiście, zdarzały się pomyłki. Wspomina dziewczynę, którą uczynił kobietą i która dokonała przez

niego aborcji. I jak się dowiedział, nie mogła mieć już później dzieci. Wspomina, jak w czasach studiów, na imprezie w akademiku, pijany do nieprzytomności, wyrzucił przez okno butelkę i trafił przechodnia w głowę. Opowiada, jak pewnego razu nie pojechał do chorego i chory umarł. Dużo kłamał w swoim życiu. Obmawiał przyjaciół i kolegów. Opowiadał świństwa o kobiecie, z którą żył. Czasami żałował pieniędzy dla rodziców. Nie bardzo chciał mieć dzieci. Chciał pożyć swobodnie, rozkoszować się życiem. Między innym przez to rozstali się z żoną. Wyraża skruchę z powodu popełnionych czynów. Źle się wyrażał o władzy. Życzył Rosji, by ją piekło pochłonęło. Śmiał się z Monarchy. Ale nigdy nie był przestępcą. Był prawym obywatelem. Zawsze sumiennie płacił podatki. Dno kotła staje się gorące. On się spina i opiera nogami na uchu. Jest trochę ciepłe. Rękami utrzymuje własne nogi na uchu. Mówi, że najstraszniejsze na świecie – kiedy stracony zostaje niewinny człowiek. Taka kaźń jest o wiele straszniejsza od zabójstwa. Albowiem zabójstwa dokonuje przestępca. Ale nawet przestępca, dokonując zabójstwa, daje szansę ofierze na ratunek. Ofiara może uciec, wyrwać z rąk zabójcy nóż, zawołać na pomoc. Zabójca może spudłować, potknąć się. Albo tylko zranić ofiarę. Kiedy zaś człowiek zostaje stracony, nie pozostawia się mu jakichkolwiek szans na uratowanie. W tym tkwi koszmar i okrucieństwo kary śmierci. On zawsze był i pozostaje przeciwnikiem kary śmierci. Ale to, co odbywa się teraz na głównym placu tego miasta, jest o wiele straszniejsze niż kara śmierci. Albowiem jest to wykonanie kary śmierci na niewinnym. Jeśli wszyscy oni zebrali się tutaj, żeby stracić niewinnego, to dopuszczają się wielkiego grzechu. I ten grzech będzie spoczywać jako wieczna hańba na ich mieście, na ich dzieciach i wnukach. On czuje, jak olej, nagrzewając się na dnie, wypływa ku górze ciepłymi, wznoszącymi strumieniami, wypychając chłodny olej. A chłodny olej opada na dół. Żeby nagrzać się na dnie i stać się ciepłym olejem. I wypłynąć na powierzchnię. On mówi o dzieciach, stojących tutaj, siedzących na ramionach ojców. Dzieci widzą, jak zostaje zgładzony. Dorosną i dowiedzą się, że był niewinny. Będzie im wstyd za swoich rodziców. Będzie im wstyd za swoje miasto. To piękne, wspaniałe miasto. Stworzone nie dla zagłady, ale dla radosnego, szczęśliwego życia. Jego pięty ześlizgują się z ucha i dotykają dna. Dno jest gorące. Szybko odbija się piętami od dna i chwytając stopami ucha ze sznurem, trzyma się za sznur. Mówi o wierze. Wiara powinna czynić ludzi lepszymi. Ludzie powinni kochać ludzi. Dwa tysiąclecia minęły od śmierci Chrystusa, a ludzie nadal nie nauczyli się kochać nawzajem. Nie poczuli swego pokrewieństwa. Nie przestali nienawidzić się nawzajem, okłamywać, grabić. Ludzie nie przestali zabijać się nawzajem. Czy ludzie mogą

zabijać ludzi? Jeśli to możliwe w jednej rodzinie, w jednej wsi, w jednym miasteczku, to dlaczego jest to niemożliwe chociażby w jednym kraju? Ucho się nagrzewa. Robi się gorąco w stopy. Odrywa je, ale one od razu ześlizgują się na dno. Dno jest bardzo gorące. Stopy odrywają się. Ale nie mogą wisieć w oleju. Muszą się na czymś opierać. Opada na dno pośladkami i je parzy. Podkłada palce pod pośladki i pod pięty. Opiera się palcami na gorącym dnie. Potem na uchu. Dym z ogniska wije się wokół kotła, gryzie go w oczy. Zamyka oczy i krzyczy, że oni wszyscy są przestępcami. Że ich miasto będzie sądzone przez międzynarodowy trybunał. Że dokonują zbrodni przeciwko ludzkości. Że międzynarodowy trybunał skaze ich na karę więzienia. Że na ich miasto zostanie rzucona bomba atomowa. Tłum się śmieje i złorzeczy. Olej staje się gorący. Gorące strumienie wypływają ku powierzchni. Jak języki płynnego płomienia, oblizują jego plecy. Liżą pierś. Nie można się niczym przed nimi zasłonić. Stają się coraz gorętsze. Ucho jest już parzące. On nabiera powietrza do płuc. I ze wszystkich sił krzyczy. Przeklina to miasto. Przeklina wszystkich ludzi na placu. Przeklina ich rodziców i ich dzieci. Przeklina ich wnuki. Przeklina ich kraj. Zaczyna szlochać. Miota wszystkie przekleństwa, jakie tylko zna. Wykrzykuje wulgaryzmy, płacząc i się zapluwając. Olej pluska wokół jego głowy. Już zupełnie nie można się opierać na uchu. Jest gorące. Bardzo gorące. A dno kotła już jest strasznie gorące. Nie da się go nawet dotknąć. On odbija się od ucha i zawisa w oleju. Odbija się i zawisa. Odbija się i zawisa. Odbija się i zawisa. Odbija się i zawisa. Tańczy w oleju. Taniec w oleju! Zaczyna wyć. Taniec w oleju! Wyje, zwracając się już nie do tłumu, a do dachów domów otaczających plac. Taniec w oleju! To dachówkowe stare dachy. Taniec! Pod nimi żyją ludzie. Taniec! Rodziny. Tańcz! Tam kobiety szykują śniadania. Tańcz! Cerują bieliznę. Tańcz! Dzieci płaczą i się bawią. Tańcz! Dzieci tulą się do matek. Tańcz! I śpią w swoich łóżeczkach. Tańcz! Dzieci śpią, śpią, pią. W swoich łóżeczkach. Poduszcзки, haftowane poduszcзки. Matki haftują na poduszkach kwiaty. Na poduszkach śpią dzieci. Śpią, śpią, śpią. I nie budzą się. Śpią dniami. Można spać dniami. I nie budzić się. Nikt za to nie zgładzi. Jeśli się nie obudzisz. Jeśli będziesz spać. Krzyczy i błaga, by go obudzić. On wierzy dzieciom. Wierzy gołębiom na dachówkowych dachach. Lubi gołębie. Gołębie mogą mu wybaczyć. Gołębie wybaczą wszystkim ludziom. Gołębie nie zabijają ludzi. Umrę? Gołębie lubią ludzi. Umrę? Gołębie go uratują. Umrę? On się zamieni w gołębia. Umrę? On odleci. Umrę! Tłum zaczyna śpiewać i się kołysać. Jamrę! Co to? Jamrę! Narodowa pieśń? Jamrę! Pieśń tego narodu? Jamrę! Tego wspaniałego narodu. Jamrę! Tego przekłętego narodu. Jamrę! Tego złego narodu. Jamrę!

śliną, plaskał rękami, jęczał z wyczerpania, potrząsając głową, groził komuś palcem, wzdychał, lamentował i chichotał, chichotał, chichotał. Jego nos czerwieniał jak u pijaka, krew napłynęła do trzęsących się policzków.

Zahacz dał dziewczynie znak, ta prysnęła wodą na spąsowiałą twarz doktora.

Stopniowo się uspokoił, leżąc na plecach i czkając. Wyrównawszy oddech, usiadł. Dziewczyna dała mu wody. On wypił, głęboko westchnął. Znowu dostał chustkę, znowu się wysmarkał i wytarł twarz. Wcisnął binokle na nos. I rzekł, poważnie patrząc na siedzących za stołem witaminderów:

– Wielka rzecz!

Ci ze zrozumieniem kiwnęli głowami.

– Po ile jedna? – spytał, wstając powoli z podłogi i poprawiając się.

– Dziesiątka.

– Biorę parę. – Sięgnął do kieszeni po portfel, wyjął wszystko, co było: dwie dziesiątki, trójkę i obiecaną Chrząkale piątkę.

– Bez problemu, doktorze. – Zahacz uśmiechnął się. – Zamira!

Dziewczyna otworzyła kufer, wyjęła dwie piramidy. Płaton Iljicz rzucił dwie dziesiątki na czarny stół. Zahacz przyjął je szczupłą dłonią z delikatnymi, cienkimi palcami. Posługaczka wsunęła piramidki do torebki, podała doktorowi. Ten wziął torebkę, rześko potrząsnął głową.

– Czas na mnie, panowie.

– Pojedziecie? – spytał Powiedzmy.

– Koniecznie!

– Może u nas przeczekacie noc? – Zahacz dotknął swojego lewego ramienia i w tym momencie podeszła dziewczyna i zaczęła go masować.

– Nie! Jechać, koniecznie jechać. – Doktor rześko pokręcił głową. – Czas w drogę!

– Jak uważacie. Ale u nas ciepło i przytulnie. – Zahacz mrugnął do dziewczyn.
– Szczególnie nocą.

Dziewki posługaczki zaśmiały się i nagle zaśpiewały chóralnie:

– Zahacz, utrudziłyśmy się ba-a-a-ardzo! Powiedzmy, wszystkim dobra-a-a-anoc!

Witaminderzy uśmiechnęli się.

– Oczka zamknij, Bajju Baj! – wykrzyknęła cieniutkim głosikiem najbardziej filigranowa z dziewczyn.

Okrągła twarz Bajju Baja rozpląnęła się jeszcze bardziej. Ale uśmiezki witaminderów jakby ponagliły doktora: strasznie chciał wyjść na boży świat z tej wołokowej przytulności.

– Dziękuję wam, panowie! – rzekł głośno, kiwnął głową i skierował się do wołokowych drzwi, które uprzejmie odsunęła jedna z posługaczek.

– Zajrzyjcie w drodze powrotnej – rzekł Powiedzmy.

– Niezawodnie, niezawodnie... – wymamrotał zdecydowanym głosem, znikając w otworze.

Kazaszka podchwyciła doktorskie sakwojaże, podreptała za nim.

W przedpokoju dziewczyny pomogły doktorowi się ubrać. Wyszedł też Bachtijar.

– Tak, gdzie mój woźnica? – Doktor pokręcił głową, naciągając papachę.

– W szopie. – Kazach kiwnął na wycięty w wołoku otwór.

Doktor zajrzał tam.

Chrząkała drzemał. Siedział w pojeździe, a nogi w walonkach wsunął do otwartej kapuzy. Wokół nóg stały koniki i coś przeżuwały.

– Koźma! Przyjacielu kochany! – krzyknął radośnie Płaton Iljicz.

Był szczęśliwy, widząc Chrząkałę, samopęd, konie.

Tamten od razu się przebudził, zakręcił, sprzątnął walonki z kapuzy. Doktor podszedł do niego, rzucił siatkę z piramidkami, objął go i przycisnął do piersi.

– A ja... – zaczął Chrząkała, ale on objął go mocniej.

Woźnica zamarł, nic nie rozumiejąc. Doktor odsunął się, spojrzał mu uważnie w twarz.

– Wszyscy ludzie są braćmi, Koźma – rzekł poważnie i jakoś tak uroczyście i radośnie się roześmiał. – Stęskniłem się za tobą, przyjacielu!

– A ja tu kapkę przysnął. – Chrząkała odwrócił wzrok, uśmiechnął się skrzepowany.

Bachtijar patrzył na nich z uśmiechem.

– Wspominałeś mnie? – Doktor potrząsnął chudym ciałem woźnicy.

– Ja... myślał, że spać legliście.

– Nie, bracie! Spać teraz nie ma kiedy. Życ trzeba, Koźma! Życ!

Znowu potrząsnął Chrząkałą.

– Jedziemy?

– Teraz? – spytał lękliwie Koźma.

– Teraz! Jedziemy! Jedziemy! – Doktor potrząsał nim.

– Można jechać...

– Jedziemy, przyjacielu!

Koniki, żujące podsypaną przez Chrząkałę kaszę owsianą, podniosły pyski i parszając z zaciekawieniem, obserwowały całe zajście.

– Kiej powiecie, tak pojedziem...

– Tak też powiem, przyjacielu! Jedziemy! Trzeba się spieszyć czynić ludziom dobro! Rozumiesz mnie? – Doktor potrząsnął nim.

– A kiej nie rozumieć.

– No to jedziemy!

Puścił Chrzakałę. Ten od razu zaczął się krzątać wokół samopędu, przytracząc sakwojaże.

– Schowaj to jak najgłębiej! – Doktor kiwnął na siatkę z piramidkami.

Woźnica wsunął je pod swoje siedzenie.

Bachtijar odpiął od pasa rzesak promieniowy, nakierował na wołokową ścianę. Płomień rozblęsnął niebieską iglicą, dał się słyszeć nieprzyjemny gwałtowny trzask, rozszedł się w powietrzu śmierdzący dym. Kazach zręcznie wyciął w ścianie wyjście, kopnął. Wycięty fragment wypadł na zewnątrz. I od razu zamieć wdarła się do szopy. Doktor wybiegł na świeże powietrze. Wokół niego wiła się i świszczająca zawierucha.

Zdjął papachę, przeżegnał się i pokłonił rodzimej, zimnej, białej i świszczącej przestrzeni.

– Hee-ta! – ze środka dobiegł głuchy głos Chrzakały.

Samopęd wypełził przez szczelinę, opuszczając wołokowe ciepło szopy.

Doktor nacisnął lisią czapę i krzyknął, rozkładając ręce, jakby pragnął objąć tę zamieć, tak jak wcześniej woźnicę, i przycisnąć do piersi.

– Oho-ho-o-o-o-o!

Zamieć w odpowiedzi zawyła.

– Nie przycichło, panie. – Chrzakała uśmiechał się. – O, jak szaleje!

– Jedziemy! Jedziemy! Jedzie-e-e-e-emy! – zakrzyknął doktor.

– Pojedziesz prosto, prosto do wsi i dojedziesz! – krzyknął Bachtijar, chowając się w szopie.

– Wspaniale! – Płaton Iljicz kiwnął do niego.

– He-ta, darmożja-a-a-dy! – zawołał cieniem głosem Chrzakała i zagwizdał.

Koniki zagrzały się i podjadły, więc ruszyły żwawo i samopęd potoczył się po polu. Zamieć przez ten czas się nie wzmogła, ale też nie zelżała: zamiatało tak samo, tak samo leciały śnieżne płaty, tak samo była zła widoczność z przodu i po bokach. Chrzakała też się zagrzał, pojadł i zdążył nawet kapkę podrzemać, tylko już zupełnie nie wiedział, dokąd jechać, nie odczuwał jednak z tego powodu żadnego niepokoju. Tym bardziej że doktor wysyłał taką falę ufności i słuszności, że ta jakoś od razu zmyła z niego wszelkie wątpliwości i wszelką odpowiedzialność.

Woźnica kierował, spoglądając na zagrzany nos doktora.

Ten wielki nos, jeszcze niedawno pogubiony i zziębnięty, posiniały, sączący katar, z przestraczem skrywający się w kołnierzu z panofiksów, teraz roztaczał taką pewność i rześkość, zwycięsko przecinając niczym kil okrętu kłębiącą się przestrzeń, że Chrząkale zrobiło się jakoś tak figlarnie i radośnie na sercu.

„Słoń wywiezie!” – myślał sobie wesoło.

Doktor co chwila poklepywał go po ramieniu, nie osłaniając zadowolonej twarzy przed wiatrem. Czuł się bardzo dobrze. Dawno nie czuł się tak dobrze.

„Jakim cudem jest życie! – myślał, wpatrując się w zamieć tak, jakby ją widział pierwszy raz. – Stwórca podarował nam to wszystko, podarował całkowicie bezinteresownie, podarował po to, żebyśmy żyli. I niczego od nas nie żąda za to niebo, za te śnieżynki, za to pole! Możemy tutaj żyć, w tym świecie, po prostu żyć, wchodzimy weń jak do nowego, dla nas pobudowanego domu, a on nam gościnnie otwiera na oścież swoje podwoje, otwiera na oścież to niebo i te pola! To jest cud! To właśnie jest dowód na istnienie Boga!”

Z rozkoszą wdychał mroźne powietrze, ciesząc się z dotyku każdej śnieżynki. W całej pełni, całym swoim jestestwem doświadczył mocy nowego produktu – piramidy. Kula i kubik dostarczały radość czegoś niemożliwego, nieosiągalnego, czego nie ma i nigdy nie będzie na ziemi, o czym człowiek roi w najbardziej skrywanych, najbardziej niezwykłych snach: skrzela, skrzydła, ogniowy fallus, moc cielesna, przenoszenie do zadziwiających przestrzeni, miłość do istot pozaziemskich, kopulacje ze skrzydlatymi czarodziejkami. To radość najskrytszych marzeń. Ale po kuli i kubiku ziemskie życie zdawało się ubogie, szare, pospolite, jakby pozbawione jeszcze jednego poziomu wolności. Trudno było wracać do ludzkiego świata po kuli i kubiku...

Piramida zaś jakby na nowo odkrywała ziemskie życie. Po piramidzie chciało się nie po prostu żyć, lecz żyć tak, jakby się żyło po raz pierwszy i ostatni, śpiewać radosny hymn życia. I w tym tkwiła prawdziwa wielkość tego zadziwiającego produktu.

Doktor dotknął nogą siatki z piramidami pod siedzeniem. „Czerwonec za sztukę. Drogawo, oczywiście. Ale warte, warte są tych pieniędzy... A tamto miejsce chyba zapamiętałem. Ile ten gamoń Drzemka zgubił tam piramid? Pięć, sześć? A może cały kufer? Oni przecież mają kufry p r o d u k t o w e, każdy specjalnie wyposażony na konkretny produkt – jeden na kule, drugi na kubiki, a ten na piramidki. Jak one zostały tam w kuferku zgrabnie ułożone – bez odstępów, jak monolit... Produkcja wysokiej technologii. Czyżby cały kufer posiał? Ile ich tam było? Dwadzieścia? Czterdzieści? Leżą teraz pod śniegiem... Cały majątek...”

– No i jest Posad, panie! – zakrzyknął Chrząkała.
Z zamieci wyłaniały się rzadkie chałupy Starego Posadu.

– Zara rozpytamy o drogę!

– Rozpytamy, bracie, rozpytamy! – Doktor z siłą klepnął woźnicę po watowanym kolanku.

Samopęd zjechał z nietkniętej pokrywy śnieżnej na zasypaną posadowską ulicę. W obejściach zajazgotały psy. Podjechali pod jedną chałupę. Chrząkała zsiadł i zastukał we wrota. Doktor, siedząc na swoim miejscu, zapalił papierosa, łapczywie wciągnął dym.

Na stukanie długo nikt nie reagował. Potem wyszła baba w narzuconym kozuchu. Woźnica krótko z nią porozmawiał, wszystko zrozumiał i zadowolony wrócił do doktora.

– Wiedziałech, panie! Do zagajnika dojedziem, a tam rozwidlenie, nasza na prawo! I prosty trakt aż do waszego Dołgiego, nigdzie nie skręcać! Raptem cztery wiorsty!

– Wspaniale, bracie! Przewspaniale!

– Przed zmierzchem znajdziem rozwidlenie, a tam to nawet ślepy by dojechał!

– Jedźmy! Jedźmy!

Usadowili się, opatulili i ruszyli. Stary Posad szybko się skończył, droga gubiła się wśród zarośli, mignęły spod śniegu ciemne badyle sitowia.

„No masz! – Chrząkała pokiwał głową. – Posadowskie ludzie nawet sitowia nie wycinają. Dobrze żyją!”

Przypomniał sobie, jak razem z ojcem nieboszczykiem każdej jesieni wycinali sitowie, a potem wiązali je i kryli nim chałupę. Co roku nakładali na dach sitowia. I dach był gruby i ciepły. A potem spłonął.

– Koźma, powiedz mi, bracie, co dla ciebie jest najważniejsze w życiu? – spytał go niespodziewanie doktor.

– Najważniejsze? – Chrząkała uśmiechnął się po ptasiemu i zsunął czapkę z oczu. – A nie wiem, panie... Najważniejsze, żeby wszystko było dobrze.

– Co znaczy dobrze?

– No, żeby koniki były zdrowe, żeby było na chleb... no i samemu żeby nie zachorzeć.

– No dobrze, powiedzmy, że koniki twoje są zdrowe, ty też zdrowy, pieniądze są. Co jeszcze?

Chrząkała się zamyślił.

– A nie wiem nawet... Myślałech, może pasiekę postawić. Choćby ze trzy ule.

– Powiedzmy, że masz pasiekę. Co jeszcze?

– A co mnie jeszcze?! – Woźnica się roześmiał.
– Naprawdę prócz tego nic cię więcej nie interesuje?

Chrząkała wzruszył ramionami.

– Nie wiem, panie.

– No, co byś chciał zmienić w życiu?

– W swoim? A nic. My ze swojego życia kurentny.

– No, a może w życiu w ogóle?

– W ogóle? – Chrząkała podrapał czoło rękawicą. – Żeby złych ludzi było mniej. Ot, tak.

– To dobrze! – Doktor poważnie kiwnął głową. – Nie lubisz złych?

– Nie lubię, panie. Ja złego człowieka na wiorstę objadę. A jak na takiego szkodnika wpadnę, od razu zachorzę. Rwać zaczyna, kieby się padliny nazarł. O, młynarz ten. Bodaj go obaczę, bodaj usłyszę, zaraz takie mdłości dopadną, dwóch palcy do gardła nie potra pchać. Nie rozumiem, panie, po co ludziom zło.

– Nie ma złych ludzi. Człowiek jest dobry z natury, został bowiem stworzony na obraz i podobieństwo Boże. Zło to pomyłka ludzka.

– Pomyłka? Strasznie wiele ja widział tej pomyłki. Ja to, kiej był wyrostkiem, nie mógł nigdy patrzeć, jak kogo chłostczą. Mnie chłostali – na zdrowie, popłaczę i tyła. A kieby kogoś na ławce zaczynają rozkładać, mnie aż niemoc ogarnia, mało wiele nie upadłem. A kiej ja podrośł, jak bójkę obaczę, to też słabo mi, kiebym kłody obracał. Ciężka to pomyłka, panie.

– Ciężka, bracie, ciężka. Ale dobra w życiu jest zdecydowanie więcej niż zła.

– Niby więcej.

– Dobro, dobro jest ważne!

– Dobro ważne, a jak. Czyń dobro, to ono do ciebie się zawróci.

– Dobrze powiedziałaś! No i my tu razem jedziemy za siedem gór czynić ludziom dobro! I jak to dobrze!

– Dobrze, panie. Kiejby tylko dojechać.

Przejechali zagajnik i znaleźli się u rozstaju dróg. Obie drogi – i ta, która odchodziła na lewo w pola, i druga, która skręcała na prawo w zarośla – były zawiane i nikt nimi ostatnio nie przejeżdżał.

– O, tu nasza koleina! – Chrząkała zdecydowanie pochylił ster w prawo, samopęd z lekkim skrzypieniem skręcił i popełził zasypanym traktem.

Dopiero teraz doktor zauważył, że już całkiem się zmierzcha. Wyjął zegarek. Była równo szósta.

„Jak to? – zastanowił się. – To ile ja byłem u witaminderów? Czyżby prawie sześć godzin? Ile godzin działa produkt? Trzeba było ich dopytać...”

Droga wiodła przez zarośla. Była całkiem przyzwoita, nie szersza ani nie węższa od pozostałych dróg przejezdnych, i rozjeżdżona, widoczna nawet w zapadającym zmroku. Zamięć zmiatała tak samo, nic nie słabnąc.

Po zakręcie śnieg smagał ich w twarz. Samopęd zaczął jechać wolniej.

Chrząkała kierował, koniki ciągnęły, szurając w kapuzie. Doktor wpatrywał się w drogę.

Wkrótce całkiem się ściemniło. Nie było widać księżyca. Ale to nie spieszyło ani doktora, ani Chrząkały. Kontynuowali swoją podróż tak samo spokojnie i pewnie. Doktorowi zdawało się, że sama zamięć wskazuje im drogę, zmuszając woźnicę, by kierował dokładnie pod wiatr. Z ciemności wyrzywały się śnieżynki, leciały wprost na podróżników i trzeba było po prostu utrzymywać ten kierunek, nigdzie nie skręcając.

„Poruszać się pod wiatr, przewycięzać wszelkie trudności, wszystkie niedorzeczności i absurdalności, poruszać się prosto, niczego i nikogo się nie bojąc, iść i iść własną drogą, drogą własnego losu, iść nieugięcie, iść uparcie. W tym tkwi sens naszego życia!” – myślał doktor.

Samopęd przechylił się na lewy bok, utknął nosem w śniegu i stanął. Konie zachrapały i zaparskały.

– No i zlecieliśmy. – Chrząkała zlazł, poszedł przez zaspy i po chwili zapadł się niemal po pas. – Tfu, do licha...

Doktor również wysiadł, otrzepał się ze śniegu.

– Wąwóz! – krzyknął do niego woźnica z dołu. – Chwała Bogu, żeśmy tu nie gruchnęli! Dopomóżcie, panie, wygramolić się...

Płaton Iljicz podszedł do niego, ale sam się zapadł, stękając, złapał woźnicę za rękę, pociągnął. Zaczęli się kręcić w śniegu, pomagając sobie nawzajem. Najpierw doktor wyciągał Chrząkałę z dołu, potem Chrząkała, wydostawszy się, zaczął pomagać doktorowi, który źle stąpnał. Kręcili się w śniegu, stękali i klęli, w końcu doktor zgubił swoją lisią czapę, ale woźnica ją złapał.

Kiedy wydostali się z wądołu, posiedzieli na śniegu, oparci o samopęd, odpoczywali.

– Trzeba będzie popchać – poprosił Chrząkała.

– Popchamy! – Doktor rześko zakręcił papachą, wstając. – Pokaż jak!

Chrząkała oparł się o plecy siedzenia, komenderując koniom wsteczny ruch:

– Pr-pr-pr! Nazad! Pr-pr-pr!

Doktor oparł się z drugiego boku.

Z trudem, po czterech próbach wyprowadzili samopęd z dołu. Odzipnęli, wsiedli, pojechali dalej. Droga prowadziła i prowadziła przez zarośla, potem

spełzła w nizinę i rozplynęła się w śnieżnych ciemnościach. Niemożliwym było ją dostrzec. Chrząkała zsiadł, poszedł naprzód, zaczął macać drogę nogami. Doktor złapał za ster, powoli wykręcał za nim. W taki sposób przeszli nizinę, wydostali się na górę. I tutaj woźnica zgubił drogę. Chodził kręgami, po kolana w śniegu, zapadał się w dołach, potykał, upadał, znowu wstawał. Płaton Iljicz ledwo odróżniał jego postać w ciemności.

W końcu Chrząkała ostatecznie stracił siły, wrócił, padł na kolana, obejmując samopęd.

– Boosz-sze...

– No, co jest? – Doktor zmrużył oczy.

– Zapadła się pod ziemię...

– Jak się zapadła? Gdzie się podziała?

– Bóg jeden wie... Widać, zły nas wodzi za nos, panie...

– Daj no, pójdę się rozejrzeć.

– Oj, poczekajcie, panie...

Ale doktor zdecydowanie ruszył w plującą śniegiem ciemność. Najpierw postanowił iść naprzód, wprost od nosa samopędu. Przeszedł jednak przez głębokie zasy ze trzydzieści kroków, ale nie znalazł nic przypominającego udeptaną drogę. Wrócił do pojazdu i poszedł na lewo. I od razu natknął się na krzaki. Obszedł je i poszedł dalej, starając się nie zbaczać z obranego kierunku. Zarośla ponownie zagroziły mu drogę. Znowu je obszedł. Śnieg stał się już całkiem głęboki, doktor zapadał się w nim.

– Ni diabła! – Splunął na kołysany przez wiatr krzew i roześmiał się z trudem.

Zmęczenie, ciemność i zamieć nie pozbawiły Płatona Iljicza tego zadziwiającego, radosnego i rześkiego stanu, który dziś odnalazł u witaminderów.

„Ale przygoda! – myślał, z zadyszką krocząc przez śnieżne pryzmy. – Będzie co wspominać. Opowiem Zilbersteinowi, niech stawia wódkę, sknera...”

Zaczął obchodzić krzak, ale potknął się o coś, upadł. Papacha spadła mu z głowy. Usiadł i przez pewien czas siedział, wystawiając na zamieć rozpaloną głowę. Potem włożył lisią czapę, pomacał w śniegu. Potknął się o wielki głaz.

„Lodowce... wielkie lodowce... przeszły po całej Rusi, naniósł kamieni. I zaczęła się nowa era ludzkości: człowiek wziął do ręki kamienny topór...”

Opierając się o kamień, wstał. I zawrócił po swoich śladach. Ale wkrótce zboczył i znowu jakoś wyszedł na kamień.

„Zrobiłem kółko” – pomyślał.

I głośno spytał:

– Czemu?

Wbijając wzrok w ciemność, dostrzegł swoje ślady. Znowu poszedł wydeptaną przed chwilą drogą. I znowu wyszedł na kamień.

„Absurd!”

Roześmiał się, zdjął binokle, setny raz potarł je swoim białym, wijącym się na wietrze szalem. Znow obszedł zagadkowy krzak. Ze śladów wynikało, że chodził cały czas w kółko.

„Niemożliwe. Przecież w jakiś sposób doszedłem do tego krzaka?!”

Przypomniał sobie, że pierwszy raz obchodził krzew z prawej strony. Przemieszczając się od kamienia, obszedł go z lewej. Ale śladów wiodących do krzewu nie było. Splunął i poszedł prosto. I wkrótce nieprzyjemnie wpadł na jeszcze jeden krzak. Jego gałęzie boleśnie zdarły mu z twarzy binokle.

– Żeby cię diabli wzięli... – Złapał dyndające na łańcuszku binokle, nałożył, obszedł krzak, ruszył dalej.

Przed nim była tylko nieprzenikniona ciemność i zamieć. Niekończący się głęboki śnieg pod nogami. I w tym śniegu nie było ani drogi, ani ludzkich śladów. Przeszedł przez zasypy jeszcze spory kawałek i się zatrzymał. Poczł, że śnieg nabił się do butów i zziębły mu nogi. Wracać do przeklętego krzaka już zupełnie nie miał ochoty. Nabral do płuc jak najwięcej powietrza i krzyknął:

– Koźma-a-a-a-a!

W odpowiedzi wyła tylko zamieć.

Krzyknął znowu. Z prawej strony dało się słyszeć coś jakby ludzki okrzyk. Doktor poszedł w stronę głosu. Śnieg stał się tak głęboki, że musiał dosłownie leżeć przez niego, tarzając się, potykając i zapadając. W końcu umęczony, ciężko dysząc, dotarł do samopędu. Ten stał martwo, zawiewany śniegiem. W ciemności przypominał ogromną zaspę. Zasypany śniegiem Chrzakała siedział w środku skulony. W żaden sposób nie zareagował na pojawienie się doktora.

Doktor ledwo stał na nogach ze zmęczenia.

– Ni diabła nie znalazłem... – Westchnął i chwycił się rękoma za pojazd.

– A ja znalazłem – odezwał się Chrzakała ledwo słyszalnie.

– Gdzie?

– A o tam... – odpowiedział, nie poruszając się.

– Czegoż ty siedzisz?

Milczał.

– Czegoż ty siedzisz?! – krzyknął doktor.

– Dyć ja na was czekał.

– Coś się rozsiadł, durniu! Jedziemy!

Ale Chrzakała dalej ani drgnął, jakby się zamienił w bałwana śnieżnego. Doktor szturchnął go w ramię. Ten zakołysał się i zaczął z niego kawałkami odpadać śnieg.

– Jedziemy! – krzyknął mu do ucha.

– Zziębłem, panie.

Płaton Iljicz pochwycił go za ramiona i tak nim potrząsnął, że Chrzakale czapka spadła na twarz aż do nosa.

– Jedziemy!

– Poczekaj... ogrzeję się kapkę...

– Co, mam cię w mordę strzelić?! Zdechnąć chcesz, durniu?!

W kapuzie zarzął dereszowaty, najwyraźniej zaniepokoił się o gospodarza. Po nim zarzały i inne koniki.

– Jedź, bałwanie! Żywo! – Doktor dalej trzął woźnicą.

– Panie, trzeba ognisko rozpalić, ogrzać się kapkę. A potem jechać.

Ta fraza niespodziewanie podziałała na doktora całkowicie uspokajająco. Nagle wyobraził sobie płomień ogniska i od razu poczuł, jak sam zamarzał, włączając się po śniegu.

„Mróz się wzмага...” – przemknęło mu przez myśl.

Od razu zmiękł, puścił Chrzakałę, pociągnął zziębniętym nosem, pokręcił głową.

– Gdzie by je ułożyć, to ognisko...

– A tu ułożym. – Woźnica nieokreślenie kiwnął, spełzył z siedzenia i poprawił czapkę. – Kierze tu są, chrustu widać. Pójdę, przykopię kiejś niekiej.

Doktor nie zdążył nic odpowiedzieć, jak Chrzakała zniknęła w kłębiącej się śniegiem ciemności.

„Dokąd polazł ten dureń?” – pomyślał z rozdrażnieniem Płaton Iljicz, wybałuszając oczy w mrok, ale nagle uspokoił się i poczuł ciężkie, zwałające z nóg wyczerpanie.

Wdrapał się na siedzenie, opatulił baranicą i zamarł skulony. Wokół wszystko krążyło i wyło. Chciał po prostu tak siedzieć i siedzieć, nie ruszając się, nie spiesząc donikąd, niczego nie planując i niczego nie mówiąc. Przemoknięte nogi marzły. Ale nie miał sił, żeby zzuć buty i wytrząsnąć nabity tam śnieg.

„Przecież mam spirytus – przypomniał sobie, ale od razu też przypomniał sobie i coś innego. – Pijani szybciej zamarzają. Nie wolno pić, nie wolno, w żadnym wypadku...”

Przysnął.

Zaczęła mu się śnić była żona Irina, siedząca z robotkami na drutach na obszernym, zalanym słońcem tarasie daczki, którą wynajmowali na Pachrze. On niedawno wrócił z miasta pociągiem o trzeciej, ma dziś krótki dzień pracy, piątek, przed nim wolne dni, przywiózł z miasta jej ulubiony tort truskawkowy, jest zbyt wielki, ogromny wręcz, jak kanapa. Stawia go wprost na zielonej, nagrzanej słońcem podłodze werandy, obchodzi tort pod ścianką z żywymi fotografiami, kieruje się do żony i nagle zauważa, że ta jest w ciąży. Przy czym wyraźnie w siódmym albo ósmym miesiącu – brzuch rozpiera jego ulubioną sukienkę w maleńkie niebiesciutki kwiatuszki, a ona szybko robi coś na drutach i uśmiecha się do męża.

– Jak to?! – Pada przed nią na kolana, obejmuje, przyciska.

I płacze ze szczęścia, jest szczęśliwy, do niemożliwości szczęśliwy, będzie miał syna, wie dokładnie, że to syn, i syn się pojawi już całkiem niedługo, całuje więc ręce żony, takie delikatne, takie słabe i bezwolne ręce, a one cały czas szydełkują, szydełkują, szydełkują, nie reagując na jego pocałunki, a on płacze z radości, łzy ciekną na ręce, na sukienkę, na robotkę. Dotyka brzucha Iriny i nagle dociera do niego, że brzuch – to miedziany kocioł. Dotyka przyjemnej miedzianej powierzchni, przytula się uchem do miedzianego brzucha i słyszy, jak w brzuchu coś zaczyna wrzeć, coś przyjemnie zaczyna syczeć i bulgotać. Brzuch się nagrzewa. On przytula się policzkiem do ciepłego brzucha i nagle dociera do niego, że zaczyna tam wrzeć olej, a w oleju będą się gotować maleńkie konie, a kiedy się ugotują, będą jak smażone kuropatwy i razem z żoną wyłożą je na srebrny półmisek matki i nakarmią tymi końmi ich dorosłego, dawno już wyrosniętego syna, który, okazuje się, śpi teraz na mansardzie i oboje słyszą jego głośne, potężne chrapanie, od którego trzęsie się daczka i delikatnie drży, drży, drży drewniana podłoga werandy.

– Spójrz, Płatosza – mówi żona i pokazuje mu swoją robotkę.

To piękna, dokładnie wydziergana derka dla maleńkiego konika.

– Będziemy mieć pięćdziesięcioro dzieci! – oznajmia radośnie i śmieje się ze szczęścia.

Sen rozpada się od gwałtownego ciosu.

Płaton Iljicz z trudem rozkleił powieki. Wokół nadal wiała się śnieżna ciemność.

Cios się powtórzył. To Chrzakała toporem ociosywał półokrągłe brzegi pleców siedzenia.

Doktor się poruszył i od razu zaczęła nim wstrząsać fala drgawek, która przedzierała się od stóp do głowy. Jego nieruchome na czas krótkiego snu ciało

zdążyło skostnieć. Dreszcze wstrząsały nim tak, że zęby zaczęły mu dzwonić.

– Zaraz... – mamrotał woźnica, krzątając się gdzieś tu blisko.

Doktor jęczał i trząsał się, powoli przytomniejąc. Chrząkała rozkopał toporem śnieg koło samopędu, rozpałił ogień.

– Chodźcie, panie.

Płaton Iljicz ledwo spełzł z siedzenia. Trzęsło go. Szczękając zębami i ciężko przestawiając nogi, podszedł, usiadł w śnieżnym dole, prawie w ogniu. Kiedy spał, woźnica znalazł i wyrąbał suchy krzew. Podpałił gałązki, kawałki oparcia siedzenia, łamał chrust i wsuwał do ogniska, chroniąc je własnym ciałem przed zamiecią. Ognisko stopniowo zajęło się między dwoma kucającymi przy nim mężczyznami. Zamieć szukała okazji, żeby zgasić ogień, ale Chrząkała jej na to nie pozwalała.

Chrust płonął i doktor wyciągnął do ognia swoje dłonie w rękawiczkach. Chrząkała zrzucił rękawice i też wyciągnął swoje wielkie, niezgrabne ręce. I tak siedzieli nieruchomo, nie mówiąc nic, tylko marszcząc twarz, kiedy dym trafiał im w oczy. Rękawiczki doktora nagrzały się, w palce zrobiło się gorąco i nawet boleśnie. Odsunął je więc. Ten ból i ogień zwyciężyły dreszcze. Wreszcie doszedł do siebie. Wyjął zegarek, spojrział: za kwadrans ósma.

– Ile spałem? – spytał.

Woźnica nie odpowiedział, łamał chrust i wsuwał go do ognia. Jego ptasia twarz, rozświetlana błyskami płomieni, uśmiechała się, jakby była całkiem zadowolona. Nawet nie wyglądała na zbyt zmęczoną. W tej twarzy była jakaś radość i wdzięczna pokora wobec wszystkiego, co się wokół dzieje: zamieci, śnieżnych pól, ciemnego nieba, doktora i tańczącego na wietrze ognia.

Zanim chrust się dopalił, pasażer i woźnica zdążyli się ogrzać. Doktorowi wróciła ta rześkość, którą posiadał u witaminderów, był gotów jechać dalej, walczyć z zamiecią. Chrząkała zaś, posiedziawszy przy ogniu, odwrotnie, zaczął drzemać i zupełnie nigdzie się nie spieszył.

– Gdzie droga? – spytał go doktor, wstając.

– A, o, tam... – wymamrotał woźnica, przymykając lekko oczy i opuszczając głowę.

– Gdzie? – Doktor nie dosłyszał.

Koźma pokazał ręką na prawo od nosa samopędu.

– Jedźmy! – nakazał zdecydowanie Płaton Iljicz.

Woźnica podniósł się niechętnie. Wiatr rozdmuchał ostatnie płonące witki. Doktor strącił nabity śnieg z siedzenia i już chciał usiąść, ale widząc, jak

Chrząkała napiera na oparcie siedzenia, żeby ruszyć pojazd z miejsca, zaczął mu pomagać.

– Wio, wio, w-w-io! – wykrzykiwał słabo Chrząkała, wciąż napierając.

Konie ledwo ledwo sobie radziły. Samopęd drgnął i powlókł się tak wolno, jakby w kapuzie w ogóle nie było koni, a tylko dwóch ludzi z tyłu popychało go w porąbane toporem oparcie.

– He-ta! He-ta! He-ta! – pokrzykiwał dalej.

Samopęd pełzł tak samo wolno. Chrząkała przestał pchać, zrzucił śnieg z kapuzy, otworzył ją.

– Ano co jest? – spytał koniki z urazą w głosie.

A te, widząc swojego gospodarza, bezładnie zagorgały. Było więc jasne, że są wymęczone i wymarzniete.

– Co, nie karmili was? – Woźnica zrzucił rękawicę, przejechał dłonią po grzbietach koników. – Nie pielęgnowałem was? Ano co wy? He-ta! He-ta! Heet-taa!

Zaczął popychać konie ręką. Te potrzęsały grzywami, szczyrzyły zęby, gorgając, spoglądały na gospodarza spode łba.

– W was cała nadzieja, obiboki. – Głaskał je. – Dyc już zostało prawie nic, na czworakach dopełznąć, a one się wałkonią. He-ta, he-ta, heet-taa!

Poklepywał konie po zadach.

Doktor zaczął wykonywać ćwiczenia gimnastyczne, machając rękami. Chrząkała nachylił się, mocno wsunął się do kapuzy, całkiem nawisnął nad grzbietami koni, omal nie dotykając ich twarzami.

– He-ta, he-ta, heet-taa!

Konie poderwały łby, na ile pozwalały im chomąta, zaczęły rzeć i chwytac wargami tę twarz.

– Pogadaj, po-ga-daj! – Woźnica wyszczerzył zęby.

Przyjazne rzenie wypełniło kapuzę. Końskie pyszczki wyciągały się do gospodarza, oszronione nosy koni trącały policzki i nos człowieka, tarmosiły strzępiastą rzadką bródkę. A on jak zwykle ostro na nie dmuchał, jakby je odganiał. Ale to tylko bardziej rozochocało koniki. Dereszowaty poderwał się najmocniej ze wszystkich, omal nie zrywając chomąta, dosięgnął, wyszczerzył zęby i schwytał nimi gospodarza za przegrodę nosową.

– Ach ty. – Pstryknął go po grzbiecie Chrząkała.

Konie gorgały.

– No tak, no tak. – Przychylnie klepał je rękami. – Bez martwoty! I bez folgi żadnej!

Mrugnął do koników, zamknął kapuzę, wyprostował się i z całej siły uderzył w rękawice, dodając sobie animuszu.

– Poszła! Poszła!

Doktor miał już przyspieszony oddech przez gimnastykę, złapał za oparcie.

– Poszła!

Chrząkała podbiegł z drugiej strony, chwycił za zrujnowane toporem drewno.

– Poszła!

Samopęd drgnął, ruszył na przekór zamieci.

– Posz-ła! – ryczał doktor.

– Poszł-a-a-a! – chrypiał Chrząkała.

Samopęd sunął po śniegu jak kuter po wodzie, a Koźma kierował nawet nie dzięki ledwo widocznym własnym śladom, a po prostu dzięki swojemu niezachwianemu przekonaniu, że droga jest tam z przodu i nie chybią.

Wyjechali na drogę.

– Siadajcie, dochtor! – krzyknął.

Doktor wsiadł w biegu, piasnął na siedzenie. Chrząkała jeszcze przez jakiś czas popychał pojazd, potem też wskoczył, usiadł, trzymając się za ster.

Samopęd jechał po zawianej drodze.

Nagle coś się stało na nieprzeniknionym ciemnym niebie i podróżnicy dostrzegli przed sobą pole, krzaki, czarną połąć lasu z prawej strony, a z lewej dwa wielkie, na szczęście rosnące w polu, drzewa. Na wszystko to padał widoczny śnieg.

Doktor i Chrząkała podnieśli głowy: w zachmurzonym prześwicie pojawił się ubywający, ale srebrzysty księżyc. I zrobiło się jasno, aż niebo zalało się ciemnym błękitem, rozrywając gromady obłoków.

– Chwała Ci, Panie! – wymamrotał woźnica.

I jakby za cudownym skinieniem niewidzialnej ręki wirujący śnieg zaczął się przersedzać, folgować i wkrótce ustał. Tylko wiatr porywisty ścielił się śniegiem po polu i po drodze, kołysał przydrożne krzewy.

– Ucichło, panie! – Chrząkała się zaśmiała i szturchnął doktora łokciem w bok.

– Ucichło! – Płaton Iljicz radośnie pokiwał papachą.

Chmury jeszcze napełzały na księżyc, ale już się czuło ich bezsilność. Szybko znosiło je z nieba. I wkrótce zniosło całkowicie. Zamigotały gwiazdy, księżyc oświecił wszystko dokoła.

Zamieć ustała.

Zawiana droga stała się wyraźnie widoczna, konie ciągnęły, samopęd się toczył, szurając płozami po świeżym śniegu.

– To się nam sfartowało, panie! – Chrząkała uśmiechał się, poprawiając czapkę. – Jak szczęście dogrzeje, i kapłon zapieje.

Płaton Iljicz już chciał na fali radości zapalić, ale się rozmyślił: zrobiło mu się dobrze nawet bez papierosa.

Wokół stało się zadziwiająco pięknie.

Czyste nocne niebo rozpostarło się nad ogromnym śnieżnym polem. Księżyc samowładczo jaśniał na niebie, migotał na miriadach całkiem niedawno padających śnieżynek, srebrzył oszronioną rogozę na kapuzie, ściskającą ster rękawicę Chrząkały, lisią czapę, binokle i pelisę doktora. Wysokie gwiazdy wyniośle migotały brylantowym rojowiskiem. Mroźne, niesilne podmuchy wiatru zawiewały z prawej strony, przynosząc zapach głuchej nocy, świeżego śniegu i dalekich ludzkich siedzib.

Doktorowi wróciło poprzednie radosne i pełnokrwiste odczuwanie życia, zapomniał więc o zmęczeniu, o zmarzniętych nogach i pełną piersią wciągnął mroźne nocne powietrze.

„Pokonanie przeszkód, uświadomienie drogi, niezłomność... – myślał, z rozkoszą oddając się urodzie otaczającego świata. – Każdy człowiek rodzi się, aby odnaleźć własną drogę życiową. Bóg podarował nam życie i chce od nas jednego: żebyśmy sobie uświadomili, po co obdarował nas tym właśnie życiem. Nie po to, żeby żyć, jak rośliny albo zwierzęta, życiem pełnowartościowym, lecz bezmyślnym, tylko po to, żebyśmy zrozumieli trzy rzeczy: kim jesteśmy, skąd przybyliśmy i dokąd zmierzamy. Na przykład ja, doktor Garin, *Homo sapiens*, stworzony na obraz i podobieństwo Boże, jadę teraz przez to nocne pole do wsi, do chorych ludzi, żeby im pomóc, żeby ustrzec ich przed epidemią. I w tym tkwi mój życiowy cel, to właśnie jest moja droga tu i teraz. I jeśli nagle ten jaśniejący księżyc spadnie na ziemię i życie ustanie, to w tejże sekundzie ja będę godzien nazywać się Człowiekiem, ponieważ nie zboczyłem z własnej drogi. I to jest pięknie!”

Nagle konie zaparskały i zachrapały, tupocząc po przeciągu. Samopęd zwolnił.

– Co jest? – Chrząkała poprawił czapkę.

Konie stanęły, chrapiąc.

Chrząkała podniósł się, spojrział naprzód. Z prawej strony, pośród rzadkich krzaków przemknęły dwa cienie.

– Wilki czy co? – Chrząkała zeskoczył na śnieg, zdjął czapkę, zaczął się wpatrywać.

Doktor nie zauważył nic specjalnego. Ale nagle w krzakach błysnęły dwie pary żółtych oczu.

– Wilki! – Woźnica wypuścił powietrze z płuc i machnął czapką. – Oj, nie w porę...

– Wilki. – Doktor zgodnie kiwnął głową. – Nie bój się, mam rewolwer.

– Toć przeciech koniki nie pójdą. – Koźma naciągnął uszanke, klepnął rękawicą w kapuzę. – Oj, nie w porę to, Boże...

– Ale my je odstraszymy! – Doktor zdecydowanie wyskoczył z samopędu, zaszedł z tyłu, zaczął odpinać sakwojaż.

Chrząkała zauważył dwa wilki z lewej, nieco dalej.

Przeniósł wzrok naprzód i dostrzegł jeszcze jednego wilka, spokojnie przecinającego w oddali zalane księżycem pole.

– Pięć! – krzyknął do doktora.

Wilki zawyły.

Koniki chrapały i z przestraczem zagorgały.

– Nie bojąc się, nie oddam! – Koźma poklepał rękawicą w kapuzę.

Doktor z trudem odpiął zaprószone śniegiem sakwojaż, przyniósł go, rzucił na siedzenie, otworzył, znalazł niewielki zaokrąglony rewolwer, odciągnął cyngiel.

– Gdzie one są?

– Ło tam. – Chrząkała machnął rękawicą.

Doktor podszedł cztery kroki w kierunku wilków, ale schodząc z drogi, natychmiast zapadł się w śniegu. Wycelował w krzaki i trzy razy wystrzelił, rozwidniając żółtymi błyskami i tak już mocno zalaną zimnym światłem równinę.

Od wystrzałów doktorowi zaczęło dzwonić w prawym uchu.

Wilki niespiesznie pobiegły na prawo, wszystkie pięć, jeden za drugim. Doktor je dostrzegł.

– Aż wy...

I wystrzelił w nie jeszcze dwa razy.

Wilki biegly tak samo niespiesznie. I wkrótce przepadły za krzewami.

– I z głowy. – Wsunął pachnący prochem rewolwer do kieszeni, odwrócił się do Chrząkały. – Droga wolna!

– Droga to wolna... – Woźnica dreptał, otwierając kapuzę. – Tylko koniki tego...

– Czego tego?

– Boją się wilczego zapachu.

Doktor spojrział w stronę uciekających wilków. Wilki zniknęły w polu.

– Ślad już po nich zaginał! – Potrząsnął papachą. – Jaki jeszcze zapach?!

Woźnica nie słuchał go, tylko odrzucił rogożkę. Konie cicho stały w kapuzie. Poodwracały pyski, popatrzyły na niego.

– Nie bojąc się, nikomu was nie oddam – powiedział do nich.

Spoglądały na niego w milczeniu, strzygąc malutkimi uszami. Ich oczka pobłyskiwały w księżycowej poświacie.

– Co z nimi? – Doktor pochylił się nad kapuzą.

– Postoją kapkę – Koźma podrapał się po łepetynie – a potem ruszymy.

– Jak to postoją?

– Spłoszyły się kapkę.

Płaton Iljicz uważnie popatrzył na Chrzakałę.

– Ty, bracie, wiesz co: nie rób ze mnie wariata. Spłoszyły się! A ja co tu, całą noc mam się z tobą guzdrać?! No już, siadaj! I pogoń je, do cholery!! Żywo! Spłoszyły się! Ja ci dam postać! Już się nastaliśmy! No już, żywo!

Jego donośny głos rozległ się po polu.

Woźnica posłusznie zaczął nakrywać konie. Doktor usiadł na swoim miejscu, położył sakwojaż w nogach i dotknął siatki z piramidami – cała.

Chrzakała usiadł obok, złapał za ster, szarpnął za lejce, cmoknął:

– Wio-wio, kochane.

W kapuzie było cicho, jakby opustoszała. Koźma przeniósł wzrok na doktora i ponownie cmoknął:

– No!

Cisza w kapuzie nie została niczym zakłócona.

– A ty co, kpiny sobie urządzasz? – Płaton Iljicz zmrużył oczy, tracąc cierpliwość. – No już, dawaj mi bicz! Otwieraj!

Wyrwał biczyk z pokrowca.

– Nie pójdą one, panie.

– Otwieraj, mówię!

– Nie trzeba, panie. One przez wilki dyć wpadają w odrętwienie. Póki im nie przejdzie, nie ruszą. Ja razu jednego dwie godziny tak przestał pod Chlupinem...

– Otwie-raj! Otwieraj! – krzyczał doktor i z siłą popchnął Chrzakałę.

Ten zleciał z kozła, gubiąc czapkę, zaczął się gramolić w śniegu. Doktor niezdarnie zeskoczył, sam zaczął zrywać rogożę z kapuzy.

– Postać! Ja wam nie dam postaci! Tam ludzie giną, a on postać!

Trzymając uszankę w garści, woźnica podszedł do doktora.

– Panie, nie trzeba.

– Ja ci pokażę postać... – mamrotał Płaton Iljicz, zrywając oszronione pętle rogoży z karabińczyków.

Nagle zrozumiał, że Chrzakała, ten pozbawiony jakiegokolwiek celu i dążeń człowiek, ze swoim roztrzepaniem i ociężałością, z wieczną chłopską nadzieją na

„a nuż”, to jest właśnie to, co stanowi przeszkodę na jego drodze w zmierzaniu wprost do celu.

„Zbutwiały złamas!” – pomyślał o nim ze złością.

Zerwawszy rogożę do połowy, odrzucił ją.

Koniki, oblane księżycem, stały niczym porcelanowe figurki, wbijając wzrok w doktora.

– He-ta, po-o-oszły! – Płaton Iljicz zamachnął się batem, ale Chrząkała złapał go za rękę.

– Panie...

– A ty co? – Doktor wyszarpał rękę. – Co? Chcesz sabotować?

– Panie... – Woźnica przecisnął się między doktorem a samopędem. – Nie bijcie ich.

– Toż ja ciebie... pod sąd postawię, bydlaku!

– Panie, nie ruszajcie, one u mnie niebite...

– Ano, odsuń się!

– Nie odsunę się, panie.

– Odsuń się stąd, złamasie!

– Nie odsunę się.

Doktor odrzucił bacik, wziął zamach i przygrzmocił Chrząkała pięścią w twarz. Ten bezsilnie padł w śnieg.

– Mnie bijcie, a ich nie dam! – niemal wykrzyczał woźnica tak zdławionym i oszalałym głosem, że doktor zamarł z podniesioną do nowego ciosu pięścią.

„Co ja wyprawiam?” Doktora zaskoczył ten wybuch wściekłości i się wycofał.

Chrząkała powiercił się w śniegu, usiadł, przyłgnąwszy do samopędu, podniósł uszankę. I zaczął naciągać ją w milczeniu. Jego ptasia twarz, jak się zdawało doktorowi, dalej tak samo się uśmiechała. Włożył czapkę i wciąż siedział.

Zadziwiające, że koniki nadal milczały.

Doktor ciężko westchnął, uspokoił się, wyciągnął papierosy i zapalił.

Gdzieś w oddali zawył wilk.

„Głupio tak... – zastanawiał się Płaton Iljicz. – Wyszedłem z siebie. Dlaczego? Wszystko jakoś się obeszło, nawet zamieć ustała. Ale on nie chce jechać... Jakiś absurd!”

Przypomniał sobie, że ostatni raz bił człowieka po twarzy u siebie w Repisznej, kiedy wzięli trzech chłopaków, którzy najedli się muchomorów. Jednego był zmuszony dwukrotnie uderzyć.

„I znów się przytrafiło...” – pomyślał z irytacją i rzucił niedopalonego papierosa.

Podszedł do Chrząkały, przykucnął. Położył mu rękę na ramieniu.

– Koźma, ty... nie gniewaj się.

– A czegoś... – Woźnica się uśmiechnął.

Doktor zauważył, że ze stłuczonej wargi cieknie krew. Wyciągnął swoją chustkę do nosa, przyłożył mu do ust.

– Nie trzeba, panie... – Chrząkała odsunął jego dłoń, splunął.

Ten podchwycił go pod rękę, zaczął podnosić.

– No, dawaj.

Chrząkała podniósł się, wstał, opierając się plecami o samopęd. Przyłożył do warg rękawicę.

– Nie gniewaj się. – Doktor klepnął go po ramieniu. – Zmęczony po prostu jestem.

Woźnica znowu się uśmiechnął.

– Trzeba jechać. – Płaton Iljicz pchnął jego lekkie ciało.

– Jasna sprawa.

– No to co my tu będziemy stać? Jedziemy.

– Nie pójdą, panie. Odrętwienie musi zejść.

Doktor chciał już powiedzieć coś ostrego, ważkiego, ale rozmyślił się, machnął z irytacją ręką i odszedł. Chrząkała powstał, spluwając i dotykając ust rękawicą, potem nakrył konie, przypiął rogożę.

– Z godzinkę muszą postać, przyjść do siebie. A potem i pojedziem.

– Rób, jak uważasz.

Płaton Iljicz usiadł na swoim miejscu, opatulił się baranicą i skulił, wystawiając spod papachy tylko sam nos z pobłyskującymi binoklami. Nagle zrobiło mu się zimno i nieprzyjemnie, nie tylko zresztą przez mróz. Optymizm i rześkość, z którymi wyjechał od witaminderów, ulotniły się. Było mu chłodno i wstrętne.

„Kurestwo jakieś... – myślał, wsuwając dłonie w rękawiczkach do głębokich kieszeni i czując w prawej lodowaty rewolwer. – Nasze życie to jedno wielkie kurestwo...”

– *Schweinerei!*⁵ – wypowiedział niemieckie słowo.

Chrząkała podszedł, wlaźł na swoje miejsce, usiadł obok doktora. Nie wyczuwało się w nim ani goryczy, ani obrazy. Jedynie górna warga spuchła i jego ptasie usta zrobiły się jeszcze śmieszniejsze.

Tak przesiedzieli z dziesięć minut. Księżyc nadal świecił na czystym niebie, wiatr jakoś ucichł. Wokół panowała mroźna cisza. Tylko koniki ostrożnie przebierały w kapuzie kopytkami.

– Może by się spirytusu napić? – spytał nagle doktor głośno samego siebie.

Chrząkała zaledwie westchnął w odpowiedzi.

– Po łyeczku? – Doktor odwrócił się do niego.

Woźnica pociągnął nosem.

– Ja nie mam nic przeciwko, panie. Zziębliśmy, a jak inaczej...

– Zziębliśmy. – Płaton Iljicz kiwnął głową, pochylił się, otworzył sakwojaż, pogmerał w nim, postękując, i wy dostał pękata buteleczkę ze spirytusem.

Wyjął z niej gumowy korek, wciągnął powietrze, podniósł rękę, spojrział przez grube szkło na księżyc.

– Za nasze zdrowie.

Wziął duży łyk, przyłożył lewą rękę do ust i powoli wypuścił powietrze w lodowatą rękawiczkę przesiąkniętą dymem z ogniska. Spirytus ogniem przepłynął po układzie trawiennym, zmuszając doktora, by przypomniał sobie miedziany kocioł z wrzącym olejem.

– *Va, pensiero...* – wymamrotał, wciągając nosem mroźne powietrze, i z trudem się roześmiał.

Chrząkała spojrział na niego.

– Masz, wypij. – Doktor podał mu buteleczkę.

Ten wziął ją obiema rękami, pochylił się i powoli upił, odchylając głowę do tyłu. Zamarł, wstrzymując oddech. Potem chrząknął jak chłop, pokiwał głową i oddał doktorowi.

– Dobrze? – spytał doktor.

– Dobrze. – Chrząkała głośno odetchnął nosem.

Płaton Iljicz zatkał flaszkę, schował do sakwojaża. Ścisnął dłoń woźnicy.

– Nie gniewaj się.

– Dyc co wy...

– Zmęczony coś jestem... Mam dość.

Chrząkała kiwnął głową. Doktor ze smutkiem rozejrzał się wokół.

– Ty, bracie, popędź jakoś te swoje koniki.

– One same pójdą zarutko. To, panie, mają we krwi te maleńkie. One i psów się boją, i wilków. I łasic.

– Ale po wilkach ślad zaginał! – krzyknął z oburzeniem doktor.

– Niby tak, ale strach się został.

– Tu już niewiele zostało jechać.

– Dojedziem.

– Przecież chorzy na mnie czekają – rzekł już bez żadnych wyrzutów i sięgnął po papierosa.

Chrząkała podniósł kołnierz kozucha, skulił się i zamilkł.

Doktor zaś, odwrotnie, poczuł po wypiciu spirytusu przypływ energii i ciepła. W brzuchu jakby mu rozkwitł tropikalny kwiat.

– Zostały dwa ostatnie! – Z uśmiechem pokazał woźnicy papierośnicę.

Ten ani drgnął.

Płaton Iljcz zapalił. Rozdrażnienie i niecierpliwość opuściły go. Siedział, popalał, mrużąc oczy na śnieżną równinę. Oczy mu się załzawiły, ale nie miał ochoty się ruszać i ich przecierać. Mrugał, ale łzy stały w oczach, kołysząc wszystkim wokół, przyjemnie zastygając w kącikach.

„Czemu my cały czas się spieszymy? – rozmyślał, z rozkoszą wciągając i wypuszczając dym. – Ja się spieszę do Dołgiego. Co będzie, jeśli przyjadę jutro? Albo pojutrze? Dokładnie nic. Zarażeni i ukąszeni i tak już nigdy nie staną się ludźmi. Są skazani na odstrzał. A ci, którzy siedzą zabarykadowani w swoich chałupach, tak czy inaczej doczekają się mnie. I zostaną zaszczepieni. I już nie straszna im będzie boliwijska czarna. Oczywiście, Zilberstein jest niezadowolony, czeka na mnie, klnie na czym świat stoi. Ale nie w moich siłach pokonać tę zimną śnieżną przestrzeń za jednym zamachem. Nie mogę przelecieć nad tymi zaspami...”

Dopalił niespiesznie papierosa, cisnął niedopałek.

Na księżyc nadpełzła chmurka, przez co śnieżne pole stało się prawdziwie nocne.

– Nie śpisz? – Doktor szturchnął woźnicę.

– A nie... – odpowiedział Chrząkała.

– Nie śpij.

– No przeciech nie śpię.

Chmurka zeszła z księżycą. Pole zostało oświetlone.

Chrząkała było ciepło i spokojnie po wypiciu spirytusu. Siedział, złapawszy się pod boki, utonawszy po oczy w swojej czapce, przyciskając kolana do brzucha i spod powiek obserwując rozpostarte pod księżycem pole. Już nie myślał o swoim nieogrzanym domu, a po prostu siedział i patrzył. Doktor chciał nawet go spytać o konie, jak i kiedy po raz pierwszy przestraszyły się wilka, jak szybko się pozbierają i będą gotowe pociągnąć samopęd, ale od razu się rozmyślił i też siedział nieruchomo, oddając się we władanie rozpostartego wokół absolutnego spokoju.

Wiatr całkowicie ustał.

W ten sposób przesiedzieli jeszcze jakiś czas. I ani pasażer, ani woźnica nie mieli ochoty nawet się poruszyć. Strzępy rzadkich obłoków wpełzały na księżyc i spelzały z niego, wpełzały i spelzały. Wpełzały i spelzały.

Doktor przypomniał sobie, że we flaszcze zostało jeszcze trochę spirytusu. Wydostał ją, wziął dwa duże łyki w ciągu dość długiego odcinka czasu. Złapał oddech, podał ją Chrząkałce.

– Dopijaj.

Tamten ocknął się z odrętwienia, wziął flaszkę i posłusznie dopił, przyłożył rękawicę do ust. Schowawszy pustą buteleczkę w sakwojażu, doktor zgarnął garść śniegu z rogoży, wziął do ust, pożył. Ciepło ponownie rozpułyło się wewnątrz, znów było dobrze i rześko. I znów miał ochotę ruszać się i coś robić.

– No co, bracie, jedziemy! – Klepnął Chrząkałkę po ramieniu. – Nie będziemy tu wiecznie sterczeć.

Woźnica zszedł, odkrył rogożę, zajrzał do kapuzy. Konie popatrzyły na niego.

– Jedziemy – powiedział im.

Słyszac najbardziej im znane ludzkie słowo, konie bezładnie zarżały. Chrząkała kiwnęła głową przychylnie, nakrył je, usiadł, ściągnął lejce.

– W-wio!

Koniki lękliwie zakłaskały kopytami po przeciągu, jakby nieco zapomniały, jak wykonywać ich potrzebną ludziom robotę.

– W-wio!

Samopęd ruszył, skrzypnęły płozy.

– W-w-io-o-o-o! – krzyknął doktor i zaśmiał się.

Samopęd jechał.

– No widzisz! I żadnych wilków! – Szturchnął Chrząkałkę pięścią w bok.

– Wydobrały. – Woźnica uśmiechnął się spuchniętymi wargami.

Sunęli przez pole. Zasypana droga była nieźle widoczna: lekko występowała, jak wstęga ciągnęła się do ciemnego horyzontu.

– No widzisz! I żadnych wilków! – powtarzał doktor, klepiąc się po kolanach.

Było mu dobrze i przyjemnie.

Koniki spokojnie nabierały prędkości.

– No widzisz, no widzisz.... – Z zadowoleniem klepał się po kolanach.

Minęli młodniak i znowu wjechali na wielkie czyste pole. Księżyc lśnił.

– A co one tak słabo ciągną? – Płaton Iljicz szturchnął Chrząkałkę łokciem w bok. – Może je karmisz słabo?

– Karmię dostatecznie, panie.

– Trzaśnij je, niech lecą z wiatrem!
– Toć oni jeszcze nie odtajali od przestachu.
– A co one takie, źrebięta czy co?!
– No już nie źrebięta.
– To co tak pełzają? Ano, trzaśnij je!
– W-wio! W-wio, poszły! – Woźnica pociągnął za lejce.
Konie ruszyły rączo. Ale doktorowi nadal było mało.
– No i co one tak ciągną się jak gluty?! W-wio! Po-szły! – Zaczął walić w kapuzę.
– W-wio, kochane! – krzyknął Chrzakała i zagwizdał.
Koniki poszły jeszcze rącej.
– No widzisz, no widzisz... – Doktor się ucieszył. – Tu jechać to zostało prawie nic. W-wio! Poszły!
– W-wio! – krzyczał i cmokał Chrzakała.
Chciał pokazać swoje konie, chociaż rozumiał, że już się mocno zmęczyły.
„A niech się na ostatek przebiegną, cosik się rozgrzeją!” – pomyślał, sam czując w sobie wesołe ciepło po wypiciu spirytusu.
– Ano wysmagaj je! – żądał doktor. – Co one takie jak myszy w spizarce! Zrzuć no z nich tę siermięgę!
„A dyć prawda, można zdjąć... Śnieg już ustał, a mroźnik słaby...” – pomyślał woźnica i w biegu zręcznie wysunął się do przodu, odpiął rogożę, zawinął ją.
Płaton Iljicz ujrział zalane księżycowym światłem grzbiety koników. Wyglądały w jego oczach całkiem jak zabawki.
– Heet-taa... – Wyciągnął z futerału bacik.
„Niech sobie smagnie...” – zgodził się Chrzakała.
Doktor nieco się podniósł, wziął zamach i smagnął koniki po grzbietach.
– Wi-io!
Pogalopowały mocniej. Smagnął jeszcze raz.
– Wi-io-o-o!
Konie zachrapały i przyspieszyły. Nogi ich migały, grzbiety zakołysały się, przypominając doktorowi wzburzone morze, które razem z Nadine widzieli w pałdzierniku w Jałcie i do którego wówczas zupełnie nie miał ochoty wchodzić, więc stał na brzegu, patrząc na fale, a Nadine w swoim pasiastym bikini wciąż ciągnęła go i ciągnęła do morza, nazywając o s t r o ż n i a k i e m.
– Wio-o! – Smagnął konie tak, że po ich grzbietach przebiegł dreszcz.
Wyrwały naprzód. Samopęd mknął przez pole.
– Widzisz, jak trzeba! – krzyknął Chrzakale do ucha.

Mroźne powietrze uderzyło ich w twarz. Woźnica zagwizdał.

Konie niosły samopęd, śnieg skrzypiał pod płozami.

– O, tak! O, jak dobrze! – Doktor plasnął na siedzenie, wymachując bacikiem.

– O, tak trzeba jechać!

Chrząkała pogwizdywał, zręcznie kierując. Jemu też było dobrze, rozumiał, że jeszcze ze trzy wiorsty i będzie Dołgie. Pole się skończyło, na skrajach drogi podnosił się świerkowy porost. Piękne, ozdobione śniegiem świerczki obstąpiły drogę.

– Poszły-y-y! – zakrzyknął doktor i zakręcił batem nad końmi tak, że binokle spadły mu z nosa.

Samopęd pędził przez bór świerkowy. Chrząkała zauważył przed nimi na drodze jakąś spadzistą górkę, ale nie zaczął przytrzymać koni.

„Przeskoczmy!”

Samopęd wleciał na górkę, coś silnie nim wstrząsnęło, dał się słyszeć trzask i podróżnicy zlecieli ze swoich miejsc prosto w śnieg. Pojazd stanął na górcie, mocno przechylając się na bok. Konie w kapuzie zachrapały i zaczęły się miotać.

– Do diabła... – wymamrotał doktor, łapiąc się za kolano i krzywiąc z bólu. Jego papacha leżała w śniegu.

– Psiakrew... – Chrząkała wyciągnął głowę z zasy, otarł śnieg z twarzy.

Powiercił się w zaspie, szukając swojej czapki, ale słysząc przestraszony chrap koni, popędził do nich, zajrzał pod kapuzę. Konie rżały, szukając obrony u gospodarza.

– No... no... – Zrzucił rękawice, zaczął je dotykać, uspokajając. – Nic to, nic to... całe?

Nie zauważył żadnych pokaleczonych koni. Chomąta i mocne rzemienie do ściągania chomąta utrzymały je.

– Całe, całe... Nie takie rzeczy bywają... – Głaskał ich spocone od szybkiego galopu i buchające parą grzbiety.

Doktor jęczał, trzymając się za kolano. Bardzo mocno uderzył nim o samopęd.

Uspokoiwszy konie, Chrząkała poszedł szukać uszanki. Na szczęście księżyc nadal jaśniał niezastłonięty obłokami, więc szybko ją znalazł, otrzepał, nacisnął na głowę. I ruszył w stronę doktora. Ten siedział w śniegu, jęcząc, kiwając gołą głową i klnąc. Woźnica podniósł jego lisią czapę, nałożył mu na głowę.

– Nie złamaliście czegoś? – spytał.

– Do diabła... – Płaton Iljicz macał kolano. – Chyba nie... Do diabła... Boli...

Chrząkała wziął go pod pachy. Doktor zaczął ostrożnie wstawać, ale od razu jęknął i usiadł w śniegu.

– Poczekaj...

Woźnica kucnął obok i dopiero teraz poczuł, że wybił sobie o ster dolny przedni ząb.

– Ach ty, a niech cię... – Dotykał odłamanego zęba w ustach, pokręcił głową i się uśmiechnął. – To ci dopiero!

Doktor zaczerpnął garść śniegu, przyłożył do kolana.

– Zaraz... zaraz...

Chłodząc stłuczenie śniegiem, przeniósł na Chrzakałę niewidzące spojrzenie.

– Co to było?

– Nie wiem, panie... – Chrzakała macał zęba. – Zara obaczym.

– Czegoś ty koni nie ściągnął?

– Toć przecieście ich gnali.

– Ja gnałem! – Doktor boleśnie i z oburzeniem pokiwał głową. – Ja to gnałem, ale ty sterowałeś, durniu... do diabła... mmm...

Skrzywił się, nachylając się nad kolaniem i sapiąc pełnymi wargami.

– Myślałem: górka taka, przelecim.

– Przelecieliśmy! – Doktor roześmiał się złośliwie. – Omal sobie karku nie skręciłem...

– A górka taka gładka. – Chrzakała podniósł się z kucek i podszedł do samopędu.

Obszedł go z przodu, spojrział i zamarł. Przeżegnał się.

– Boże Wszechmocny, Twoja wola. Panie, spójrzcie, w cośmy wjechali.

– Poczekaj ty, durniu... – jęczał doktor.

– Matulu rodzona, a niech cię. Panie!

– Milcz, durniu.

– Przeciech to... i nie uwierzy nikt...

– Mmmm. – Doktor pocierał kolano. – Daj mi rękę.

– Boże, za co mnie to wszystko spotyka? – Chrzakała przykucnął i w gniewie uderzył się rękawicami po walonkach.

– Daj rękę, mówię do ciebie!

Wrócił do doktora, pomógł wstać.

– Bóg się, widać, odwrócił ode mnie, panie. No i się nam przytrafiło.

Wyglądał na przygnębionego i uśmiech jego ptasiej twarzy był żaloszny jak u nędzarza.

Doktor z trudem wstał, wyprostował się. Wspierając się na woźnicy, stanął na stłuczonej nodze. Jęknął. Postał, posapując. Zrobił jeszcze krok.

– Oż, do diabła...

Postać, krzywiąc się. Potem zamachnął się i wymierzył Chrząkałe cios w kark.

– Gdzieś ty mnie wywiózł, du-u-u-r-rniu?!

Chrząkała nawet się nie skulił.

– Gdzieś wywiózł?! – krzyczał mu w czapkę doktor.

Mocno i przyjemnie pachniało od niego alkoholem.

– Panie, tam takie... – Woźnica potrząsnął głową. – Lepiej wama nie patrzeć.

– Dureń! Bydle jesteś! – Płaton Iljicz wsunął binokle, zrobił krok, krzywiąc się, spojrzął na przekrzywiony pojazd, przyklasnął dłońmi. – No i co z ciebie za bydlę?!

Ten milczał.

– Byd-lak!

Mocny głos doktora zagrzmiął wśród zaśnieżonych świerczków.

Chrząkała odszedł od niego do przodka samopędu, stanął, pociągając nosem.

– Jak też można się urodzić takim bydlakiem... – Kulejąc, doktor dokuśtykał do niego, zatrzymał się, spojrzął.

I zamarł, unosząc brwi.

Wprost przed samopędem coś sterczało spod śniegu. Najpierw doktorowi zdawało się, że to wywrócony pień starego drzewa. Ale przyjrząwszy się, zauważył głowę martwego olbrzyma. Prawą płozą wjechali mu do lewego nozdrza.

Doktor mrugał, nie wierząc własnym oczom, przyglądał się: górka, na którą wlecieli, była niczym więcej jak zasypanym śniegiem trupem d u ż e g o.

Zapomniawszy o bólu w kolanie, Płaton Iljicz ruszył do samopędu. Nachylił się. Uderzenie spowodowało, że ogromna, zastygła głowa z poplątanymi włosami, pomarszczonym czołem i gęstymi brwiami lekko oczyściła się ze śniegu. Płozą zniknęła w nozdrzu mięsistego nosa. Księżyc srebrzył śnieżynki w brwiach, na rzęsach i we włosach giganta. Jedno martwe oko było pełne śniegu, drugie zaś, półprzymknięte, uparcie i groźnie patrzyło na nocne niebo.

– Boże... – wymamrotał doktor.

– A to to... – Chrząkała beznadziejnie kiwnął głową.

Doktor przykucnął przy głowie, strącił ręką śnieg z zaproszonego oka. Ono też było półotwarte. Usta chowały się w zaśnieżonej brodzie, nad nimi zwisał dziób samopędu. W sterczącym ze śniegu uchu olbrzyma pobłyskiwał potężny miedziany kolczyk w kształcie i rozmiarze dwupudowego odważnika.

Ostrożnie dotknął odważnika. Dotknął ogromnego zastygłego nosa z nieczystą, grubą i wągrowatą skórą. Odwrócił się. Chrząkała stał z takim

wyrazem twarzy, jakby samopęd wjechał do nozdrzy jego rodzzonego, dawno utraconego brata.

Doktor się roześmiał i odchylił do tyłu. Jego śmiech zadźwięczał wśród choinek. Konie w odpowiedzi niespokojnie zarżały w brzuchu samopędu. To wywołało jego kolejny atak śmiechu. Chichotał, wiercąc się plecami po śniegu, chichotał, pobłyskując binoklami i rozdziawiając mięsiste usta.

Chrząkała stał jak mokra kawka. Potem zaczął mlaskać językiem. I też się uśmiechnął, potrząsnął swoją niewspółmiernie wielgachną czapką.

– Koźma, jesteś mistrzem! – Doktor uśmieł się i wytarł zażawione oczy.

– Juści, tak się przytrafiło... Mówię, panie, nikt nie uwierzy, jak będziem opowiadać.

– Nie uwierzą! – Doktor potrząsnął papachą.

Wstał, otrzepał się. Kuśtykając, odszedł do tyłu, spojrzął.

– Z sześć metrów drągal... Że też akurat tutaj musiał wyciągnąć kopyta.

Chrząkała zauważył wielki, okrągły, zasypany przedmiot koło trupa olbrzyma. Kopnął przedmiot nogą, strącając śnieg. Spod śniegu wysunęły się pręty koszyka. Strzepnął z nich śnieg rękawicą: zabłyszczało szkło. Oczyszczył przedmiot ze śniegu. Okazała się nim wielka trzywiadrowa butla z grubego zielonego szkła, opleciona prętami.

– Widzi mi się... – Usunął śnieg z szerokiego gwintu, powąchał. – Tak jest, panie. Wódka!

Uderzył w przymarzłą do szreni butlę, wybił ją, odwrócił. Z szyjki nic się nie uрониło.

– Wydudłał całą, łazęga – podsumował z wyrzutem.

– Całą – potwierdził doktor. – I odwalił kitę wprost na drodze. No i masz, nasza rosyjska dzicz...

– Choćby pod świerczkiem zległ. – Chrząkała podrapał się po tyłku i zrozumiał, że powiedział głupotę: jedynie pod stuletnim świerkiem mógłby położyć się taki gigant. A nie pod młodziutkimi drzewkami, rosnącymi wokół.

– Nachlać się i paść na drodze... Absurd! Rosyjski absurd! – Pokraśniały doktor się uśmiechnął, wyjął papierośnicę i zapalił ostatniego papierosa.

– A najważniejsze, tą samą płożą, panie, wparliśmy się. – Woźnica drapał się i pociągał nosem. – Kieby ona nie tego...

– Czego? – Doktor pykał papierosa, nie rozumiejąc.

– Płoza ta sama, co drzewiej trzasnęła.

– Coś ty? Ta sama? Do diabła! No i co tak stoisz?! Wyjeżdżaj z tego cyrku!

– Zara, panie...

Chrząkała zajrzał do koni, oparł się o samopęd, pocmokał:

– He-ta, he-ta, het-taa!

Konie, parszając, zaczęły się cofać. Ale pojazd nawet nie drgnął z miejsca. Woźnica zrozumiał, w czym rzecz, zajrzał pod spód, z niezadowoleniem mlasnął językiem.

– Wisimy, panie. Przeciąg śniegu się nie czepia.

– Ano pokaż... – Doktor, ziejąc odorem alkoholowym, zapominając o kolanie i zaciskając papierosa w zębach, oparł się o samopęd. – Het-taa!

Chrząkała również napierał. Pojazd się chybotął, ale głowa olbrzyma nie puszczała płozy.

– Ugrzązł... – westchnął.

– W nosie! – krzyknął doktor i znowu się roześmiał.

– Trzeba będzie rozrąbać. – Koźma sięgnął pod kozioł po toporek.

– Płozę?! – Doktor z niedowierzaniem wygiął brew.

– Nos.

– Rąb, bracie, rąb. – Płaton Iljicz ostatni raz się zaciągnął, cisnął niedopałek.

Księżyc świecił jasno. Świerki wyglądały jak na bożonarodzeniowej ż y w e j pocztówce.

Doktor rozpiął pelisę, zrobiło mu się gorąco. Chrząkała z toporem w ręce podszedł do głowy trupa. Przymierzył się i zaczął rozrąbywać nozdrze, do którego weszła płoza. A Płaton Iljicz, gorąco dysząc, oparł się łokciami o pojazd i patrzył, jak woźnica pracuje.

Spod topora wyleciały kawałki przemarzłego ciała. Następnie ostrze głucho uderzyło w kość.

– Tylko narty nie rozrąb – poradził władczo doktor.

– Znam się na rzeczy... – wymamrotał Chrząkała.

Rozłupując ten potężny, zamarznięty nos, przypomniał sobie, jak pierwszy raz w życiu zobaczył dużego. Miał wtedy z dziesięć lat. I mieszkał nie w Dołbieszynie, ale w ojcowskim domu, w bogatej wiosce Pokrowskie. Tego lata ustalono, że jarmark z Dołgiego zostanie przeniesiony do ich wsi. Miejscowi kupcy zdecydowali się wyrąbać Zgniły Gaj i na jego miejscu zbudować magazyny dla jarmarku. Stary dębowy bór rósł w Pokrowskim jeszcze z dawnych czasów, kiedy w wiosce stał dwór szlachecki, który spalili potem w czasach Czerwonej Smuty. Dęby tego boru były ogromne, podeschnięte, niektóre rozpadały się i gniły. W ogromnych dziuplach drzew chłopcy bawili się wojenkę albo w wilkołaki. No i postanowiono wyrąbać bór. W tym celu pokrowscy kupcy wynajęli trzech dużych: Awdota, Borkę i Wiachira. W ciepły

letni wieczór duzi weszli do Pokrowskiego z sakwami, piłą i siekierami na ramionach. Wszyscy byli, jak i ten zamarznięty na drodze, pięcio-, sześciometrowego wzrostu. Chłopcy przywitali ich gwizdami i urąganiem. Ale duzi odnosili się do dzieci jak do wróbli, nie zwracali na nie uwagi. Zatrzymali się w starej stodole kupca Bakszejewa, a rano przystąpili do wyrębu dębów. Maleńki Koźma patrzył na ich pracę ze strachem i radością: duzi pracowali tak, że wszystko im w rękach trzeszczało i się waliło. Oni nie tylko wycięli wszystkie dęby, rozpiłowali je i rozrąbali, lecz także wykarczowali wielkie dębowe pnie i porąbali je na polana. Wiezorami wypijali po trzy wiadra mleka i jedli tłuczone kartofle ze słoniną, po czym siedzieli na dębowych pniach i śpiewali swoimi ordynarnymi, tubalnymi głosami. Koźma zapamiętał jedną piosenkę, śpiewał ją wolno głuchym, strasznym głosem Awdot o czerwonej twarzy i dużych odstających uszach:

Kiedyś ty mnie, mateczko,
W swych trzewiach nosiła,
Jakżeś ty, gołąbeczko,
Głośno zawodziła.

Potem Awdot z Wiachirem pokłócili się o pieniądze. Wiachir pobił Awdota, a ten się obraził, oszedł z Pokrowskiego, nie doczekawszy końca roboty. I jak opowiadały baby, zapluł krwią całą drogę z Pokrowskiego do Borowki. Miejscowi kupcy, powołując się na odejście Awdota, nie wypłacili dużym jednej trzeciej wynagrodzenia. A ci w odwecie ostatniej nocy nasrali do studni kupca Bakszjewa. Tę studnię czyścili potem trzy dni, wyciągnęli wiadrami dużą kupę gówna dużych...

Chrząkała z trudem rozrąbał kość nosową. Płoza, którą wjechali do nozdrza, stała się widoczna. Rozkołysali we dwóch samopęd, ale ta dalej tam tkwiła.

– Płoza przebiła zatokę nosową i tam utknęła. – Doktor się przyjrzał. – Rąb o, tutaj, z góry!

Chrząkała zrzucił rękawice, popluł w ręce, zaczął rąbać łuk brwiowy. Kość okazała się twarda i gruba. Dwukrotnie musiał odpoczywać, zanim wbił się w nią głębiej. Białe kawałki kości leciały spod topora i pobłyskiwały w świetle księżyca.

„Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą...” – doktor przypomniał sobie ulubione przysłowie pradziadka.

Pradziadek doktora Garina, księgowy, często wspominał daleką epokę stalinowską, kiedy to przysłowie było popularne wśród władz i w narodzie.

Kość się skończyła i zamiast białych kawałków spod topora poleciały zielonkawe.

„Aha, miał zapalenie zatok... – Płaton Iljicz profesjonalnie przymrużył oczy. – Włóczęga pewnie. Szedł, napił się. Upadł, zasnął. Zamarzł...”

– Rosja... – wymamrotał i przypomniał sobie, jak kiedyś leczył dużego, któremu wyskoczyła przepuklina.

Tego dużego wynajęto w Riepisznej do robót ziemnych. Rył wykop swoją ogromną łopatą, a potem przenosił szopę i się naderwał. Kiedy Garin razem z trzema ochotnikami wsuwali mu worek przepuklinowy, duży wył, gryzł łańcuchy, którymi go przytwierdzili do ziemi, i płakał:

– Nie potra! Nie potra!

Operacja przepukliny przebiegła wówczas pomyślnie...

– Dorąbałem się, a niech cię... – Chrząkała był wyczerpany, wyprostował się, zdjął czapkę i otarł twarz.

– Aha... – Doktor dostrzegł w półmroku, bo akurat chmura naszała na księżyc, jasne pasmo narty w wyrwie głowy. Zeszpecona rąbaniem twarz dużego wyglądała złowieszczo.

– Wypychamy nazad? – Woźnica rzucił topór i wsparł się na nosie samopędu.

– Wypychamy! – Płaton Iljicz wsparł się z drugiego boku.

Chrząkała pocmokał, zahetał, zaprrykał, konie zaczęły się cofać i pojazd wyjechał z głowy.

– Chwała Bogu! – westchnął z ulgą doktor.

Koźma zaś upadł na kolana, pomacał płozę.

– Ach ty, a niech cię...

– Co takiego? – Płaton Iljicz pochylił się i kiedy wyszedł księżyc, jasno dostrzegł ze szczeniem połamaną płozę, której nosek na zawsze pozostał w zatoce nosowej nieboszczyka. – Ach, do diabła...

– Połamał się. – Woźnica głośno się wysmarkał, ciężko dysząc.

Doktor od razu poczuł, że zziębł.

– I co teraz zrobimy? – spytał z narastającym rozdrażnieniem.

Chrząkała pomilczał, sapiąc i pociągając nosem. Potem podniósł topór.

– Potrzeba płozę odrąbać i przywiązać do tej.

– A tak co, nie dojedziemy?

– Tak nie dojedziem.

– Na drugiej płozie nie dojedziemy?

– Nie dojedziem, panie.

– Dłaczego?

– A ta, połamana, w śnieg się wbije i tego.

Doktor zrozumiał.

– Obłamała się, boć już była wyszczerbiona. – Chrząkała westchnął. – Kieby cała była, toby się nie obłamała. A tamtą rozszczepili, no to się obłamała. A kiej się miała nie obłamać?

Doktor splunął ze złością, sięgnął po papierosy, ale przypomniał sobie, że się skończyły. I splunął jeszcze raz.

– Pójdę ja, poszukam kajś krzywego drzewka – oznajmił woźnica i powłókł się przez śnieg do lasu świerkowego.

– Tylko niedługo! – nakazał doktor z rozdrażnieniem.

– A to kiej wyjdzie...

Chrząkała zniknął w lasu.

– Idiota – wymamrotał doktor za nim.

Postał koło nieszczęsnej głowy, wszedł na siedzenie samopędu, opatulił się baranicą, naciągnął papachę na same oczy, wsunął ręce do kieszeni i zamarł. Alkohol jeszcze się utrzymywał w jego ciele, ale już powoli się ulatniał i doktor zaczął ziębnąć.

„Co to za idiotyzm jakiś” – pomyślał.

I szybko zapadł w sen.

Zaczęła mu się śnić duża biesiada w ogromnej, jasno oświetlonej sali, przypominającej salę bankietową Domu Nauki w Moskwie, z mnóstwem znajomych i nieznajomych ludzi, mająca coś wspólnego z nim, z jego zawodem i życiem prywatnym, ludzie gratulowali mu, cieszyli się z nim, sięgali po kieliszki, mówili coś pompatycznego i uroczystego, a on, nie rozumiejąc ani powodu tej uczty, ani sensu gratulacji i zachwytów, wymuszenie kiwał głową i odpowiadał na gratulacje, starając się trzymać pewnie, uroczyście i radośnie, chociaż miał świadomość całej wątpliwości zachodzących zdarzeń. Nagle ktoś z gości ciężko wchodzi na stół i wszyscy zamierają, patrząc na niego. Płaton Iljicz rozpoznaje w tym człowieku profesora Amlinskiego, wykładającego im na uniwersytecie medycznym kurs torakochirurgii. Amlinski we fraku, ze swoją skupioną i zmęczoną bezbrodą twarzą, wszedłszy na stół, prostuje się, teatralnie krzyżuje ręce na piersi i nie mówiąc nic, zaczyna nagle tańczyć na stole dziwny taniec, mocno stukając obcasami sztybletów; w tym tańcu jest coś uroczyście złowieszczonego, wieloznacznego, co jest zrozumiałe dla wszystkich zebranych i czego nagle zaczyna się domyślać Płaton Iljicz. Dociera do niego, że taniec nazywa się „rogud” i że to żałobny m e d y c z n y taniec, poświęcony osobiście jemu, doktorowi Płatonowi Iljiczowi Garinowi, a wszyscy ci ludzie, którzy

zebrali się przy stole, przyszli na stypę dla Garina. Ogarnia go przerażenie. Patrzy odrętwiały, jak Amlinski tańczy w zapamiętaniu, wystukując złowieszczy werbel na stole, tak że podrygują i brzęczą naczynia, tańczy, pośladkami i głową wykonując koliste ruchy, niemal przykucając, potem prostuje się, kiwając głową i puszczając oko do wszystkich. Płaton Iljicz widzi obok siebie młynarzową. Jest pięknie ubrana, brylantowe rojowisko pobłyskuje wokół jej pełnej, wypiełgnowanej twarzy. Jest żoną Amlinskiego, przy czym już od dawna. Dysząc perfumami i zapachem swojego gładkiego, wypiełgnowanego ciała, zbliża jasną twarz do Garina i szepcze mu z lubieżnym uśmiechem:

– Mięśny i pompatyczny przycinek!

Doktor się ocknął.

Ledwo się poruszył, silne drgawki wstrząsnęły jego ciałem. Drżąc, zsunął z oczu lisią czapę. Wokół było ciemno i zimno. Gdzieś w ciemności Chrząkała rąbał coś siekierą. Księżyc ukrył się za chmurami.

Doktor poruszył się mocniej, ale dreszcze ogarnęły go tak, że zajęczał, zęby same zaszczękały. Nagle poczuł strach. Nigdy w życiu nie odczuwał takiego dojmującego, przenikliwego ziąbu. Zrozumiał, że nigdy nie wydobędzie się z tej przeklętej, niekończącej się zimowej nocy.

– B-boż-że... zli-itu-uj-się... – zaczął się modlić, szczękając zębami, tak jakby ktoś wstawił w nie motorek firmy Klatzer.

Chrząkała rąbał w ciemności.

– B-boż-że, och-chroń i wyprow-wadź... – Doktor trzął się, jęcząc jak z bólu.

– No i już... – dało się słyszeć mamrotanie woźnicy i wyrąb się zakończył.

Kiedy doktor drzemał, tamten znalazł w lasku świerczek z krzywym pniem, wyrąbał go, oczyścił z łap, przywłókł do samopędu i wyciosał z niego coś przypominającego płożę. Była niepokazna, nawet dziwaczna, ale całkiem się nadawała, żeby dojechać do Dołgiego. Należało przybić ją do złamanej płoży. I nawet było czym: naprawiając płożę na podwórzu młynarza, Chrząkała zabrał do kieszeni trzy gwoździe.

„Trzeba było chociaż ze cztery” – myślał teraz.

Ale od razu uspokoił się na głos:

– I trzema się opędzi.

Zauważywszy, że doktor zaczął się wiercić i coś mamrotać, podszedł do niego.

– Panie, pomoglibyście.

– B-boże... B-boże... – Doktor się trzął.

– Zimno? – zrozumiał Chrząkała.

Jemu po robocie zimno nie było.

– Roz-zpał og-gnis-sko... – Płaton Iljicz dzwonił zębami.

– Ognisko? – Chrząkała podrapał się pod czapkę i spojrzał na chowający się księżyc. „A w sumie to racja... nie obaczę ni diabła... i w gwoździa nie trafię...”

– Roz-zpa-al... roz-zpa-al... – Doktor trzął się jak w febrze.

– Zara się wyrzchtuje.

Złapał siekierę i poszedł do lasu szukać suchej choinki. Przyszło mu długo szukać: księżyc, jak na złość, nie wychodził, więc trzeba było to robić niemal po omacku. Sucha choinka była większa od innych, jej twardy wysoki pień słabo wpuszczał w siebie ostrze siekiery. Długo rąbał. Zwalił choinkę, chciał przytaszczyć ją do samopędu, ale utknął między dwoma innymi świerkami, szarpał się, obrąbał w ciemności przeszkadzające łapy, omal nie rąbnął się w nogę. Zasapał się, zanim dowlókl drzewko do pojazdu.

Doktor dalej siedział na swoim miejscu, skulony i z rękami w kieszeniach.

„Ot, zziąbł dochtor już do cna...” – pomyślał Chrząkała, zaczerpnął tchu i zaczął obciosywać łapy z choinki.

Narąbał dostatecznie, zebrał wiązkę całkiem cienkich gałązek, przełamał je na pół, wyjął zapalniczkę, przytknął niebieski gazowy płomień. Ogień szybko zajął suszki. Chrząkała kopnął walonkiem śnieg, wsunął w dołek rozpałkę, nawalił z góry świerczyny.

Wkrótce ognisko zapłonęło.

– Dochtor, chodź się pogrzać! – krzyknął.

Doktor rozkleił przymykające się powieki: w binoklach zatańczyły języki płomieni. Z trudem zaczął się podnosić. Trzeba było ruszyć skostniałe, przemarznięte ciało do ognia. Ciało drżało, zdrętwiała noga nie słuchała się. Poruszał się niczym powstały z martwych zombie. Podszedł do ognia i jak pijany strażak, od razu wszedł w ogień.

– Kajś ty, spalisz się! – Chrząkała go odepchnął.

Doktor usiadł na śniegu, podsunął się do ognia, wsunął w niego rękę w rękawiczkach.

– To się spał, kiej chcesz – wymamrotał woźnica, łamiąc świerczynę.

Wkrótce doktor krzyknął, wyciągnął rękę z ognia: rękawiczki zaczęły się dymić.

– Byś się rozpiął, panie, żeby ciepło do środka wama poszło – poradził Chrząkała.

Mrużąc oczy od dymu, doktor rozpiął pelisę trzęsącymi się rękami.

– No i dobrze. – Koźma uśmiechnął się z trudem.

Twarcz jego zmizerniała, ale ptasi uśmiech nie zgasł.

Grzali się, dopóki nie spalili całej choinki. Doktor doszedł do siebie, przestał drżeć. Ale nadal czuł strach.

„Czego się boję? – myślał, patrząc na rojowisko drobnych pomarańczowych węgielków ze świerczyny. – Ciemno. Zimno. No i co? Dołgie blisko... On przecież się nie boi. I ja nie powinienem...”

– Panie, pomóżcie mi z płożą – poprosił woźnica, biorąc siekiere z odtającego od ognia śniegu.

– Jak? – Doktor nie zrozumiał.

– Odrąbałem nosek. Wy trzymajcie, a ja przybiję. Są trzy gwoźdźdiki.

Płaton Iljicz wstał w milczeniu, zapiął się. Tamten podpalił ostatnią świerkową łapę, wetknął ją w śnieg obok głowy olbrzyma. Ogień zabłyszczał w jego oszronionych oczach i doktor zauważył, że nieboszczyk ma zielone oczy.

– Póki się pali, żwawo! – zakomenderował Chrząkała, padając na kolana i podkładając nosek pod złamaną płożę.

Doktor też się osunął na kolana, złapał za drewnienka, przytrzymując je na miejscu. Woźnica wyciągnął z kieszeni trzy drogocenne gwoźdźdiki, dwa przygryzł zębami, trzeci przystawił i obuchem siekiery wbił trzema uderzeniami. Przystawił drugi i tak samo zręcznie wbił, uderzył czwarty raz, ale ostrze siekiery oberwało się i boleśnie uderzyło go w lewą rękę.

– A niech cię! – Zasapał i wypuścił trzeci gwóźdź z zębów.

Gałązka zgasła, rozsypując się bursztynowym popiołem.

– Ach ty... – Trzęsąc swoją wielką pięścią, rzucił siekiere, pogmerał w śniegu.
– Gdzież ty...

Doktor też zaczął gmerać w śniegu. Ale nic nie znaleźli.

– Poświecić trzeba! – nakazał.

– Zara... – Chrząkała wymacał i zebrał pozostałe gałązki, podpalił.

Jednak krótkotrwały ogień nie pomógł: gwóźdź jakby się rozpułynał w śniegu.

– Ot, niezgrabota... – Woźnica pełzał po śniegu urażony.

– Ale jakże ty... czego ty... – mamrotał doktor, rozgarniając śnieg rękami.

– Bo dureń jestem i upuściłem – tłumaczył się tamten.

Poszukali jeszcze przy słabym niebieskawym świetle dwóch zapalniczek, ale gwoździa w końcu nie znaleźli.

– Ot, skaranie... – Chrząkała cały kręcił się w śniegu koło płoży.

Był mocno strapiony utratą gwoździa. I zaczął żałować, że wziął w drogę raptem trzy, z głupoty i nieśmiałości powstydział się wziąć wtedy z żelaznej puszkii przynajmniej ze cztery gwoźdźdiki.

– Durny jestem, durny.

Wysmarkał się, zagiął siekierą te dwa gwoździe, które wylazły od dołu ze świeżej deseczki, dotknął.

– Dojedziem na dwóch gwoździach?

– Zabandażować. – Doktor pochylił się i uważnie oglądał naprawioną płożę.

– Można. – Koźma obojętnie kiwnął głową, wstał, otworzył kapuzę.

Konie wydały słaby dźwięk. Chrząkała poczuł, że zziębły.

– He-ta, he-ta, gadaj... – Zdjął rękawice, zaczął je tarmosić i głaskać.

Słabiutkie rzenie popłynęło z kapuzy razem z końską parą. Nagrzana końskim ciepłem kapuza była jedynym ciepłym miejscem. I doktor poczuł zazdrość i obrazę, że ludzie marzną, a konie są w stanie ogrzać się same. Znalazł resztki bandaża i obwiązał niefortunną płożę. Ledwo zakończył i zawiązał swój tradycyjny supeł, na jego plecach coś zaszurało. Podniósł głowę: sypał śnieg.

– Niech to diabli! – Popatrzył na niebo.

Niebo całkowicie zasnuły chmury. I nie było więcej ani jasnego księżyca, ani iskrzącego gwiazdnego rojowiska. Śnieg walił pionowo, bez wiatru, walił tak gęsto, że wszystko wokół się w nim zapadło. Jakby dla kpiny z podróżników, jakby dla zemsty za godzinę czy dwie przebłysku światła i spokoju śnieg walił, walił i walił.

– Doczekaliśmy się... – Chrząkała uśmiechnął się i zamknął konie.

– Jak my pojedziemy? – Doktor się rozglądał.

– Tak pojedziem, kiej Bóg da – odpowiedział woźnica, skręcił ster na lewo, krzyknął na konie.

Samopęd drgnął, zjechał z nieboszczyka. Chrząkała wyprowadził pojazd na to, co powinno być drogą, i poszedł z nim obok. Doktor ruszył za nim.

– Siadajcie panie, ja pójdę! – krzyknął woźnica.

Doktor usiadł w pojeździe.

– Ile zostało drogi?

– Nie wiem. Ze trzy wiorsty...

– Trzeba dojechać!

– Bóg da, dojedziem...

– Trzy wiorsty... Piechotą można dojść!

– Można...

Płaton Iljicz potwornie chciał już wyjechać z tego śnieżnego bezkresu, z tego ziąbu, który nie zostawia go ani na chwilę, wyjechać z tej nocy przypominającej sen wariata, żeby zapomnieć ją na zawsze razem z tym śniegiem, głupim samopędem, złamasem Chrząkałą i złamaną płożą.

„Boże, wywiedz, ochroń i pomóż...” – modlił się w duchu, licząc każdy metr pokonanej drogi.

Woźnica szedł i sterował, zagarniając śnieg walonkami, zapadając się i znów wydostając z zasp. Wokół niego stała ściana bezszelestnie walącego śniegu. I ta bezszelestność, całkowita bezwietrzność powodowała coraz większy strach w doktorze.

Chrząkała natomiast nie czuł strachu. Po prostu był tym wszystkim utrudzony, utrudzony tak, że włókł się już resztkami sił, starając się nie paść w śnieg i nie zasnąć. Ogień ogniska go zmorzył, nałykał się dymu, chciał jednego – spać.

„Trzy wiorsty... Dojedziem, kiej nie zboczym...” – myślał, wytrzeszczając oczy, klejąc się ze zmęczenia i śniegu.

Pół wiorsty dalej, kiedy skończył się lasek świerkowy i zaczęło się czyste pole, zboczyli jednak z drogi. Chrząkała brodził dokoła, znalazł drogę. Pojechali, ale znów zboczyli. Ale on znowu znalazł drogę. Doktor już nie wychodził, tylko siedział, cały przykryty śniegiem, modląc się i zamierając ze strachu. Przejechali szczęśliwie pół wiorsty, kiedy nagle rozległ się trzask, samopęd zdradziecko przechylił się na prawo: znów zboczyli z drogi, wjechali w wąwóz i przytwierdzony nosek płozy się złamał.

– Obłamał się! – krzyknął Chrząkała, kręcąc się w śniegu.

– A żeby cię... – Nieruchomy całą drogę doktor nagle zeskoczył z siedzenia, po kolana w zaspach podbiegł do bagażnika i zaczął zaciekle odwiązywać swoje sakwojaże.

– Żeby cię diabli wzięli, durniu... Niech cię wezmą z twoim samopędem... z twoją śmierdzącą płozą... – Odwiązał zasypane śniegiem sakwojaże, wziął w ręce i poszedł naprzód.

Chrząkała nie powstrzymywał go. Już nie miał sił stać, osunął się koło samopędu, oparł się o niego plecami, ręką trzymając się za płozę jak za złamaną nogę.

– Piechotę bym szybciej doszedł! – krzyknął z wściekłością doktor, nie odwracając się.

Kroczył naprzód po zaśnieżonej drodze.

– Całe życie słuchać durni i złamasów! – mamrotał ze złością, przedzierając się przez gęsty, padający w ciemności śnieg. – Słuchać durni! I słuchać złamasów! Co to za życie?! Boże, co to za życie?!

Święte oburzenie dodało mu werwy, kroczył przez chrzęszczący śnieg, buty mięsiły bezkresną śniegową kaszę. Nogami czuł drogę, wyjeżdżony trakt całkowicie teraz zawalony śniegiem.

„Naprzód, tylko naprzód...” – myślał, nie zwalniając.

Zrozumiał, że trzeba po prostu nie bać się tego martwego, mroźnego żywiołu i ruszać się, ruszać się, pokonując go.

Śnieżny mrok pochłaniał doktora Garina. A on szedł i szedł. Samopęd, Chrząkała, maleńkie konie – wszystko zostało z tyłu jak przykra przeszłość, a z przodu była droga, którą należało iść.

„Do Dołgiego jest blisko... Trzeba było dawno zostawić tego złamasa i pójść piechotą... Dawno bym doszedł...”

Zrobił krok, wpadł do dołu i upadł, gubiąc sakwojaże. Powiercił się w śniegu, znalazł sakwojaże, wydostał się z dołu, cofnął się, z trudem dostrzegając w ciemności swoje ślady. Znalazł drogę, poszedł bardziej w prawo, ale znowu wpadł do dołu, głębszego niż pierwszy.

„Parów...” – przemknęło mu przez głowę.

Najwyraźniej droga wiodła przez wąwozy.

– Skręt... – wymamrotał porządnie już zasapany.

Wyszedł, ruszył i znowu się zapadł. Dokoła były same wyboje.

– Gdzie ona jest? – Poprawił spadającą na oczy papachę.

Zaczął ostrożnie macać nogą, starając się więcej nie zapadać. Pod śniegiem było coś nierównego, zupełnie nieprzypominającego drogi. Tak jakby zniknęła w wądołach. Szukając drogi, stracił resztki sił i opadł na śnieg. Poczował chłód w nogach.

– Niech to diabli... – wycedził.

Posiedział, podniósł się, złapał sakwojaże. I postanowił iść prosto przez przekłete wądoły w nadziei, że trafi na drogę. To okazało się niełatwym zadaniem: szedł, upadając i podnosząc się, zapadając i znowu się wydostając. Ale drogi nie znalazł. Wądoły jakby ją pochłoneły.

Z bezsilności usiadł w śniegu i siedział. Śnieg, niekończący się śnieg, walił i walił z ciemnego nieba, zasypując doktora i jego ślady.

Płaton Iljicz zaczął zasypiać i ziębnąć.

– Tylko nie spać... – wymamrotał, wstał i ledwo się ruszając, poszedł naprzód.

Wyboje się nie kończyły. Kiedy zapadł się po raz kolejny, padł na bok i popełził już naprzód po śniegu, ciągnąc za sobą coraz cięższe sakwojaże.

I nagle pod nogą wymacał coś równego, twardego.

– Jest! – zakrzyknął ochryple i radośnie.

Wydostał się z wądołu na drogę, postać chwilę, dysząc z wyczerpania, postawił sakwojaże w śniegu i przeżegnał się.

– Chwała Ci, Boże.

Podniósł sakwojaże. Poszedł naprzód. Ale nie przeszedł nawet dwudziestu kroków, jak coś wyłoniło się ze śnieżnego mroku i nawisło wprost nad nim. Wytrzeszczając oczy, dostrzegł w górze coś przypominającego pień przechylonego drzewa, oblepionego śniegiem. Zaczął obchodzić z lewej strony i nagle dostrzegł za tym pniem coś wielkiego, szerokiego, zajmującego całą drogę, z czego wyrastał i ciągnął się ten pień. Podeszedł ostrożnie. To wielkie i szerokie było całe w śniegu i wznosiło się ku górze. Doktor rzucił sakwojaże w śnieg, potarł szalem binokle, zadarł głowę. Nie mógł zrozumieć – co to przed nim stoi. Początkowo myślał, że to spiczasty stóg siana zasypywany śniegiem. Ale kiedy dotknął ręką, zrozumiał, że to nie siano ani nie śnieżny kopiec. Cofnął się, wytrzeszczając oczy. I nagle, dostrzegłszy w górze niepojętego śniegowego kolosa coś na podobieństwo ludzkiej twarzy, pojął, że przed nim stoi nadzwyczajnych rozmiarów bałwan śnieżny z ogromnym, sterczącym śnieżnym fallusem.

– Boże... – wymamrotał i się przeżegnał.

Nad nim górował bałwan wzrostu piętrowego domu. A jego fallus groźnie nawisł nad głową doktora Garina. Okrągła, ulepiona ze śniegu głowa patrzyła z ciemności dwoma polnymi kamieniami, wciśniętymi w śnieg przez nieznanego potężnego rzeźbiarza. Zamiast nosa stał na sztorc osinowy kołek.

– Boże... – wymamrotał doktor i zdjął lisią czapę.

Zrobiło mu się gorąco. Przypomniał sobie trupa dużego. I zrozumiał, że olbrzym, w którego nozdrza niedawno wjechał samopęd, był właśnie autorem rzeźby tego śnieżnego potwora. Przed swoją pijaną śmiercią postanowił ulepić coś z podręcznego materiału dla obojętnej i dalekiej ludzkości.

Doktor podniósł rękę z papachą, machnął nią, próbując dosięgnąć bielejącego w górze fallusa. Ale nie sięgnął. Pała, groźnie celując w ciemność, nawisała nad nim. Śnieg krążył i padał na fallusa i na odkrytą głowę Garina. Doktor zrozumiał, że olbrzym wetknął w brzuch bałwana pień drzewa i oblepił go śniegiem. Wyszedł z tego pobudzony męski organ rozrodczy. Przez zamieć i opad śniegu stał się jeszcze grubszy.

Garin cofnął się, oglądając śnieżnego olbrzyma. Ten stał z nieporuszoną gotowością, by przebić swoim fallusem otaczający świat. Doktor spotkał się wzrokiem z oczyma-kamieniami. Bałwan popatrzył na Garina. Włosy na głowie stanęły doktorowi dęba. Ogarnęło go przerażenie.

Krzyknął i rzucił się przed siebie.

Biegł, potykając się, upadał, podnosił się i jęcząc z przerażenia, biegł i biegł dalej.

W końcu wpadł na coś piersią, uderzył się, legł w śniegu na wznak. Uderzenie było mocne, doktor nie mógł złapać oddechu, kolorowe błyski popłynęły mu przed oczyma. Zajęczał z bólu. Stopniowo doszedł do siebie. Skostniał z zimna, rozejrzał się i zobaczył własną prawą rękę ściskającą papachę. Usiadł, naciągnął czapę na głowę.

Dopadły go dreszcze. Drżąc i trzymając się za stłuczoną pierś, wstał. Przed nim ze śniegu, jakby słup wiorstowy, sterczał obłamek starej brzozy. Doktor złapał go, bojąc się, że zapadnie się z powrotem. Przycisnął się piersią do brzozy, zamarł, ciężko dysząc. Brzoza była stara, kora jeżyła się w ciemności. Trzymając się brzozy, dyszał w nią i sam wdychał jej zapach. Przemarznięta brzoza pachniała łąnią.

– Biała... celuloza... – wymamrotał w korę brzozową.

I dotarło do niego, że zamarza.

– Ruszać się, ruszać... – Odepchnął się od brzozy i ruszył przez ścianę padającego śniegu.

Szedł, nie rozpoznając drogi, szedł przez głębokie zaspy, potykał się, padał, znów wstawał, szedł, szedł i szedł. Przed nim, po bokach, z tyłu za nim było cały czas to samo – nocny mrok, padający śnieg. Doktor szedł.

Wkrótce zaczął ruszać się wolniej, z trudem wydostawał się z dołów, chwiejąc się i tracąc równowagę. Śnieg nie odpuszczał, chwycił za skostniałe, nieposłuszne nogi. Doktor poruszał się coraz wolniej. Wsunął zamarzające ręce w mokrych rękawiczkach do głębokich kieszeni i szedł zgięty.

Kolana mu się uginały. Szedł, ledwo powłócząc nogami.

I kiedy był już gotowy upaść i na zawsze pozostać w tym grząskim, bezkresnym śniegu, coś go powstrzymało. Rozkleił przymarzające powieki i dostrzegł przed sobą w ciemności wymalowane w róże, zrąbane po bokach oparcie samopędu. Nie wierząc własnym oczom, pomacał je. Stojąc i trzymając się za to oparcie, wyrównał oddech. Zajrzał za oparcie: siedzenie było puste. W środku nie było nikogo.

Włosy znowu stanęły mu dęba pod lisią czapą. Zrozumiał, że Chrząkała odszedł, porzucił samopęd, zostawił doktora, porzucił na zawsze i że teraz jest całkiem już sam, na zawsze sam w tej zimie, w tym polu, w tym śniegu. A to oznacza śmierć.

– Śmierć... – wysapał i chciał zapłakać z żalu nad sobą.

Nie było jednak ani łez, ani sił na płacz. Padł na kolana przed pojazdem.

Usłyszał, że gdzieś niedaleko zarżał mały konik. Ale nie uwierzył.

Jego zamarznęte wargi się trzęsły, wypuszczając z ust coś w rodzaju pochlipywania.

I znów zarżał koń. Gdzieś całkiem niedaleko. Obejrzał się. Wokół otaczał go ciemny, śmiertelny, bezwzględny bezkres. Ale znów zarżał i zachrapał koń. Rozpoznał głos: to rżał ten sam psotny dereszowaty źrebak. I rżał w samopędzie. Doktor tępo wbił wzrok w pojazd.

I nagle zauważył, że rogoża, która zawsze przykrywała kapuzę, mocno się stroszy. Myśląc, że to śnieg, który napadał z góry i utworzył zaspę, dotknął derę. Ta się poruszyła. Lekko ją odchylił.

Z ciemnej kapuzy biło końskim ciepłem, w środku zawierciły się, zachrapały i zarżały konie. I głos Chrząkały doniósł:

– Dochter!

Doktor jak oszalały patrzył w kapuzę. Wyciągnął rękę, pomacał. W kapuzie, zwinięty w kłębek, otoczony konikami, leżał Chrząkała.

– Ty... jak to... – wysyczał Płaton Iljicz.

– Właźcie tutaj. – Woźnica zawiercił się i przetoczył. – Tu ciepło. Do rana niewiele zostało. Przeżyjemy.

Doktor strasznie chciał do tego ciemnego ciepła słodko pachnącego końmi. Pospiesznie i niezgrabnie wlaźł do kapuzy. Chrząkała zaczął przyciągać do siebie konie, oswabadzając miejsce dla doktora. Ten z trudem się wcisnął, od razu wpijając się swoim lodowatym podbródkiem w rozgrzane czoło Chrząkały, przyciskając koniki nogami i rękami. One niespokojnie rżały, a gospodarz pomagał im wydostać się spod Garina.

– Nie bojąc się, nie bojąc...

Kapuza zatrzeszczała od wciskającego się dużego ciała doktora. Leżący na prawym boku Chrząkała ścieśniał się, jak mógł, dopuszczając mokre doktorskie kolana do siebie między nogi, wypychając niespokojnie rżące koniki na siebie z góry i na doktora, leżącego na lewym boku. Doktor, wiercąc się jak niedźwiedź w barłogu, nie myślał ani o koniach, ani o Chrząkale, strasznie pragnął tylko jednego – skryć się przed tym przeklętym chłodem, ogrzać się.

Jakoś się ułożyli. Konie poukładały się na nich z wierzchu, powbijały między nogami, a niektóre Chrząkała poprzytulał do swojej szyi. Z trudem oswobodziwszy lewą rękę, zaciągnął z góry rogożę.

W kapuzie zrobiło się całkowicie ciemno.

– A niech ta... – wymamrotał Chrząkała w ciężko dyszącą, pachnącą potem i wodą kolońską pierś doktora.

Garin leżał w niewygodnej pozycji, papacha zsunęła mu się na oczy, ale zupełnie nie miał zamiaru jej poprawiać: sił zostało tylko na oddech. Na lisiej czapie gramoliły się cztery konie, trzy inne zagnieździły się na uszance Chrzakały.

– A ja już tego, myślał, za nic nie wrócicie – wydyszał woźnica w pierś doktora.

Ten nadal ciężko sapał. Potem nagle mocno zawiercił się i nacisnął kolanami Chrzakałę. Za plecami woźnicy dał się słyszeć trzask: pękła kapuza.

– Masz ci los... – Chrzakała przez plecy poczuł pęknięcie.

Doktor przestał się wiercić.

– Nie znalazłem drogi – wysyczał słabnącym głosem.

– Dyć, wiadomo. Zawaliło.

– Zawaliło.

– I nic nie widać.

– Nie widać...

Zamilkli. Konie szybko się uspokoiły i też umilkły. I tylko dereszowaty swawolnik, wepchnąwszy się pyskiem do rękawa gospodarza, pogryzał go za rękę.

– A to... jak go... – próbował o coś zapytać doktor.

– Czegój?

– Konie twoje.

– Konie tutaj, a kiej by.

– One... grzeją?

– Grzeją, panie. I my ich grzejem. Razem się ogrzejem.

– Ogrzejemy?

– Ogrzejem.

Doktor zamilkł, potem rzekł ledwo słyszalnie:

– Zamarzłem. Mocno.

– A co inszego.

– Żeby nie pomrzeć.

– Bóg da, nie pomrzecie. Niedługo się rozwidni. A tam, kiej się rozwidni, płożę naprawim i ruszym. A to i kto z przejezdnych zaczepi.

– Zaczepi?

– Dyć wiadomo. Zaczepią i dowiozą.

– A tu... jeżdżą? – chrypiał doktor.

– Jeżdżą, kiej nie jeżdżą? Chlebowozy z samego rana jeżdżą, a kiej bez chleba? Ja to o siódmej już zaprzęgam. A w tym waszym Dołgiem ludzie też

chcą jeść. Zaczepią, to i dojedziem do Dołgiego, dyć wiadomo.

Słyszając o Dołgiem, doktor już zapadał w sen i nie mógł zrozumieć, co to takiego Dołgie, ale w końcu przypomniał sobie, że on, doktor Garin, jedzie do Dołgiego, musi być tam ze szczepionką, czeka na niego Zilberstein, który podał szczepionkę-1, a on, Garin, wiezie szczepionkę-2, tak potrzebną i ważną dla ofiar b o l i w i j s k i e j c z a r n e j. Przypomniał sobie o swoich sakwojażach, ale od razu też dotarło do niego, że chyba porzucił je koło tego nieszczęsnego bałwana, a może i nie porzucił, a złapał i pobiegł razem z nimi. „Rzuciłem je czy nie rzuciłem? – z trudem szukał w pamięci. – Nie, nie rzuciłem, nie rzuciłem... Jak mogłem je rzucić? Ich nijak nie można rzucić...” Uświadomił sobie, że złapał je pod pachy i pobiegł razem z nimi, pobiegł przez śnieg, przez głęboki, gęsty śnieg, pobiegł, pobiegł, pobiegł, a śnieg już przestał padać, a potem w ogóle zaczął tajać, tajać i zagajnik cały zalany jest słońcem, biały brzożowy zagajnik, zagajnik koło cerkwi Nikołajewskiej, tam, gdzie powinni się pobrać z Iriną, ona czeka na niego w świątyni, on idzie przez zagajnik, przez ciepły, nawet gorący letni zagajnik, jasna trawa zalana słońcem, brzęczą w niej trzmielce, pnie brzoż są ciepłe, nagrzane słońcem, on wsuwa jeden z sakwojaży pod pachę i wolną ręką z przyjemnością dotyka gorących pni brzoż, już widzi cerkiew, wokół tłoczą się powozy, a ktoś przyjechał nawet automobilem, to bankier Gorski, kto jeszcze może jeździć automobilem, a on idzie, idzie, ale nagle ziemia kołysze się pod jego nogami, dociera do niego, że pod ziemią, pod tą ciepłą, letnią, sypką ziemią porobili korytarze zarażeni c z a r n ą, to mieszkańcy Dołgiego, nie zaszczepił ich i zamienili się w zombie, skryli się pod ziemią, wyryli przejścia, dotarli do niego, są tutaj, ale on biegnie do świątyni, biegnie przez zagajnik, biegnie ze wszystkich sił, jednak ręce zombie, z pazurami, nieludzkie, przypominające łapy kretów, syndrom kreciej łapy, *pes talpae*, wyłazą z ziemi, z trawy, chwytają go za nogi, boleśnie chwytają, są silni, ostrzy, zdzierają z niego nowe lakierowane pantofle, ale on wykręca się od ich pazurów, dobiega do cerkwi, już wszyscy są w środku, i już pop stoi przy anałoju, już Irina stoi w sukni ślubnej ze świeczką, on staje obok niej, podają mu świeczkę, a on czuje bosymi stopami podłogę cerkwi, podłogę gorącą, bardzo gorącą, tam w dole ziemia jest gorąca, rozgrzana wściekłymi ruchami zombie, ale jemu jest tak dobrze, tak przyjemnie, kiedy czuje stopami tę marmurową gorącą podłogę, że zupełnie nie ma ochoty iść za popem, iść z Iriną wokół anałoja, nie, jemu jest dobrze tak, tak dobrze, aż łzy ciekną z oczu, aż stoi odrętwiały, ale wszyscy go rozumieją, wszyscy dzielą z nim radość, wszystkim jest tak dobrze, a jemu jest jakoś szczególnie dobrze, jakoś tak uroczyście dobrze, bo kocha wszystkich, wszystkich stojących

w świątyni, kocha Irinę, kocha popa, kocha wszystkich bliskich i przyjaciół, kocha nawet zombie, które kręcą się i ryczą pod podłogą cerkwi, kocha wszystkich, wszystkich, i wszyscy zaczynają się poruszać wokół niego, bo on nie może oderwać się nogami od w s t r z ą s a j ą c e g o ciepła, wszyscy goście i pop, i ryczący basem protodiakon, i chórzyści, i Irina, wszyscy chodzą dokoła, chodzą dokoła niego, chodzą i śpiewają, a zombie poruszają się pod ziemią wokół świątyni i też śpiewają, śpiewają do ziemi, śpiewają ziemnym bzycczeniem jak wielkie ziemne pszczoły, brzęczą w ziemię, brzęczą, brzęczą: Długich lat życia! Brzęczą tak słodko i mocno, że to brzęczenie łaskocze, i wszyscy obracają się i obracają wokół Garina jak wokół osi ziemi, a jemu i jego nogom od tego kołowrotu i brzęczenia robi się coraz cieplej i weselej...

Chrząkała, czując, że doktor zasnął, lekko się powiercił, rozkładając konie na sobie i w wolnych przestrzeniach.

„Wszystkie całe... pomieściły się... i my z doctorem pomieścili się... – myślał. – No i chwała Bogu...”

Dobrze było w kapuzie, dla wszystkich starczyło miejsca – i dla doktora, i dla Chrząkały, i dla koni. Jedno go niepokoiło: pęknięcie. Sklejka rozeszła się na szwie i jak na złość rozeszła się za jego plecami, a w kozuchu akurat przy lewym ramieniu była stara dziurka – minionej zimy zaczepił się w chlupińskiej piekarni o rygiel, kiedy wynosił stragan z chlebem. Zaszył potem surową nitką, tamtą zimę przechodził, a teraz dziurka przez ten cały galimatias się rozeszła, widocznie nitka się przetała i zawiewa mu ze szczeliny wprost na lewą łopatkę, a obrócić się na drugi bok nijak nie wolno: doktor śpi.

„Jak na złość...” – pomyślał, lekko się przekręcił, chroniąc konie, odsuwając się lewym ramieniem od szczeliny, starając się podstawić pod nią plecy.

Któryś z koni zaplątał się pyskiem w jego brodzie.

– A kóten to się tu łaskocze? – Uśmiechnął się.

Koń krótko zarżał.

– Siwek, ty, co? – Poznał po głosie jednego ze swoich czterech siwych wałachów.

Wałach, słysząc swoje proste przezwisko, zarżał. A potem oddał mocz na pierś Chrząkały.

– Nie płosz się. – Lekko szturchnął konia podbródkiem w pysk.

Siwek odskoczył i wsunął pysk w szyję Chrząkały, tam, gdzie już dyszały, wetknąwszy nozdrza, dwa inne konie. Słyszając głos siwka, śmigły deresz, który drzemał w rękawie gospodarza, poczuł zazdrość i wyzywająco zarżał.

– A ty czego? – Chrząkała pstryknął go palcem w sterczący z rękawa zad.

Deresz zamilkł i wesoło-wdzięcznie ugryzł go w rękę.

„Ot, wiła...” – pomyślał o nim Chrząkała i uśmiechając się w ciemności, przypomniał sobie, jak latem przyniósł tego deresza do siebie do domu za pazuchą.

Do tego czasu w tabunie miał tylko jednego karego deresza. Cisawego deresza, młodego, sześciomiesięcznego konika, wymienił w Chłopinie na kanister benzyny u przyjezdnego krawca. Kanister kupił wtedy u swojaka, już załadował na furę nieboszczyka mierniczego Romycza, a tu nagle pojawił się pijany krawiec i zaczął się przechwalać, że mu za dwie babskie kiecki i dwie pluszowe marynarki zapłacili małym żrebakiem. Wyciągnął z kieszeni deresza i pokazał. Deresz miał nietypową maść, cisawy z siwizną, z ognistą grzywą, żwawy, chociaż nie miał głębokiej piersi. I rżał nieustannie. Od razu się Chrząkałe spodobał. Może dlatego, że niedawno padły mu dwa żrebaki na nieznaną chorobę i w trzeciej grzędce dwa chomątka były puste. A może dlatego, że deresz był rudy jak sam Chrząkała. Krawiec wygadywał bzdury, bębnił nad uchem, że odchowa żrebaka i będzie go wynajmować woźnicom. Ale kiedy Chrząkała zaproponował mu kanister dziewięćdziesiątki dwójki, szybko się zgodził. Póki jechali do domu, deresz niespokojnie rżał mu za pazuchą. I w tabunie się nie uspokoił. Wyróżniał się żwawym i bezczelnym charakterem, ale na przywódcę się nie nadawał. Przywódcą zawsze pozostawał spokojny szerokopierśny bułany wałach.

Chrząkała poruszał się, starając się osłonić przed szparą ramię. Z dołu, od przemarzłej drewnianej podłogi kapuzy, też ciągnęło chłodem. Ciepło biło od koni. Nawet w ciemności czuł, gdzie teraz jest który koń. Wiedział, że osiem gniadych, które zawsze przy każdej okoliczności zbijają się w swój tabunek, teraz też gnieździło się razem w przestrzeniach między nogami doktora i Chrząkały. Doktor spał, chrapliwie dysząc woźnicy w czoło. Doktor był duży, swoimi nogami i rękami zajął niemal całą kapuzę.

„Wielki człowiek...” – pomyślał i nagle przypomniał sobie trupa dużego i jego twarde czoło, które trzeba było rozrąbać.

„Rąbałem, rąbałem... na siłę rozrąbałem...” – myślał, ziewając zziębnięty.

Miał lekkie dreszcze. Dawno tak się nie utrudził. Zmęczenie tą niekończącą się drogą było tak wielkie, że przestał zwracać uwagę na chłód. Nie chciało mu się ruszać, chociaż zawiewało w łopatkę. Od dreszczy i osłabienia zrobiło się słodko jak w dzieciństwie.

„Chwała Bogu, że jeszcze mróz nie taki srogi...” – myślał, zasypiając.

Sen zaprowadził go w swoje przestrzenie. Zasypiając, Chrząkała przypomniał sobie siekierę do łupania drzewa tych dużych, co pracowali wtedy u nich w Pokrowskiem. Ta potężna, ciężka siekiera była niepodobna do zwykłych siekier, którymi chłopci łupali drewno: miała dziurkę wskroś z boku, a w niej wstawioną żelazną tulejkę przechodzącą przez topór. Chłopci się wtedy dziwili: przeciech w zwykłych siekierach i toporach kliny rozporowe wbijało się u szczytu trzonka, a tutaj – z boku.

Ta tulejka, tulejka z siekiery dużych, była duża. Bardzo duża. Ciężka. Masywna. Ważyła pudry, setki, tysiące pudów i ciągnęła się, ciągnęła, ciągnęła od domu kupca Bakszejewa do domu ojca Chrząkały, solidnego domu z wiatrowskazem, superanteną i różowymi obramieniami, tego domu, który Koźma spalił, kiedy był chłopcem, spalił, kiedy razem z Funtikiem znaleźli chińskie petardy, a rodzice i wujek Misza, i siostra Polina byli w polu, a Funtik postawił kasetę petard na skrzynce po piwie Trzej Mocarze i obaj je podpalili, petardy poleciały, a skrzynka jakoś się zawaliła, kasetka podskoczyła, zaczęła bić we wszystkie strony, petardy trafiły w gumno, w słomiany dach, w dom, wprost na górę, w otwartą świetlicę, a tam na papierze ojciec rozłożył woszczyne, zapalił się dach gumna, zapalił i w świetlicy, Funtik się wystraszył i uciekł, a Koźma też się przestraszył, ale nie uciekł, nie krzyczał, a po prostu stał i patrzył, jak płonie stodoła, stał i patrzył, stał i patrzył, i cały czas stał i patrzył na buzujący ogień, a dach płonął, ogień przerzucił się na szopę, na siano i szopa się zapaliła, a on dalej stoi i patrzy, a szopa na siano się zajęła i płonie, i już biegną sąsiedzi, a w świetlicy na dachu też płonie na całego, płomień bucha z okienka i domu już nie da się uratować, sąsiedzi wyciągają rzeczy, ale on, Koźma, powinien uratować coś ważnego w tym domu, co wtedy się spaliło, a teraz się nie spali, czego nie mógł mu wtedy wybaczyć ojciec, który wybaczył spalony dom, stodołę i szopę na siano, ale to, że ta rzecz spłonęła, nie mógł wybaczyć nigdy, dlatego Koźma odszedł z ojcowskiego domu tak wcześnie, a teraz da radę uratować tę rzecz, da radę wyciągnąć ją z domu, trzeba tylko zmusić się do wejścia, ruszyć się z miejsca, więc bierze się za swoją nogę i przestawia ją rękami, przenosi, bierze drugą, przestawia, nogi nie chcą iść, ale on je łapie, wpija się w nie, paznokciami rwie ich mięso do krwi, przestawia je, przestawia mięso nóg, rękami idzie swoimi nogami, rękami, rękami idzie, nogami, pochyliwszy się do nóg, zmuszając się, idzie, wchodzi do domu, w domu jest już gorąco, na górze się pali, pali mocno, sąsiedzi wywłoczyli wszystkie rzeczy, uratowali ikony i obie skrzynie, ale tylko on wie, gdzie kryje się główna rzecz, najcenniejsza dla ojca. Chwyta za kółko otworu do piwnicy, ciągnie, podnosi drewniany luk, wchodzi do

piwnicy, stoją tam beczki z kiszoną kapustą i kiszonymi ogórkami, wisi tam szynka w merli, a obok szynki, też w merli, zamaskowany pod szynkę, wisi kokon dużego motyla, jest wielkości szynki, a rozstaw skrzydeł motyla, który wykluje się z tego kokonu, będzie miał ponad dwa metry, ojciec i wuj wykradli go z monarszego inkubatora pod Podolskiem, wujek sezonowo pracował tam w cieplarniach, oni wywlekli kokon, schowali na taczce z torfem, wywieźli do Pokrowskiego, ojciec schował go w piwnicy, zamaskował pod peklowaną szynkę, omotał gazą, wymazał słoniną, to kokon dużej niebieskiej „Martwej głowy”, jest bardzo kosztowna, bardzo piękna, kosztuje trzy razy więcej niż ojcowski dom, ojciec już się dogadał, sprzeda ją Rumunom, najważniejsze, trzymać ją w chłodzie, żeby motyl nie wyklął się przed czasem, wtedy wszystko przepadnie. Koźma powinien wynieść go z domu i szybko schować w starej piwniczce w ogrodzie, gdzie też jest chłodno, a ojciec wróci i kokon będzie cały, maca więc go w piwnicy, obejmuje rękami, kokon jest jak niemowlę, on wychodzi z nim z piwnicy, a wokół wszystko płonie, tak szybko wszystko się podpaliło, wszystko gorzeje, jest tak gorąco, tak jasno, on idzie do drzwi, niesie kokon, ale ten nagle pęka, on idzie, ale kokon pęka i niebieski, niewiarygodnie piękny motyl zaczyna wyrywać się z kokonu, wyrywać się z jego rąk, wyrywać ze skorupy, jest tak przyjemny, taki gładki, jedwabisty, potwornie piękny, tak piękny, że on zapomina o ojcu, jest dobry jak anioł, ma niebieską, piękną, lśniącą czaszkę na grzbiecie, ale to nie czaszka, to oblicze anielskie, piękne anielskie oblicze, jaśniejące wszelkimi odcieniami ciemnoniebieskiego, motyl śpiewa najdelikatniejszym, mieniącym się głosem i wyrywa się, wyrywa się z rąk, jego wielkie skrzydła wymachują, wyrywa się tak mocno, tak czarująco, że serce Koźmy zaczyna migotać jak te skrzydła, nie może go wypuścić, nie powinien go wypuścić, za nic nie wypuści, chwyta go za grube jedwabiste nogi, motyl śpiewa, wymachuje skrzydłami i wylatuje przez płonące okno, wynosi Koźmę przez płonące okno, ręce Koźmy zrastają się z nogami motyla, kości jego łączą się z kośćmi motyla, kości jego śpiewają razem z motylem, to pieśń nowego życia, pieśń ostatecznego szczęścia, pieśń wielkiej radości, śpiewają, a motyl wynosi go w niekończące się ogniste okno, w wąskie ogniste okno, w szybkie okno ognia, w długie okno ognia, w okno ognia, w okno ognia, w okno ognia. Słońce zabłysło na szarym horyzoncie. Oświeciło śnieżne pole i czyste, bladoniebieskie niebo ze słabnącymi gwiazdami i księżycem. Promień słoneczny, przeciągnąwszy się nad polem, dotknął zaszypanego śniegiem samopędu, trafił w szczelinę kapuzy i w oko jednego z czterech koni, śpiących na papasze doktora. Skarogniady źrebak otworzył oko.

Koło kapuzy dało się słyszeć skrzypienie śniegu. Coś na zewnątrz poskrobało w sklejkę. I jaskrawy rudy pysk lisicy wsunął się pod rogożę do kapuzy. Skarogniady zarżał ze strachu. Inne konie zaczęły się wiercić, obudziły się. Zobaczyły lisicę, zarżały, szarpiąc się. Lisica złapała pierwszego z brzegu konia i schowała się. Konie rżały, podnosząc się na nogi.

Rzenie boleśnie zadzwoniło w lewym uchu doktora. Zdawało mu się, że neurochirurg wierce mu w tym uchu. Z trudem otworzył oczy. I zobaczył mrok. Mrok rżał. Doktor chciał poruszyć prawą ręką. Ale nie mógł. Poruszył palcami lewej ręki. Lewa była za pazuchą pelisy. Wyjął swoją zdrętwiałą, nieposłuszną lewą rękę, złapał się ściągniętymi rękawiczką palcami za twarz. Na twarzy leżała papacha. Nieposłusznymi palcami z trudem zsunął lisią czapę z twarzy. I od razu promień słoneczny uderzył go w lewe oko. Konie rżały, deptając kopytami jego ciało i głowę.

Doktor wytrzeszczał niewidzące oczy, nie rozumiejąc, gdzie jest ani kim jest.

Spróbował się poruszyć. To się jednak nie udało. Ciało nie słuchało się, jakby go w ogóle nie było. Rozkleił usta i wciągnął do płuc mroźne powietrze. Wypuścił je. Para z oddechu zakłębiła się w promieniu słońca. Koniki deptały po nim. Z ogromnym wysiłkiem zaczął podnosić głowę. Jego podbródek oparł się na czymś gładkim i lodowatym. Konie zeskoczyły z futrzanej czapki. Doktor się poruszył. Ból przebiegł po plecach i ramionach: wszystko zdrętwiało i skostniało.

Otworzył usta, ale zamiast jęku wydobyło się z nich słabe chrypienie. Próbował przynajmniej lekko się podnieść. Ale coś przeszkadzało i ciału, i nogom, których zupełnie nie czuł.

Słońce biło w oko. Doktor przypomniał sobie o binoklach, zaczął szukać ich na piersi. Palce jednak nie słuchały się i coś zimnego, silnego przeszkadzało znaleźć binokle. W końcu wymacał binokle, przyciągnął do twarzy.

Ale nagle z zewnątrz dały się słyszeć głośne ludzkie głosy. Rogoża została gwałtownie zerwana z kapuzy. Dwie ludzkie sylwetki zawisły nad głową doktora, zasłaniając słońce.

– *Ni hai huo zhe ma?*⁶ – wypowiedziała jedna sylwetka.

– *Wo kao!*⁷ – Druga sylwetka uśmiechnęła się.

Doktor, mrużąc powieki, zbliżył binokle do oczu. Nad nim pochylało się dwóch Chińczyków. Konie rżały i parślały. Doktor zaczął się odwracać, trzymając binokle przy oczach, ale binokle zaczepiły o coś łańcuszkiem. To nos Chrzakały. Jego twarz była całkiem blisko i, jak się zdawało doktorowi, wypełniała całą kapuzę. Ta ogromna twarz była bez życia, białowoskowa, tylko ostry nos zsiniał. Słońce błyszczało na oszronionych rzęsach woźnicy

i w oblodzonej bródce. Jego pobielające wargi zastygły w półuśmiechu. W tej martwej twarzy było jeszcze więcej czegoś ptasiego, zabawnie pewnego, niczemu się niedziwiącego i niczego się niebojącego.

Z góry wyciągnęła się żywa ręka, dotknęła twarzy Chrząkały.

– *Guale!*⁸

Druga ręka dotknęła ciepłymi, szorstkimi palcami policzka doktora.

– Żyje? – spytano po rosyjsku.

I doktor od razu wszystko sobie przypomniał.

– Kim jesteś? – spytano go.

On otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zamiast słów z ust razem z parą wychodziło chrypienie.

– *Wo shi yisheng* – wychrypiał doktor swoim okropnym chińskim. – *Bangzhu... bangzhu... qing bang wo*⁹.

– Doktor?

– *Wo yisheng, wo shi yisheng...* – chrypiał Płaton Iljicz, trzęsąc ręką z binoklami.

Chińczyk, który był starszy, mówił po chińsku przez telefon:

– Shon, dawaj tutaj worek, tu pełno małych koni, i weź Ma, tu jeden żyje, ale jest ciężki.

– Skąd wyście jechali? – spytał doktora po rosyjsku.

– *Wo shi yisheng... wo shi yisheng...* – powtarzał Płaton Iljicz.

– On nic nie rozumie – powiedział drugi Chińczyk. – Widać, całkiem mu mózg odmroziło.

Wkrótce pojawili się jeszcze dwaj Chińczycy. Jeden z nich miał w rękach worek z żyworodnego płótna. Chińczycy zaczęli łapać niespokojnie rżące konie i wkładać je do worka.

– Kobyły nie ma? – zaciekawiał się starszy.

– Nie – odpowiedział mu Chińczyk i z uśmiechem pokazał palcem na zad deresza, sterczący z rękawa kozucha Chrząkały. – Patrz, gdzie się wepchał!

Złapał deresza za tylne nogi i wyciągnął z rękawa. Deresz rżał rozpaczliwie.

– Dźwięczny głos! – Starszy się uśmiechnął.

Kiedy wszystkie konie powkładali do worka, starszy kiwnął na doktora.

– Bierzcie go.

Chińczycy zaczęli wyciągać doktora z kapuzy. Ale to nie było proste: nogi Płatona Iljicza poplątały się z nogami nieboszczyka, pelisa w rogu przymarzała do desek. Doktor zrozumiał, że go ratują.

– *Xiexie ni, xiexie ni*¹⁰ – zachrypiał, starając się niezgrabnymi ruchami ciała pomóc Chińczykom.

We czterech wyciągnęli go z samopędu, położyli na śniegu. Doktor próbował wstać na nogi, opierając się o Chińczyków. Ale uwiązł w śniegu: nogi zupełnie się nie słuchały. Nie czuł własnych nóg.

– *Xiexie ni, xiexie ni...* – chrypiał, wierząc się w śniegu.

Starszy Chińczyk podrapał się po nosie.

– Nieście go do pociągu.

– A tego weźmiemy? – spytał młody Chińczyk, kiwając na Chrzakałę.

– Przecież wiesz, Hiun, mój koń nie lubi umarlaków. – Starszy się uśmiechnął i z dumnym półuśmiechem kiwnął głową do tyłu.

Chińczyk automatycznie przeniósł spojrzenie w kierunku kiwnięcia. Tam, jakieś sto metrów od samopędu, stał ogromny koń, wysokości dwupiętrowego domu. Siwy jabłkowity był zaprzęgnięty w sanie-pociąg, wiozący cztery szerokie wagony – jeden zielony, pasażerski, i trzy niebieskie, towarowe. Przykryty czerwoną derą koń stał, głośno wypuszczając parę z szerokich nozdrzy. Wrony krążyły nad nim i siadały na jego czerwonym grzbiecie. Biała grzywa konia była pięknie zapleciona, uprząż błyszczała na słońcu stalowymi pierścieniami.

Od strony pociągu podeszło jeszcze dwóch Chińczyków w zielonych uniformach. We czterech podchwycili doktora i ponieśli.

– *Xiexie ni, xiexie ni...* – chrypiał, w końcu ani razu nie poruszywszy swoimi beładnymi, jakby już całkiem cudzymi i niepotrzebnymi nogami.

I nagle się rozplakał, dotarło bowiem do niego, że Chrzakała ostatecznie i na zawsze go porzucił, że w końcu nie dotarł do Dołgiego, że nie dowiózł szczepionki-2 i że w jego życiu, w życiu Płatona Iljicza Garina, teraz, sądząc z sytuacji, nastąpi coś nowego, niełatwego, a najprawdopodobniej – coś trudnego, surowego, o czym wcześniej nie mógł nawet przypuszczać.

– *Xiexie ni, xiexie n-nni...* – Płakał, kręcąc głową, jakby kategorycznie nie zgadzał się ze wszystkim, co się stało i dzieje.

Łzy ciekły po jego zarośniętych, wychudłych przez tę dobę policzkach. Ścisnął w ręce binokle i cały czas trząsał nimi, trząsał i trząsał, jakby dyrygując pewną niewidzialną orkiestrą bóleści i płaczu, kołysząc się w silnych chińskich rękach.

Starszy Chińczyk popatrzył na Chrzakałę. Ten samotnie leżał w opuszczonej kapuzie, jak w przydużej dla niego trumnie. Ręce w rękawicach podkulił na piersi, jakby nadal przytrzymywał i chronił swoje koniki; jedna jego noga była przykurczona, druga zastygła, absurdalnie wybrzuszona.

– Obszukaj go – nakazał starszy Chińczyk młodemu.

Ten niezbyt chętnie wykonał nakaz. W kieszeni kozucha Chrząkały znalazły się rubel srebrem, czterdzieści kopiejek miedzią, zapalniczka i dwie skórki chleba. Dokumentów przy sobie nie miał żadnych. Chińczyk zaczął gmerać mu za pazuchą i znalazł na szyi dwa sznurki: na jednym wisiał miedziany prawosławny krzyżyk, na drugim – klucz. To był klucz od stajni. Chińczyk zerwał go i podał starszemu. Ten poobracał klucz w ręce i rzucił w śnieg.

– Nakryj go. – Starszy kiwnął.

Młody wziął zaskorupiałą na mrozie, zastygłą jak płyta pilśniowa rogozę i nakrył nią kapuzę. Starszy wskazał palcem na worek z końmi, a sam poszedł do pociągu. Młody Chińczyk podchwycił worek, zarzucił sobie na plecy, ruszył przez śnieg. Konie do woli narzały się i nawierciły w ciemności worka, zdążyły w tym czasie nasikać się i uspokoić, w odpowiedzi więc zaparskały i zachrapały. I tylko niezadowolony deresz przenikliwie zarżał, na zawsze żegnając się ze swoim gospodarzem.

-
- 1 Dureń (niem.).
 - 2 Dobry wieczór, piękna młynarzowo (niem.).
 - 3 Sucha karma dla świń.
 - 4 Leć, myśli, na skrzydłach złocistych (wł.).
 - 5 Świństwo (niem.).
 - 6 Czy ty żyjesz jeszcze? (chin.).
 - 7 O kurwa! (chin.).
 - 8 Gotowy! (chin.).
 - 9 Jestem lekarzem. Pomóżcie mi, proszę (chin.).
 - 10 Dziękuję ci (chin.).

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

e-mail: mateusz@czarne.com.pl,

tomasz@czarne.com.pl, dominik@czarne.com.pl,

honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

tel. +48 18 351 00 70

e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,

dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: katarzyna@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: tel. 504 564 092, 605 955 550

irek.gradkowski@czarne.com.pl,

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl

Wołowiec 2013

Wydanie I